

Fay Weldon

Diablica

Rozdział pierwszy

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży nad brzegiem morza i dużo pisze. Pisze o miłości. Kłamie.

Mary Fisher jest czterdziestotrzyletnią kobietą, przyzwyczajoną do miłości. Stale otoczona mężczyznami, którzy ją kochali, czasami nieszczęśliwie, zawsze znajdowała okazję, aby ich miłość odwzajemnić, ale nigdy - jak sądzę - nie był to akt desperacji. Pisze romanse. Okłamuje siebie i świat.

W banku na Cyprze, gdzie prawo podatkowe jest traktowane dość swobodnie, Mary Fisher ma na koncie 754300 dolarów. Odpowiada to wartości 502867 funtów szterlingów, 1931009 marek niemieckich, 1599117 franków szwajcarskich, 185055050 jenów i tak dalej, co już zresztą nie ma większego znaczenia.

Życie kobiety jest tym, czym jest. W każdym zakątku świata. Gdziekolwiek spojrzysz, dzieje się to samo. Tym, które mają - tak jak Mary Fisher - będzie dodane. A takim jak ja, nawet jeśli nie są zupełnie przegrane - zostanie ujęte.

Wszystkie swoje pieniądze Mary Fisher zarobiła sama. Jonasz, jej pierwszy mąż, mówił, że kapitalizm jest niemoralny, ona zaś mając łagodną i ustępliwą naturę dawała mu wiarę. Gdyby postępowała inaczej, bez wątplenia posiadałaby teraz solidny pakiet inwestycji. A tak, jest jedynie właścicielką czterech domów, których łączna wartość zależy od sytuacji na rynku nieruchomości i waha się od pół do miliona dolarów.

Oczywiście dom jako lokata kapitału ma znaczenie tylko wtedy, gdy znajdzie się ktoś, kto zechce go kupić, i gdy człowiek nosi się z zamiarem sprzedaży. W przeciwnym razie jest tylko miejscem, w którym się żyje lub gdzie mieszkają ludzie z nami związani. Jeśli ma się szczęście, posiadanie czegoś na własność może dać poczucie bezpieczeństwa; kiedy jednak tego rodzaju szczęście nie dopisze nerwy i kłopoty pewne. Nie życzę Mary Fisher szczęścia w sprawach majątkowych.

Mary Fisher jest ładną, filigranową kobietą skłonną do omdleń, płaczu i sypiania z mężczyznami, a przy tym świetnie udającą, że tego właśnie nie robi.

Mary Fisher kocha jej doradca podatkowy, który jest moim mężem.

Kocham męża i nienawidzę Mary Fisher.

Rozdział drugi

Na zewnątrz świat się kręci: fale biją o urwisko u stóp wieży Mary Fisher i cofają się; w Australii wielkie kauczukowce wyplakują swoją korę; w Kalkucie miriady iskier ludzkiej energii rozżarzają się, migocą i gasną; w Kalifornii uprawiający surfing łączą dusze z pianą morską i szybują ku wieczności; w światowych metropoliach grupy dysydentów formułują powody posępnego niezadowolenia i szansę zmian widzą jedynie w przejściu przez najgorsze doświadczenia ziemskiej egzystencji. Tkwię w tym. Tu i teraz. Uwięziona we własnym ciele, przykuta do jednej szczególnej sprawy: nienawiści do Mary Fisher. To wszystko, co mogę zrobić. Nienawiść opętała mnie i zmieniała; jest jak przypisana mi rola. Właśnie niedawno to odkryłam.

Lepiej nienawidzić, niż rozpaczać. Sławię nienawiść, wychwalam energię, która ją podsyca. Śpiewam hymn na śmierć miłości.

Jeśli wybierasz się w podróż w głąb ładu, to od wieży Mary Fisher zwirowy podjazd (ogrodnik otrzymuje sto dziesięć dolarów tygodniowo, co jest w każdej walucie sumą niewielką) poprowadzi cię aż do smaganej wiatrem alei smutno więdnących topól (czyżby zemsta ogrodnika?). Dalej, już poza terenem posiadłości, droga biegnie przez faliste

zachodnie wzgórze i opada w dół ku rozległym polom pszenicy. Potem jeszcze sto kilometrów i dojeżdżasz do przedmieścia oraz domu, w którym mieszkam, i do niewielkiego zielonego ogrodu, gdzie bawię się z dziećmi Bobba. Tysiąc mniej lub bardziej podobnych do siebie domów rozciąga się na cztery strony świata; my jesteśmy pośrodku, dokładnie pośrodku miejsca zwanego Eden Grove, Rajski Gaj. Podmiejska miejscowość. Nie jest to ani miasto, ani wieś; coś między jednym a drugim. Schowana w zieleni, zasobna i - jak niektórzy mówią - piękna. To pewne, że żyje się tu lepiej niż na ulicy w dolnym Bombaju.

Ponieważ musiałam poznać geografię nieszczęścia i wiele czasu spędziłam nad mapami, wiem, jak centralnie jestem usytuowana w tym pozbawionym centrum miejscu. Odległość między moim domem a wieżą Mary Fisher wynosi sto osiem kilometrów lub sześćdziesiąt mil. Odległość pomiędzy domem a stacją - jeden i ćwierć kilometra, z domu do sklepów jest sześćset sześćdziesiąt metrów. W odróżnieniu od większości moich sąsiadów nie prowadzę samochodu. Nie jestem tak dobrze jak oni zorganizowana. Przepadłam na czterech egzaminach prawa jazdy. "Nie ma nic złego w chodzeniu pieszo" - mówię sobie, skoro i tak niewiele jest tu do zrobienia. W tym miejscu zaplanowanym jako raj wystarczy tylko raz zamieść kąty i wszystko przetrzeć do połysku.

- Jak cudownie - mówię, a oni mi wierzą - spacerować po niebie.

Mieszkamy z Bobbem przy ulicy Nocnego Ptaka 19, specjalnie wybranej ulicy w najlepszej części Eden Grove. Domy są zupełnie nowe, jesteśmy pierwszymi lokatorami. Nie dochodzą tu żadne odgłosy. Mamy dwie łazienki i francuskie okna. Czekamy, aż urosną drzewa, i zapowiada się, że niebawem będziemy tu mieć zaciszne odosobnienie.

Eden Grove jest przyjaznym miejscem. Sąsiedzi zapraszają się wzajemnie na wieczorne przyjęcia. Dyskutujemy raczej o rzeczach niż ideach, wymieniamy informacje, nie zaś teorie, i panujemy nad sobą, skupiając się na szczegółach. Uogólnienia wywołują niepokój. Zwracanie się ku odległej przeszłości może być bezowocne, ku przyszłości - podobnie. Dlatego teraźniejszość musi być właściwie wyważona.

W tych dniach śmiało serwowano kotlety schabowe po chińsku. Papierowe serwetki, miseczki. Smak zmiany. Mężczyźni pokiwali nad tym głowami i nieźle się bawili. Kobietom, które śmiechem pokrywały zmieszanie, naczynia wypadały z rąk.

- To jest dobre życie - mawia Bobo. Teraz bywa w domu znacznie rzadziej, nie powtarza więc tego tak często jak dawniej.

Czy Mary Fisher kocha mojego męża? Odwzajemnia jego miłość? Czy spogląda mu w oczy i przemawia bez słów?

Pewnego razu zabrano mnie do niej z wizytą. Kiedy podchodziłam, potknęłam się o dywan, prawdziwy kaszmirski dywan wart 2540 dolarów. Mam prawie metr osiemdziesiąt osiem wzrostu. To dobre dla mężczyzny, lecz nie dla kobiety. Moja karnacja jest równie ciemna, jak jasna jest karnacja Mary Fisher. Mam typową dla postawnych brunetek mocno wysuniętą szczękę, oczy głęboko osadzone, a nos haczykowaty, szerokie i kościste ramiona, masywne biodra i muskularne nogi, ręce zaś - przysięgam - w stosunku do całego ciała nieproporcjonalnie krótkie. Moja natura i wygląd nie pasują do siebie. Mam pecha, jest tak, jakby moje kobiece serce biło pod skórą jakiegoś olbrzyma.

Kiedy drobnymi kroczkami przebiegałam po dywanie, Mary Fisher uśmiechnęła się z przymusem. Zauważyłam, że zerknęła porozumiewawczo na mojego męża, jakby właśnie rozegrała się scena, którą wcześniej sobie wyobrazili.

- Opowiedz mi o swojej żonie - mogłaby zamruczeć w łóżku.

- To niezdara - prawdopodobnie by odpowiedział. Jeśli zaś miałabym szczęście, jeszcze by dodał: - Nie jest zbyt piękna, ale za to zacna z niej dusza. - Myślę, że mógłby tak powiedzieć, gdyby chciał siebie usprawiedliwić, a mnie pogrzyść. Nie oczekujemy od mężczyzny, że będzie wierny wspaniałej matce i dobrej żonie, gdyż nie te zalety są źródłem erotycznych pragnień.

W poczuciu winy i radosnym podnieceniu pewnie byłby również zdolny wspomnieć: - Ma cztery brodawki na brodzie i z trzech wyrastają włosy. - Wyobrażam to sobie. Któż zresztą temu by się oparł? W łóżku, po miłosnej sesji - chichoty, piski, łaskotania i poważne rozmowy o życiu?

Jestem też prawie pewna, że przy tej lub przy innej okazji Bobo, w typowy dla wszystkich mężów sposób, mógłby powiedzieć: - Kocham ją, ale nie jestem w niej zakochany, a przynajmniej nie w taki sposób jak w tobie. Czy rozumiesz?

Mary Fisher skinęłaby głową, rozumiejąc bardzo dobrze.

Wiem, jakie jest życie i czego można się spodziewać po ludziach. Wszyscy wynajdujemy podobne powody do samo okłamywania i pobożnych życzeń. A najchętniej czynią to popełniający cudzołóstwo kochankowie.

Tak sobie rozmyślałam, kiedy naczynia są umyte, w domu panuje cisza i przemija życie, odmierzane tykaniem zegara. Nie mam wtedy innego zajęcia niż zgadywanie, czy Bobo i Mary Fisher są teraz razem. "Teraz..." Jakie to dziwne... czas jest zagadką. Myślę nad tym i myślę. Odgrywam rolę każdego z nich, czasami jego, niekiedy jej; to sprawia, że czuję się częścią całości, którą tworzą, ja, dla której nie ma tam przecież miejsca. A potem dzwoni Bobo i oznajmia, że nie będzie go w domu. Dzieci wracają ze szkoły i dziwnie znajoma cisza zapada w domu, grubym, tłumiącym hałasem kocem spowijając nasze życie. I nawet kiedy kot złowi mysz, piski i szamotanina dochodzą tylko z daleka, jakby z innego świata.

Bobo jest przystojnym mężczyzną i to prawdziwy dar losu, że go złapałam. Sąsiedzi nie skąpią uwag na jego temat: "Szczęściara z ciebie, że jesteś z kimś takim jak Bobo". Nie dziwi mnie, że z ich oczu mogę wyczytać, iż wiedzą o jego ciągłej nieobecności. Bobo ma metr siedemdziesiąt siedem wzrostu i jest o dziesięć centymetrów niższy ode mnie, o piętnaście zaś wyższy od Mary Fisher, która nosi trzeci rozmiar butów i tylko w ubiegłym roku wydała na pantofle 1200 dolarów.

Kiedy jesteśmy w łóżku - wszystko jest w porządku, Bobo nie ma problemów z potencją. Przymyka tylko oczy, ale jak mi wiadomo, przymyka również oczy, kiedy jest z nią. Choć tak naprawdę trudno mi w to uwierzyć. Pewnie nic nie dzieje się tak, jak to sobie wyobrażam.

Sądzę, że inne kobiety w Eden Grove są lepsze ode mnie w sztuce samo oszukiwania. Ich mężowie tak często przebywają poza domem, że one, by zachować dobre samopoczucie, po prostu muszą się okłamywać. Żyją w kłamstwie, a i to nie zawsze je ratuje. Niejedną znaleziono martwą: albo się wieszają w garażu, albo umierają w małżeńskim łóżu z przedawkowania. Miłość je zabija, mordercza w swoich śmiertelnych drgawkach, rażąca, trucicielska.

A jak próbują przetrwać budzące litość świata kobiety brzydkie? Psy - tak nas nazywają. Powiem ci: postępują podobnie jak ja. Unikają prawdy i robią się gruboskórne. Przeciw wiecznym poniżeniom hartują własną skórę, aż staje się twarda i zimna jak grzbiet krokodyla. Czekamy na starość, która wszystko wyrówna. Jako staruchy jesteśmy bowiem doskonałe.

Moja piękna matka wstydziła się mnie. Mogłam to wyczytać w jej oczach. Byłam najstarszym dzieckiem. - Jesteś wizerunkiem ojca mawiała. Matka wyszła powtórnie za męża. Ojca opuściła dużo wcześniej, od dawna nim gardząc. Moje dwie przyrodnie siostry zabrała ze sobą. Były istotami delikatnymi, kruchymi i umiały wykorzystać swój wdzięk: nawet mnie potrafiły oczarować. - Brzydkie kaczątko - powiedziała pewnego razu matka i prawie płacząc pogładziła moje sztywne włosy. - Co mamy z tobą począć? Co z ciebie wyrośnie? - Wydaje mi się, że może nawet pokochałaby mnie, gdyby tylko mogła. Ale oburzały ją rzeczy brzydkie, pozbawione harmonii. Mówiła o tym wystarczająco często i choć jej słowa bezpośrednio mnie nie dotyczyły, mogłam się zorientować, co ma na myśli i do czego zmierza.

Podejrzewam, że urodziłam się z koniuszkami nerwów wystającymi nad powierzchnię skóry: były napięte i wiecznie drżały. Rosłam masywna i toporna, usiłując osłaniać własny system nerwowy. Nie bardzo jednak wiedziałam, jak sobie z tym poradzić.

Nawet ze względu na matkę nigdy nie potrafiłam się nauczyć, jak być uśmiechniętą i spokojną. Mój umysł, niczym okropnie rozstrojone pianino, wygrywał co popadnie i nigdy się nie wyciszał. Na chrzcie matka dała mi imię Ruth. Czyżby - jak podejrzewam - już w moich pierwszych dniach pragnęła o mnie zapomnieć? Imię krótkie, odstręczające i pełne smutku. Moje przyrodnie siostry nazwano Jocelyn i Miranda. Wyszły dobrze za mąż i przepadły w szerokim świecie, bez wątpienia budząc jego podziw.

Rozdział trzeci

Mary Fisher, rezydentko Wysokiej Wieży! Co masz dzisiaj na obiad? Być może nawet nie wiesz, pozostawiając te sprawy służbie. Kto dotrzyma ci towarzystwa? Czy spośród swoich licznych kochanków nie umiesz wybrać tego, z którym patrząc przez wielkie tafle szyb oglądałabyś na zmieniającym barwy niebie wschód księżycy nad przystanią i morzem? A może nic nie jesz, tylko z myślami zaprzątniętymi pół na pół jadłem i seksem spełniasz się w miłosnym akcie? Szczęściara z ciebie! Ale dzisiejszego wieczoru, bez względu na to, kim jesteś, nie możesz mieć Bobba. Dzisiejszego wieczoru Bobo jest ze mną.

W jadalni, jeśli wiatr się nie zerwie, otworzę wychodzące na ogród francuskie okna. Mamy rosnące przy garażu piękne lewkonie, które wieczorami pachną jak oszalałe. W oknach są podwójne szyby.

Rachunek Mary Fisher za utrzymanie okien w czystości wyniósł tylko w ostatnim miesiącu 295 dolarów i 75 centów. Suma została przekazana z banku na Cyprze na rachunek, z którego pokrywane są jej wydatki domowe. Bobo, gdy zdarza mu się bywać w domu, przynosi rachunki Mary Fisher. Kiedy mąż jest ze mną, nie mogę spać. Wstaję w nocy z łóżka, po cichu idę do jego gabinetu i przeglądam życie Mary Fisher. Bobo sypia dobrze. Naprawdę przychodzi do domu tylko po to, aby wypocząć i odrobić zaległości w spaniu.

Nasze okna myję sama. Wtedy mój wzrost oddaje mi nieocenione usługi.

Dzisiejszego wieczoru przy Nocnego Ptaka 19 będziemy mieli zupę grzybową, vol-au-vent z kurczakiem i mus czekoladowy. Przychodzą z wizytą rodzice Bobba. Nie chcąc ich martwić, będzie odgrywał rolę przykładowego męża i ten jeden raz zasiądzie u szczytu stołu. Będzie spozierał na malwy, mak pachnący i winorośl. Lubię zajmować się ogrodem. Przyjemnie jest mieć wpływ na przyrodę i czynić rzeczy pięknymi.

Bobo dobrze daje sobie w życiu radę. Stał się człowiekiem sukcesu. Kiedyś był skromnym urzędnikiem wydziału skarbowego, lecz zrezygnował z tej posady; wyzbył się przesadnej ostrożności, zaryzykował utratę emerytury i rozpoczął pracę na własny rachunek jako doradca podatkowy. Zarabia teraz dużo pieniędzy. Odpowiada mu to, bo może mnie trzymać z dala od siebie w Eden Grove. Bobo wynajmuje miłe mieszkanie w centrum miasta, piętnaście kilometrów dalej na wschód, piętnaście kilometrów dalej od Mary Fisher; tam pozostaje na noc, jeśli wymagają tego interesy. Przynajmniej tak mówi. Bardzo rzadko odwiedzam mieszkanie Bobba lub jego biuro. Pozwalam, by sądzono, że jestem na to zbyt zajęta. Gdyby zobaczyli mnie jego nowi, wytworni klienci, Bobo byłby zakłopotany. Oboje o tym wiemy. Pozbawiona wdzięku żona Bobba! Przypuszczam, że to, co jest dobre dla poborcy podatkowego, nie zawsze musi być odpowiednie dla niezależnego i świetnie prosperującego eksperta od zagadnień finansowych.

Mary Fisher, mam nadzieję, że dzisiejszego wieczoru, kiedy będziesz jadła czerwonego łososia, z puszki wydobędą się trujące opary. Niestety, próżne nadzieje. Mary Fisher ma zwyczaj jadać świeże łososie i zawsze może zaufać swemu delikatnemu podniebieniu, którym

rozpozna truciznę niezależnie od tego, jak trudną byłaby do wykrycia w innych, mniej delikatnych ustach. Jak subtelnie i zręcznie wypłuła zatrute kęsy i uratowała życie!

Mary Fisher, żyjąc nadzieją, że tej nocy zerwie się wielka wichura, tafle szyb wylecą z okien wieży, nawałnica wtargnie do środka, a ty, zapłakana i przerażona, zginiesz.

Przygotowuję francuskie ciasto do kurczaka. Kończę wycinać brzegiem kieliszka krążki ciasta i zbieram cienkie paski, które pozostały. Zlepiam je, formuję kukielkę w kształcie Mary Fisher i w rozgrzanym do najwyższej temperatury piekarniku trzymam tak długo, aż kuchnię wypełnia swąd, z którym nawet wentylator nie może sobie poradzić. I bardzo dobrze!

Łudzę się nadzieją, że wieża spłonie razem z Mary Fisher, a zapach spalenizny długo będzie się snuł nad falami. Chciałabym tam pojechać i sama podpalić to miejsce, ale nie prowadzę samochodu. Do wieży mogłabym się dostać tylko wtedy, gdyby zawiózł mnie tam Bobo, lecz on tego nie robi. Sto osiem kilometrów. Mówi, że to stanowczo za daleko.

Bobo rozsuwa gładkie, szczupłe, o jasnych udach i lśniących łydkach nogi Mary Fisher i wprowadza, jak to ma w zwyczaju, palec tam, gdzie niebawem podaży jego skupione "ego".

Wiem, że robi z nią to samo co ze mną, ponieważ mi o tym opowiadał. Bobo wierzy w uczciwość. Bobo wierzy w miłość.

- Bądź spokojna - mówi. - Nie mam zamiaru cię opuścić. Stało się to, co się stało, ponieważ się w niej zakochałem, i musisz się z tym pogodzić.

- Miłość - powiada. - Miłość! - Bobo dużo rozprawia o miłości. Mary Fisher nie pisuje o niczym innym, tylko o miłości. Miłość jest wszystkim, czego potrzebujemy.

Zakładam, że kocham Bobba, bo przecież za niego wyszłam. Przyzwoite kobiety kochają swoich mężów. Miłość jednak w porównaniu z nienawiścią jest nikłym uczuciem. Nerwowym, przykrym, zapowiadającym cierpienie.

Moje dzieci wracają z letnich półkolonii. Para gołąbków. Chłopiec jest szczupły jak moja matka i jak ona wiecznie skłonny do narzekań. Dziewczynka - duża, niezręczna tak jak ja, szorstkością próbująca ukryć swą uczuciowość. Za nimi pies i kotka. Świnia morska szeleści i sapie w kącie. Właśnie wyrzuciłam jej klatkę. Czekolada na mus topi się w garnku i bulgocze. Tak wygląda szczęście, pełnia podmiejskiego domowego życia. Powinno nas to wszystko uszczęśliwiać, skoro takie jest przeznaczenie. Z dała od ścieku nieposkromionych żądź, na gładkich trawnikach miłości małżeńskiej.

Jakbym słyszała słowa mojej babki wypowiedziane na łożu śmierci, gdy czuwający obok ksiądz obiecywał jej życie wieczne.

Rozdział czwarty

Brenda, matka Bobba, podkrađła się pod dom syna przy ulicy Nocnego Ptaka 19. Zawsze miała wesołe i skore do zabawy usposobienie, czego zresztą syn po niej nie odziedziczył. Chcąc zaskoczyć Ruth, nagle rozpląszczyła nos na szybie.

- A ku-ku, tutaj jestem - stroiła głupie miny za oknem. - To ja, monstrum, twoja teściowa: - W ten sposób jakby przeproszała za niewdzięczną rolę, jaką przyszło jej pełnić w rodzinie, i za to, że zajęła im dzisiaj wolny wieczór. Wyobrażała przy tym sobie, że śmiech jest dobrym lekarstwem na rozładowanie napięcia.

Obcasy Brendy ugrzęzły w miękkiej trawie, popełniając zarazem samobójstwo i morderstwo. Trawa była świeżo przystrzyżona, bo Ruth lubiła kosić trawnik. Wystarczyło, że jedną ręką silnie popychała kosiarkę, a praca szła szybko i sprawnie. W tym samym czasie jej sąsiadki, spocone i zniechęcone, borykały się z trawą, której zbyt długo pozwoliły rosnać trwając w wierze - co tydzień traconej i odzyskiwanej - że koszeniem powinny zająć się mężowie.

Matka Bobba zajrzała przez okno do kuchni, gdzie na wolnym ogniu gotowała się zupa grzybowa w oczekiwaniu na odrobinę śmietany, kroplę wiśniówki i apróbujące skinienie głową. Brenda lubiła rzeczy, które były należycie zrobione, jeśli sama nie musiała się do tego przykładać. Przez otwarte francuskie okna rzuciła okiem do jadalni, gdzie stół był nakryty dla czterech osób, świece osadzone w lichtarzach, srebra wypolerowane, a kredens odkurzony, i westchnęła z uznaniem.

Jakże ta Ruth umiała polerować! Jeden ruch silnym palcem i plamy znikają. Brenda, aby doczyścić własne srebra, musiała używać elektrycznej szczoteczki do zębów. Był to proces długi i nużący. Zazdrościła Ruth chyba tylko jednego - umiejętności czyszczenia sreber.

Natomiast wcale nie zazdrościła jej statusu żony Bobba. Brenda nigdy nie kochała syna. Szczerze go lubiła, tak jak lubiła swojego męża, ale i te uczucia nie były poważne.

W nocnym powietrzu unosił się zapach lewkonii.

- Jak ona ładnie potrafi wszystko przygotować - powiedziała do swojego męża, Angusa.
- Jakże ten Bobo musi być szczęśliwy!

Angus stał na ścieżce czekając, aż zabawowe nastroje żony opadną i przestanie wreszcie zaglądać w okna. Brenda włożyła na tę okazję beżowy jedwab i złote bransolety, dzięki czemu czuła się zupełnie młodo. Angus ubrany był w brązowy garnitur w kratę, koszulę w kolorze ochry i niebiesko nakrapiany krawat. Niezależnie od tego, jak im się wiodło, czy byli zamożni, czy biedni, ona zawsze wyglądała przesadnie elegancko, a on - nieco dziwacznie. Brenda miała zadarty nos i wyjątkowo duże oczy, Angus natomiast był posiadaczem okazałego, błyszczącego nochała i oczu jak szparki.

Bobo nosił szare garnitury, białe koszule i stonowane krawaty. Zawsze dbał o to, by wyglądać dystygowanie i niczym się nie wyróżniać. Pan swego czasu, świadomy swej siły. Nos miał prosty, mocno zarysowany, a oczy - w sam raz, takie jak być powinny.

Potem Brenda zajrzała do salonu i zobaczyła dwoje dzieci oglądających telewizję. Resztki wczesnej kolacji stały na stole. Dzieci były umyte, uczesane, gotowe do położenia się do łóżek. Wyglądały na szczęśliwe, ale zupełnie pozbawione wdzięku. Czego jednak można się było spodziewać, skoro miały matkę taką jak Ruth?

- Jest bardzo dobrą matką - szepnęła, kiwając na Angusa, aby podszedł i zobaczył. - Powinieneś okazać jej trochę szacunku.

Oczyściła z ziemi obcasy i skierowała się w stronę okien pralni, gdzie właśnie w tym momencie Bobo wyciągał ze sterty czystego prania odprasowaną i złożoną koszulę. Miał na sobie tylko kamizelkę i spodnie. Czy gdy był małym chłopcem, kiedykolwiek go kapała? Czy matka może być poruszona nagością syna?

Nie spostrzegła małego, równiutkiego śladu ugryzienia na ramieniu syna, a jeśli nawet zauważyła, to przypuszczała, że pochodzi od ukąszenia owadów. Z całą pewnością nie był to ślad zębów Ruth: szerokich, mocnych i nierównych.

- Jest bardzo dobrą żoną - powiedziała matka Bobba wzruszona niemal do łez. - Spójrz na to prasowanie!

Ona, jeśli tylko mogła tej czynności uniknąć, nigdy się nie brała za prasowanie. W naprawdę dobrych czasach lubili oboje z Angusem przemieszkować w hotelach właśnie dlatego, że tam mieli zapewnioną obsługę.

- I jakim dobrym mężem okazał się Bobo!

Jeśli pomyślała, że syn przejawia skłonności narcystyczne, ponieważ wpatruje się zbyt długo w lustro, zachowała to dla siebie.

Bobo jednak, studiując w lustrze swoje jasne piękne oczy, świadczący o inteligencji rysunek brwi i lekko sine usta, nie dostrzegał siebie zupełnie: widział mężczyznę, którego kochała Mary Fisher.

Stał na wpół ubrany i dumiał nad sposobem przeliczenia seksu na pieniądze. Czuł się znacznie lepiej, kiedy mógł nadać rzeczom konkretną wartość finansową. Nie był sknerą,

wydawanie pieniędzy sprawiało mu przyjemność, ale też wiedział, że życie i pieniądze to jedno. Ojciec wystarczająco często dawał mu to do zrozumienia.

- Czas to pieniądz - mawiał, ponagłając syna, by szybciej skończył szkołę, wyszedł z domu i usamodzielniał się. - Życie to czas, a czas to pieniądz - powtarzał.

Zdarzało się, że kiedy brakowało pieniędzy na autobus, Bobo musiał chodzić do szkoły pieszo. Bywało jednak, że odwoził go szofer rolls-royce'em. W czasach dzieciństwa Bobba Angus zarobił dwa miliony dolarów, a stracił trzy. Życie dorastającego chłopca było pełne wzlotów i upadków!

- Zanim się z tym uporasz - mówił ojciec do małego Bobba, który niewprawnymi palcami usiłował zawiązać sznurowadła przy bucikach - jestem w stanie zarobić tysiąc funtów.

Wartość seksu, wyrażona w pieniądzu, powinna wynikać - kalkulował Bobo - z podsumowania możliwych zysków i strat, z zestawienia ilości zużytej energii z bilansem osiągniętej przyjemności i stopniem odnowienia sił twórczych i witalnych. Stosunek ministra, jakkolwiek słabiutki, może osiągnąć wartość dwustu dolarów, podczas gdy formalny akt małżeński w domowych pieleszach, choć pełen wigoru - da czcze dwadzieścia pięć dolarów. Wysokiej klasy, pełen napięcia akt miłosny z Mary Fisher można wycenić na dobre pięćset dolarów. Natomiast z żoną - wartość jego maleje do siedemdziesięciu pięciu dolarów; naturalnie dochodzi do niego o wiele częściej, lecz niefortunnie właśnie to daje mniejszy efekt. Im częściej się uprawia seks z jedną osobą, tym bardziej - według Bobba - cała sprawa traci na wartości.

Matka Bobba wyszarpnęła obcasy z dobrze spulchnionej ziemi nowego trawnika, skinęła na męża i razem podeszli do frontowych drzwi. Potem zajrzała jeszcze do salonu i spostrzegła zwaliste plecy pochylonej nad gramofonem Ruth, pochłoniętej miłym zajęciem wyboru muzyki, której będą słuchali.

Ruth prostując się wyrznęła głową o dębową belkę nad kominkiem; dom był najwyraźniej przeznaczony dla mniej postawnych mieszkańców.

Teściowa szykowała się właśnie do zabawnego rozpląszczenia nosa na szybie, kiedy Ruth się odwróciła. Nawet przez szybę, która zniekształcała, wyraźnie widać było, że płacze. Twarz miała obrzmiałą, a oczy podpuknięte. - Podmiejski blues! - mruknęła Brenda do Angusa. - Zdarza się nawet w najszcześliwszych rodzinach.

Przypatrywali się Ruth, która dramatycznie, niczym szpony ku niebu, wyciągała ręce gdzieś tam, w kierunku sufitu koloru morskiej zieleni, jakby błagała jakiegoś straszego boga o zstąpienie i spełnienie nieuchronnego losu.

- Wydaje się, że jest bardziej przygnębiona niż zwykle - stwierdziła niechętnie matka Bobba. - Mam nadzieję, że on jest dla niej dobry - dorzuciła, po czym oboje usiedli na niskiej ławce koło domu przyglądając się, jak zapada zmierzch, a gęstniejące ciemności spowijają ulicę Nocnego Ptaka. Rozmawiali przy tym w dość chaotyczny sposób o życiu własnym i bliźnich.

- Dajmy jej trochę czasu na uspokojenie się - powiedziała Brenda. Proszone obiady, nawet tylko w gronie rodzinnym, mogą być wyczerpujące.

Potrafiła w każdej sytuacji dobrać odpowiednie słowa, zachować spokój i pogodę ducha. Nikt nie mógł zrozumieć, skąd się wzięła swarliwa, skłonna do zwątpień i narzekań natura Bobba. Jego ojciec podzielał zdolności żony do pozytywnego myślenia: liczył sobie sześćdziesiąt sześć lat i przez dwie trzecie dotychczasowego życia taki sposób myślenia miał swoje uzasadnienie. Wszystko na ogół obraca się na dobre, jeśli się tego właśnie oczekuje. Jedyne, co można zrobić, to nie przeszkadzać losowi. Lecz Bobo, inaczej niż jego rodzice, nie zamierzał zdawać się na przypadek. Ambicja nakazywała mu odnieść sukces stuprocentowy.

Właśnie skończył się ubierać. To, że jego rzeczy były uprane i poskładane, uważał za oczywiste. Kiedy przebywał w domu Mary Fisher, zachowywał się podobnie, na co zwrócił uwagę jej służący Garcia.

- Co też może mieć na kolację Mary Fisher? - zastanawiał się Bobo, podobnie jak wcześniej dręczyło to Ruth. Zapragnął być jednym z tych delikatnych kasków, które jego kochanka wkłada do ust. Ach, zostać pochłoniętym, zjedzonym! Płatek wędzonego łososia, cząstka pomarańczy, kropla szampana.

Za takimi przysmakami przepadała Mary Fisher; one też rozbudzały inne jej fantazje. Wybredna, nieznośna Mary Fisher! - Niewielki wędzony łosoś - powiadała - naprawdę nie kosztuje więcej niż solidna porcja tuńczyka z puszki, a o wiele lepiej smakuje.

Było to w połowie kłamstwem, w połowie prawdą; podobnie jak wszystko, co mówiła i pisała.

Bobo wszedł do salonu akurat w chwili, gdy jego potężna żona usiłowała schwytać rękami powietrze.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał.

- Bo uderzyłam się w głowę - odpowiedziała, on zaś to kłamstwo zaakceptował, gdyż rodzice mogli nadejść lada chwila, a poza tym już naprawdę niewiele go obchodziło, co żona mówi lub co robi ani nawet dlaczego płacze. Szybko więc przestał myśleć o Ruth i zaczął się zastanawiać - jak miał ostatnio w zwyczaju - nad charakterem związku Mary Fisher z jej lokajem Garcia, który kroił w plasterki wędzonego łososia, odkorkowywał szampana, na niższych kondygnacjach polerował wielkie tafle szyb. Inne domowe posługi zostawiano pokojówkom. Garcia otrzymywał trzysta dolarów tygodniowo, czyli dwukrotnie więcej niż inni klienci Bobba płacili zatrudnionej na stałe służbie. Garcia zanosił jego kochance dzbanuszki z kawą, stawiał je na wielkim stole ze szklanym blatem umocowanym na stalowej konstrukcji, przy którym Mary Fisher na cieniutkim papierze pisała swoje powieści czystym czerwonym atramentem. Pismo miała drobne i pajęczce. Garcia był wysokim, dobrze umięśnionym, smagłym młodym człowiekiem o ładnych dłoniach z wysmukłymi palcami. Bobo zastanawiał się nieraz nad tym, gdzie one mogą błędzić. Służący miał dwadzieścia pięć lat i już sam jego widok wystarczał, by sprowokować Bobba do seksualnych spekulacji.

- Ależ, Bobo - mówiła Mary Fisher - nie jesteś chyba zazdrosny! Garcia jest tak młody, że mógłby być moim synem.

- Edyp też był bardzo młody - odpowiadał, czym ją rozśmieszał. Jak uroczy był jej śmiech i jak łatwo jej przychodził! Bobo pragnął, aby nikt, oprócz niego, jej śmiechu nie słyszał. Czy istniała jednak możliwość, aby z Mary Fisher spędzać cały czas? Bo właściwie tylko stała obecność była sposobem na zatrzymanie kochanki wyłącznie dla siebie i zapewnienie sobie jej wierności. Bobo musiał przecież pracować, zarabiać pieniądze, być ojcem dzieciom i mężem niezdarnej, pochlipającej i niewiarygodnie nudnej żony. Na nim spoczywała odpowiedzialność za małżeństwo, to oczywiste. Skoro on cierpiał, mogła cierpieć także Ruth.

Wydawało mu się, że od czasu, kiedy opowiedział jej o swojej miłości do Mary Fisher, jego i tak wielka żona jeszcze bardziej się rozrosła. Pytał, czy przytyła. Odpowiadała, że nie, i kiedyś nawet stanęła na wadze. Dziewięćdziesiąt dziewięć i pół kilograma - kilogram mniej niż zwykle! A zatem tylko w jego wyobraźni wymiary Ruth uległy zmianie.

Bobo włączył gramofon. Miał nadzieję, że w ten sposób zagłuszy płacz żony. Wybrał "Cztery pory roku" Vivaldiego, aby muzyka kojąco wpłynęła na nich oboje i Ruth przestała płakać. Czego ona właściwie od niego oczekuje? Nigdy nie przyrzekał, że będzie ją kochał. A może? Zupełnie jednak nie mógł sobie tego przypomnieć.

Ruth wyszła z pokoju. Usłyszał szcęk piekarnika, jej pochlipywanie i nagły łomot. Poparzyła sobie palce, a vol-au-vent znalazło się na podłodze - mógł być tego pewien. A tak

niewielka była odległość do pokonania - zaledwie od piekarnika do stołu.

Nastawił głośniejszą muzykę i poszedł do kuchni. Tam na wyłożonej linoleum podłodze zobaczył kurczaka, rozlaną śmietanę i kawałki ciasta, a także psa i kotkę, zmiatających to wszystko łapczywie. Kopniakami wypędził zwierzęta do ogrodu, posadził Ruth na krześle i przykazał, aby już więcej nie denerwowała dzieci, które i tak są wystarczająco rozdrażnione. Po czym metodycznie i w sposób możliwie najbardziej higieniczny przystąpił do zeskrobywania wszystkiego z podłogi. Ponieważ nie udało się uratować całych kawałków ciasta, potrzebnych do rekonstrukcji głównego dania, skupił się na stworzeniu wielkiej nadziewanej kurczakiem babki. Kierując się względami czystości, pozostawił na podłodze cienką warstwę jedzenia, którego wartość oszacował na niespełna dwa dolary.

Przywoływał psa i kotkę; chciał, aby zlizwały resztki z podłogi, ale obrażone stworzenia były teraz na dworze i nie miały zamiaru wracać do kuchni. Usiadły pod ścianą obok rodziców Bobba i tak jak oni czekały na zmianę domowego klimatu.

- Przestań płakać - nalegał w kuchni Bobo. - Dlaczego o wszystko robisz tyle hałasu? To tylko moi rodzice przychodzą na obiad. Wcale nie oczekują, żebyś się aż tak starała.

Naprawdę byliby bardzo zadowoleni, gdybyś poczęstowała ich jakąś zwyczajną potrawą.

- Nie, nie byliby. Zresztą nie płaczę z tego powodu.

- A więc z jakiego?

- Przecież wiesz.

- Ach, Mary Fisher... - No tak, istotnie wiedział. Próbował jednak tłumaczyć: - Przecież kiedy brał się ślub, nie oczekiwałaś chyba, że już nigdy nikogo nie pokocham?

- A właśnie że tak! Każdy tego oczekuje!

- Ale ty, Ruth, nie jesteś taka jak wszyscy.

- Czy to znaczy, że jestem wybrykiem natury?

- Nie - odpowiedział uprzejmie i rozważnie. - Sądzę, że oboje jesteśmy dużymi indywidualnościami.

- Jesteśmy małżeństwem, jednym ciałem.

- Nasz związek był raczej małżeństwem z rozsądku, kochanie, i wówczas uważaliśmy tak oboje.

- Chyba mówisz o sobie.

Roześmiał się.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Ponieważ myślisz schematycznie i mówisz schematami.

- Domyślałam się, że Mary Fisher to się nie przytrafia?

- Naturalnie, że nie. Jest pełną polotu artystką.

W drzwiach kuchni pojawiły się dzieci, Andy i Nicola; chłopiec niski i drobny, dziewczynka duża, wyrosnięta. Wszystko na odwrót: on wyglądał bardziej dziewczęco niż ona. Bobo oskarżał o to Ruth, czuł, że było to jej celowe działanie. Serce krwawiło mu z powodu dzieci, które rozstrajały jego subtelne nerwy, codziennie szarpiąc je boleśnie. Pomimo że je kochał, wolałby, aby się nigdy nie narodziły, stały bowiem między nim a Mary Fisher. Ostatnio miewał nawet dziwne, dręczące sny, w których dzieci spotykał bardzo smutny koniec.

- Czy mogę wziąć ciasteczko? - spytała Nicola. Na domowy kryzys reagowała prośbą o jedzenie. Zawsze miała nadwagę. Odpowiedź: - Nie! - jakiej się spodziewała, powinna rozładować pełną napięcia atmosferę, co być może ustrzeże rodziców od dalszych nieporozumień. Wierzyła, że zbyt zajęci besztaniem córki, zapomną o kłótniach. Była jednak w błędzie.

- Wbiła mi się drzazga - poinformował Andy. - Zobaczcie, jak utykam!

Demonstrując to, wdepnął w resztki jedzenia i pokuśtykał do pokoju, pozostawiając za sobą ślady z sosu na jasnozielonym, pięknie stonowanym dywanie harmonizującym ze ścianami w kolorze awokado i sufitem w morskiej zieleni.

Bobo uzmysłowił sobie od razu, że tak tłuste plamy zwiększą rachunek za czyszczenie o dodatkowe trzysta dolarów. Nadchodził właśnie czas dorocznej renowacji dywanu i teraz trzeba go będzie oddać do pralni specjalnej zamiast do zwykłej.

Na zewnątrz Angus i Brenda doszli do wniosku, że Ruth miała dość czasu, aby się opanować. Opuścili swoje miejsce pod ścianą, podeszli ogrodową ścieżką i zadzwonili leśnymi dzwonekami u frontowych drzwi: pling-plong!

- Proszę, nie zawstydzaj mnie przed rodzicami - błagał Bobo, lecz Ruth zaczęła jeszcze bardziej płakać, szlochając przejmująco i niepohamowanie, aż drżały jej gigantyczne ramiona. Nawet łzy miała większe i wilgotniejsze niż inni ludzie. Mary Fisher - pomyślał - płacze ładnymi, wykwintnymi, drobnymi łzami, które razem mają większe napięcie powierzchniowe niż łzy jego żony i na wolnym rynku małżeńskim z pewnością mogłyby osiągnąć wyższą cenę. Gdyby tylko taki rynek istniał, Bobo natychmiast sprzedałby Ruth.

- Wejdźcie - zwrócił się do rodziców stojących we frontowych drzwiach. - Wejdźcie! Jak to miło, żeście przyszli! Ruth obierała właśnie cebulę i chyba jest trochę zapłakana.

Ruth pobiegła na górę do swojego pokoju. Kiedy biegnie Mary Fisher, jej kroki są lekkie i zwinne. Ciężar Ruth przelewa się z jednej masywnej nogi na drugą i przy każdym jej stąpieniu dom drży w posadach. Domy w Eden Vale aczkolwiek nie są przeznaczone dla liliputów, to jednak dla mieszkańców lżejszego kalibru.

Rozdział piąty

W powieściach Mary Fisher, które w błyszczących różowo-złoty okładkach sprzedają się w setkach tysięcy egzemplarzy, małe, demoniczne kobieciątka wznoszą oczy pełne łez ku przystojnym mężczyznom; po czym pozornie z nich rezygnując zdobywają swój łup. Tylko niewysokie kobiety mogą w ten sposób patrzeć na mężczyzn. Osobie mającej ponad metr osiemdziesiąt osiem sprawia to prawdziwy kłopot.

Muszę ci coś wyznać: jestem zazdrosna! Jestem zazdrosna o każdą małą, ładną kobietę, jaka kiedykolwiek od początku świata istniała i mogła spoglądać w górę. W rzeczywistości zżera mnie zazdrość, a jest to uczucie niepohamowane, potężne i nienasycone.

Pytasz, dlaczego tak bardzo się tym wszystkim przejmuję? Czy nie mogłabym wewnątrz pogodzić się sama z sobą, zapomnieć o tamtej sferze mojego życia i być zwyczajnie zadowoloną? Czyż nie mam domu, męża, który płaci rachunki? Czyż nie mam dzieci pod opieką? Czy to nie wystarczy? Odpowiedź brzmi: - Nie.

Pragnę, błagam, gotowa jestem umrzeć za to, by stać się częścią tego innego erotycznego świata, świata wyboru, pożądania i namiętności. Nie czekam na miłość, na nic, co byłoby aż tak proste. Chcę zdobyć wszystko, nie dając w zamian nic. Pragnę panować nad sercami i portfelami mężczyzn. To jest ten jedyny rodzaj władzy, jaką możemy mieć tutaj, w Eden Grove - w raju - ale i tego mi odmówiono.

Stoję w sypialni, naszej sypialni, Bobba i mojej; staram się zapanować nad twarzą, aby prędzej wrócić do obowiązków małżeńskich, do powinności żony, matki, do moich teściów.

Odmawiam w tym celu Litanię Dobrej Żony, co wygląda mniej więcej tak:

Muszę udawać, że jestem szczęśliwa, nawet gdy nie jestem; dla wspólnego dobra.

Muszę zaniechać krytykowania własnej egzystencji; dla wspólnego dobra.

Muszę być wdzięczna za dach nad głową i chleb na stole i przez wszystkie swoje dni to okazywać: sprzątając, gotując, podrywając się z krzesła na każde skinienie; dla wspólnego dobra.

Muszę zjednać sobie rodziców męża, a moich przekonać do niego; dla wspólnego dobra.
Muszę podporządkować się regule, że ten, kto lepiej zarabia i więcej przynosi do domu, zasługuje w nim na więcej względów; dla wspólnego dobra.

Muszę umacniać seksualną pewność siebie mojego męża. Ani w życiu prywatnym, ani publicznie nie wolno mi okazywać najmniejszego erotycznego zainteresowania innymi mężczyznami. Muszę ignorować fakt, że poniża mnie, publicznie się zachwycając młodszymi, ładniejszymi i odnoszącymi sukcesy kobietami, a prywatnie z nimi sypia; dla wspólnego dobra.

Muszę okazywać mu moralne wsparcie we wszystkich jego poczynaniach niezależnie od tego, jak niemoralne mogą się wydawać - dla dobra naszego małżeństwa. Muszę udawać, że o wiele mniej od niego znaczę; dla wspólnego dobra.

Muszę otaczać go miłością w bogactwie i biedzie, na dobre i złe i niezmiennie zachowywać lojalność; dla wspólnego dobra.

Nie poskutkowało. Litania niczego nie załagodziła, tylko rozdrażniła mnie jeszcze bardziej, wreszcie coś we mnie się załamało. Nagle poczułam, że nie mogę już dłużej tak żyć: zawsze wierna i lojalna wobec męża i dzieci.

Patrzę w głąb siebie i odnajduję tam tylko nienawiść. Pałacą, gwałtowną i słodką nienawiść do Mary Fisher. Nie ma we mnie ani okruszka miłości, ani nawet jej drobnego kielka. Wbiegłam po schodach na górę zakochana i zapłakana. Zejdę na dół będąc kimś, kto już nie kocha i płakać też więcej nie będzie.

Rozdział szósty

- Ale dlaczego ona płacze? - spytała Brenda Bobba, kiedy Ruth ciężko stąpała na górce, aż dom drżał w posadach. - Czy to już ta pora miesiąca?

- Chyba tak - mruknął Bobo.

- Jakież to utrapienie dla kobiety - zauważyła, a Angus lekko zakasłał, zakłopotany takim przebiegiem rozmowy.

Wkrótce potem zeszała na dół uśmiechnięta Ruth i podała zupę.

Po raz pierwszy Bobo spotkał Ruth przed dwunastu laty. Była jedną z dziewcząt pracujących u ojca w zespole sekretarek. Angus zajmował się wtedy handlem artykułami piśmiennymi i dorabiał się swojego drugiego miliona, co stanowiło wejście w świat Podatku od Wartości Dodanej, później znowu zniwelowanej do zera. Angus i Brenda akurat wtedy mieszkali we własnym domu, a nie w hotelu, za co Bobo, mimo że sam przebywał gdzie indziej - na poddyplomowych studiach - był im wdzięczny. Egzamin z księgowości zdaje się przez wiele lat, co powoduje, że syn (na ogół jest to syn) niezwykle długo jest uzależniony od ojca.

Ruth była pożyteczną, chętną dziewczyną, zdolną do skupienia się na pracy, nie zaś taką, która godzinami wpatrywałaby się we własne odbicie w lustrze. Ściślej rzecz ujmując - w ogóle unikała luster. Mimo że wciąż była nastolatką, mieszkała sama poza domem. Jej sypialnia była potrzebna ojczymowi do zainstalowania w niej modelu kolejki elektrycznej. Ruth i pociąg nie mogli zgodnie i bezpiecznie dzielić pokoju, i to zarówno z powodu jej niedbałości, jak i kruchości delikatnego urządzenia. Jeśli jedno musiało odejść, łatwiej było usunąć Ruth. Upłynęłyby miesiące, zanimby się udało prawidłowo ułożyć w nowym miejscu tory kolejki, a młoda kobieta mogła osiąść przecież byle gdzie.

Zdecydowała się więc zamieszkać w pensjonacie zajmowanym przeważnie przez dziewczyny ze sklepów, szczególnie typ młodych, dość frywolnych, samodzielnych kobiet. Paski, które ścisnęły ich wąskie talie, ona zaledwie mogła dopiąć na jednym swoim udzie.

Opuszczenie przez Ruth rodzinnego domu nie wywołało większych emocji: dla wszystkich i dla niej samej było oczywiste, że wyrosła już z tego miejsca. Uczęszczała do przyklasztornej szkoły, prowadzonej przez zakonnice: osoby przesądne, bynajmniej nie mające w sobie nic z intelektualistek. Skupiały się na kształtowaniu w uczennicach cech typowo kobiecych i rodzinnych, a egzaminy, które mówiąc w skrócie - nie miały z tym nic wspólnego, w ogóle nie były przeprowadzane. Surowe traktowanie wyrabiało w podopiecznych stoicki spokój i powściągliwość w okazywaniu uczuć; łzy i emocje nie mogły tam liczyć na zrozumienie.

Miranda i Jocelyn, przyrodnie siostry Ruth, radziły sobie u Świętej Marty zupełnie dobrze, zwłaszcza w tańcach greckich, w których z wdziękiem i słodyczą zaprezentowały się podczas koncertu na zakończenie szkoły. Ona zresztą też bywała użyteczna przy takich okazjach: podawała rekwizyty. - No widzisz - mówiły zakonnice - każdy ma swoją wartość. Dla wszystkich znajdzie się miejsce na tym cudownym bożym świecie.

Wkrótce po wyprowadzeniu się Ruth do pensjonatu jej matka również opuściła dom. Czuli się zapewne przyparta do muru rozrastającą się kolekcją kolejek, mógł ją też rozczarować brak seksualnego entuzjazmu, jakim często charakteryzują się osoby usidlone przez hobby, które wszystko im wynagradza. A może - wyobrażała sobie Ruth - nieobecność córki sprawiła, iż wreszcie poczuła się wolna. W każdym razie jej matka uciekła z pewnym inżynierem górnikiem do Zachodniej Australii, zabierając ze sobą na drugi koniec świata Jocelyn i Mirandę, gdy tymczasem ojczym związał się z kobietą, która miała niezwykle wysokie wymagania i nie widziała powodu, aby Ruth miała u nich bywać. Poza tym nie istniały między nimi ani więzy krwi, ani nawet najdalsze powinowactwo.

O całej historii Brenda dowiedziała się za sprawą Angusa i poczuła szczere współczucie dla Ruth.

- Dziewczyna potrzebuje pomocnej ręki - zdecydowała. Kiedy we wczesnych godzinach rannych bądź w porze lunchu dzwoniła do męża, telefon zawsze odbierała Ruth: uprzejma, spokojna, kompetentna. Inne dziewczęta wychodziły na zakupy po jakieś drobiazgi: kolczyki, cienie do oczu i tym podobne rzeczy, w czasie gdy powinny pracować dla Angusa (nic dziwnego, że stale bankrutował). Ruth to się nigdy nie zdarzało, zawsze była na miejscu.

- Kiedyś też byłam brzydkim kaczątkiem - westchnęła Brenda. - Dobrze wiem, co się wtedy czuje.

- Ona nie jest brzydkim kaczątkiem - zaprotestował Angus. - Brzydkie kaczątka przemieniają się w łabędzie.

- Sądzę - powiedziała Brenda - że do tego dziewczyna potrzebuje prawdziwego domu, który mógłby być dla niej oparciem. Mogłaby zamieszkać z nami. Pomogłabym jej coś z siebie wykrzesać. W zamian po pracy zajęłaby się gotowaniem, a wieczorami sprzątaniami. Naprawdę potrzebny mi jest ktoś do prasowania. Będzie oczywiście też płacić czynsz. Jest bardzo dumną dziewczyną. Jedna trzecia pensji - to byłoby do przyjęcia.

- Przecież tu nie ma miejsca - odparł Angus. Dom, w którym mieszkali, był niewielki, ale właśnie w takich warunkach oboje czuli się najlepiej.

Brenda jednak zauważyła, że przecież Bobo przebywa na uczelni i jego pokój jest wolny.

- To marnotrawstwo - mówiła - jeśli pokoje stoją puste.

- Mieszkałaś w tyłu hotelach - stwierdził Angus - że zaczynasz myśleć jak hotelarz. Ale rozumiem, o co ci chodzi.

Brenda i Angus czuli, choć nie mieli ochoty się do tego przyznać, iż niedojrzałość Bobba i jego zależność od nich faktycznie trwają już zbyt długo. Do tej pory jego pokój powinien być pusty, to oczywiste, żeby mogli nim swobodnie dysponować, opieka rodzicielska nie może przecież trwać wiecznie. Postanowili więc wypełnić pokój Bobba, a któż nadawał się do tego lepiej niż Ruth?

- Bobo zawsze może się przespać na sofie - zawyrokowała Brenda. - Jest całkiem wygodna.

Kiedy Bobo przyjechał na Boże Narodzenie do domu, zaskoczony i poirytowany odkrył, że zamiast własnego łóżka przydzielono mu sofę. Drażniło go również, że jego stare podręczniki szkolne zostały usunięte z szafki, aby zrobić miejsce dla rozdeptanych płaskich pantofli Ruth.

- Spójrz na nią jak na siostrę - zaproponowała matka. - Siostry nigdy nie miałeś!

Skoro tak, to w porządku! Jak wszystkich, Bobba dręczyły w dzieciństwie marzenia kazirodzkie. Teraz więc uznał, że słowa matki są przyzwoleniem na jego fantazje i nad ranem wkradł się do własnego w końcu łóżka. W przeciwieństwie do twardej, zimnej i wąskiej sofy - Ruth była gorąca, miękka i szeroka. Polubił Ruth. Nigdy go nie wyśmiewała ani nie okazywała wzdąry wobec jego seksualnych wyczynów, jak to robiła Audrey Singer, dziewczyna, w której był właśnie zakochany. Czuł, że przez uwiedzenie Ruth, tej uległej ogromnej góry, pokaże Audrey, na co go stać.

Było to seksualne samobójstwo w najbardziej dramatycznym wymiarze.

- Zobacz, co narobiłaś! - zwracał się w duchu do Audrey. - Widzisz, w czyje ramiona mnie popchnęłaś? W ramiona Ruth!

- Tylko popatrz - w głębi serca przemawiał do matki - upiekłaś dwie pieczenie przy jednym ogniu. No zobacz, co się stało, gdy wypędziłaś mnie z własnego pokoju i z własnego łóżka. Musiałem wskoczyć tam z powrotem, nie dbając o to, kto w nim jest.

Układ ten odpowiadał Ruth. Tajemnicę swej miłości hołubiła w sercu. Poczuli się wyleczona z kompleksów, bardziej podobna do innych, tyle że większa, ale ostatecznie nie miało to znaczenia, kiedy się kładła. Podczas świąt zadzwoniła żona ojczyma z zapytaniem, jak się miewa. Zgodnie z prawdą była w stanie odpowiedzieć, że wie dzie jej się doskonale, co z kolei odczuwającemu pewne wyrzuty sumienia małżeństwu pozwoliło zapomnieć o niej na dobre. Wkrótce potem napisała matka zawiadamiając ją, że to już ostatni list do córki, albowiem zgodnie z życzeniem obecnego męża ma zerwać z przeszłością. Zakomunikowała również, że oboje należą do nowej wspaniałej religii, która wymaga od żony bezwzględного podporządkowania się woli męża. W takim przyzwoleniu - pisała matka - leży pokój. Udzieliła córce błogosławieństwa (przekazała też błogosławieństwo samego Mistrza, z którym pozwolono jej się osobiście skontaktować w sprawie Ruth. Mistrz jest reprezentantem Boskiej Jedni na tej ziemi, podobnie jak żona jest przedstawicielem męża). Matka była wdzięczna losowi, że Ruth jest już w pełni dorosła i potrafi sama się o siebie zatroszczyć. Bardziej martwiła się o młodsze córki: Jocelyn i Mirandę, ale Mistrz zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze. List był ostatnim, pełnym miłości pożegnaniem.

- Rodzice - stwierdził Bobo - są dani po to, by nas srodze doświadczać.

Sprawiła mu przyjemność uległość Ruth, sposób, w jaki wodziła za nim po pokoju ciemnymi lśniącoymi oczami. Lubił z nią sypiać: była gorącym, mrocznym, wiecznym sanktuarium, a jeśli światło się zapaliło, zawsze mógł przecież przymknąć oczy.

- Możliwe, że się pobiorą - powiedziała Brenda do męża - i oboje się stąd wyniosą.

Ruth zużywała więcej gorącej wody, niż przewidywała Brenda, zwłaszcza podczas kąpieli. W hotelach gorąca woda była za darmo lub tak im się przynajmniej wydawało.

- Zdecydowanie uważam - odparł Angus - że taki chłopak jak nasz Bobo musi się mądrze ożenić, z jednej strony biorąc pod uwagę pieniądze, z drugiej zaś koneksje.

- Ja nic nie miałam - przypomniała mu - a poślubiłeś mnie! - Pocałowali się, pragnąc jak najdłużej być ze sobą sam na sam, bez towarzystwa młodszej generacji.

Bobo wrócił na studia, zdał ostatni egzamin z księgowości, przyjechał do domu i nabawił się zapalenia wątroby. Ruth zorientowała się, że jest w ciąży.

- Muszą się pobrać - zdecydowała Brenda. - Jestem za stara, by pielęgnować inwalidę.

W czasie choroby Bobba Ruth sypiała na sofie, co się skończyło pęknięciem sprężyn.

- Małżeństwo?! - przeraził się Bobo.

- Jest brzoskwinia wśród kobiet - mówiła matka. - Nie wyobrażam sobie, jak twój ojciec będzie mógł sobie bez niej poradzić. Jest zaradna, sumienna i dobra.

- Ale co ludzie powiedzą? - jęknął Bobo.

Brenda udała, że tego nie słyszy, i wystawiła dom na sprzedaż. Teraz, kiedy syn miał stanąć na własnych nogach, mogli się wreszcie przenieść do hotelu. Audrey Singer ogłosiła zaręczyny z innym. Bobo wlał w siebie pół butelki whisky, wywołując tym ciężki nawrót choroby, i ożenił się z Ruth, która była już w piątym miesiącu ciąży. Zapalenie wątroby osłabia cały organizm i wywołuje depresję. Zanosilo się na to, że matka Bobba miała rację mówiąc, iż wszystkie żony są do siebie podobne. Wielkim atutem Ruth była jej obecność.

Do urzędu stanu cywilnego Ruth wbiła się w białą satynową suknię ślubną i wtedy Bobo zdał sobie sprawę, że chyba popełnił błąd. Żona żonie nierówna, musiały istnieć spore różnice. Odnosił wrażenie, że ludzie chichocą po kątach. Ledwie urodziło się pierwsze dziecko, zaraz poczęto się następne.

Później udało mu się ją nakłonić do założenia spirali i zaczął rozglądać się za bardziej odpowiednimi obiektami swoich uczuć i potencji seksualnej. Znalazł je bez trudu, gdy tylko przykre objawy zapalenia wątroby jeły ustępować. Nie znosił nieuczciwości ani hipokryzji, postanowił zatem mówić Ruth o wszystkim, co się dzieje i co może nastąpić, jeśli będzie w stanie jeszcze więcej z siebie wykrzesać. Przypomniat jej, że ona też jest wolnym człowiekiem i może na własną rękę eksperymentować z seksem.

- Nasze małżeństwo będzie miało otwarty charakter - uprzedzał, zanim się jeszcze pobrali. Była wtedy w czwartym miesiącu ciąży i raczej kiepsko się czuła.

- Oczywiście - przytaknęła - ale co to właściwie znaczy?

- Nasze życie musimy przeżyć w pełni i zawsze być wobec siebie uczciwi. Małżeństwo ma być podporą, a nie więzieniem, punktem startu, a nie linią mety.

Skinęła głową na znak zgody. Niekiedy, aby powstrzymać mdłości, przykładala palce do ust, tak jak wtedy, gdy Bobo rozwodził się na temat wolności osobistej. Wolałby, żeby tego nie robiła.

- Prawdziwa miłość nie jest zaborcza - dowodził. - I miłość, która połączyła nas na stałe, właśnie taka powinna być. Zazdrość, jak każdy wie, jest uczuciem niskim i haniebnym.

Z tym też się zgodziła i pobiegła do łazienki.

Niebawem Bobo ku swemu wielkiemu przerażeniu odkrył, że myśl, iż o swoich seksualnych wyczynach będzie opowiadał żonie, sprawia mu dodatkową przyjemność. Patrzył na swoje ciało z boku, on, świadek własnych erotycznych przygód. Ogromnie go to podniecało, jednocześnie zmniejszając poczucie odpowiedzialności za swoje czyny, od kiedy mógł dzielić się przeżyciami z żoną.

Dla obojga było jasne, że ciało Ruth jest pomyłką. W nim ona upatrywała źródła wszystkich swoich niepowodzeń, ale Bobo nie; wprowadzony w błąd, ożenił się z konieczności i choć wypełniał swoje podstawowe małżeńskie obowiązki, nigdy nie miał zamiaru z tą potwornością się pogodzić. I Ruth o tym wiedziała.

Wydawało się, że jedynie rodzice oczekują od niego, że będzie wierny i miły, podobnie jak Angus wobec Brendy i Brenda wobec Angusa. Traktowali Bobba i Ruth jak parę przykładowych małżonków, a nie ludzi, którzy wzięli ślub przez pomyłkę.

Ruth spacerowała z wózkiem dziecięcym po parku. Cieszył ją smak lodów na patyku, czytanie romansów - również tych, które napisała Mary Fisher - i to, że miała na świecie Bobba.

Wkrótce po przeprowadzce do Eden Grove Bobo podczas przyjęcia, które wydawał w swoim biurze, zobaczył Mary Fisher w przeciwległym końcu zatłoczonego pokoju. Popatrzyła na niego i powiedziała:

- Proszę pozwolić mi zostać pańską klientką.

Odpowiedział:

- Z przyjemnością.

I przeszłość dla Bobba zbladła, łącznie nawet z burzliwą historią związku z Audrey Singer; terażniejszość ukazała mu się z całą wyrazistością, a przyszłość - pełna cudownych i niebezpiecznych tajemnic.

Tak się zaczęła ta historia. Późnym wieczorem Bobo z Ruth postanowili odwiedzić Mary Fisher do domu. Przed przyjęciem śpieszyła się i tak niefortunnie zaparkowała swojego rolls-royce'a, że zakłóciła ruch uliczny, toteż w czasie gdy promienna i drżąca starała się olśnić pana domu, policja odholowała jej samochód - przyczynę gigantycznego korka.

- Rano posłę Garcie, aby odzyskał tę głupią maszynę - mówiła, a potem spytała, czy Bobo i Ruth nie mogliby jej podrzucić, skoro jadą w tę samą stronę.

- Oczywiście! - wykrzyknął Bobo. - Oczywiście!

Ruth jakoś opacznie zrozumiała, że to Mary Fisher mieszka po drodze do nich, lecz kiedy Bobo zatrzymał się na rogu alei Eden i ulicy Nocnego Ptaka, pojęła własną pomyłkę.

- Niech ją pan odprowadzi chociaż do drzwi - zaprotestowała Mary w akcie łaskawości, którego Ruth jej nigdy nie wybaczyła, lecz Bobo roześmiał się i powiedział:

- Nie wydaje mi się, żeby Ruth mogła paść ofiarą gwałtu. Nieprawdaż, kochanie?

Nie pozostało jej nic innego, jak przytaknąć skwapliwie:

- Wszystko w porządku, panno Fisher. Mieszkamy w ślepych zaułku i trudno zawrócić w tych ciemnościach! Poza tym dzieci zostały bez opieki, więc muszę jak najszybciej wracać - dodała.

Ale oni już jej nie słuchali. Wygramoliła się zatem z tylnego siedzenia - z przodu obok Bobba zajmowała miejsce Mary Fisher - i zanim drzwiczki się zamknęły, usłyszała jej słowa:

- Nigdy mi pan tego nie wybaczy. Mieszkam taki kawał drogi stąd, prawie na wybrzeżu, a właściwie na samym wybrzeżu.

Bobo odpowiedział:

- Czy sądzi pani, że o tym nie wiedziałem?

Trzasnęły drzwi i Ruth ogarnęły ciemności. Samochód ruszył z piskiem opon i tylko czerwone tylne światła rozproszyły na chwilę mrok. Bobo nigdy tak nie prowadził, kiedy jechali razem: drum, drum! Ale też nigdy nie odważyła się go prosić o takie błahostki jak zawiezenie do domu albo podrzucenie na zakupy. Zawsze robił tyle szumu, jeśli próbowała takich sztuczek. Jak Mary Fisher mogła się tak ośmielić? I dlaczego jej tupet go ujął, a nie obraził? Podwiezienie na wybrzeże... podczas gdy Ruth wolałaby raczej człapać w deszczu, niż narazić go na stratę choćby piętnastu sekund.

Poszła do domu i rozmyślając nad tym wszystkim, bezsennie przeleżała całą noc. Bobo oczywiście nie wrócił. Rano pokrzykiwała na dzieci, aż wreszcie powiedziała sobie, że to nie w porządku wyładowywać się na nich; wzięła się w garść i zjadła cztery chrupiące bułeczki z morelowym dżemem. Dom stał cichy, a ona była samotna.

Bobo wrócił do domu śmiertelnie zmęczony. Zrezygnował z obiadu, poszedł prosto do łóżka i natychmiast zasnął. Obudził się o siódmej rano i oznajmił: - Teraz wiem, co znaczy miłość. - Wstał, ubrał się, pooglądał w lustrze, tak jakby zobaczył tam coś nowego, i przepadł na następną noc. Później dwa albo trzy razy w tygodniu nie nocował w domu.

Mówił, że pracuje i musi zostawać w mieście, ale gdy wracał, czasem wyczerpany, a czasem w szampańskim humorze, zbierało mu się na zwierzenia. Opowiadał o Mary Fisher, gościach bywających u niej na obiedzie, o tych wszystkich sławnych i bogatych ludziach, o których nawet Ruth słyszała. Mówił, co było do jedzenia i jak zabawne, urocze i nieprzyzwoite rzeczy opowiadała Mary Fisher, w jaką suknię była ubrana i co się działo, gdy ją w końcu zdjęła.

- Ruth - mówił - jesteś moim przyjacielem, powinnaś mi dobrze życzyć. Życie jest takie krótkie. Nie żałuj mi tego doświadczenia, nie zazdrość miłości. Nie opuszczę cię, nie musisz

się martwić. Nie zasłużyłaś na to, by cię porzucić; jesteś matką moich dzieci. Bądź spokojna, to przejdzie. Jeśli cię ranię - przepraszam, jest mi przykro. Pozwól mi jednak tym się z tobą dzielić.

Ona przysłuchiwała się z uśmiechem, czekała, ale nic nie mijało. Podczas pustych, cichych dni rozmyślała o naturze kobiet, które nie przejmują się innymi kobietami - żonami.

- Musisz mnie zabrać na obiad do Wysokiej Wieży - upomniała się któregoś dnia. - Czy nie wydaje się im dziwne, że twoja żona tam nie bywa?

- Nie są ludźmi twojego pokroju - odparł Bobo. - Pisarze, artyści, no wiesz, te sprawy. Nie spotkasz tam nikogo, kto ostatnio brałby ślub.

Musiał jednak coś wspomnieć na ten temat Mary Fisher, skoro wkrótce Ruth została zaproszona do Wysokiej Wieży. Na obiedzie była tylko para innych gości: radca prawny z żoną, oboje dość wiekowi. Mary Fisher powiedziała, że niektórzy w ostatniej chwili odwołali swoje przyjęcie, ale Ruth jej nie uwierzyła.

Bobo usilnie się starał odwieść Mary Fisher od zamiaru zaproszenia Ruth, lecz mu się to nie udało.

- Jeżeli ona jest częścią twojego życia, kochanie - przekonywała go - powinna stać się także i częścią mojego. Chcę się z nią spotkać w normalnych warunkach, a nie jak z osobą porzuconą na rogu ulicy w środku nocy. Żadna z moich bohaterek tego by nie zniosła! Powiem ci, co zrobię. Urządzę oficjalne przyjęcie, a nie jedną z tych naszych wesołych imprez.

Czasami Bobo pytał Mary Fisher, dlaczego go kocha. Odpowiadała, że bardzo ją pociąga, iż jest zarazem kochankiem i ojcem, a to, co zakazane i dozwolone, stapia się w jedno. Miłość jest niezgłębiona, Kupido zaś samowolny. I jeszcze pytała, czemu właściwie chce wiedzieć. Czy nie mógłby po prostu się z tym pogodzić?

Zrobił to: Ruth przyszła na obiad. Popelniała gafy, czerwieniła się, a światła całego wieczoru jakby złośliwie skupiły się na włoskach nad jej górną wargą i na podbródku. Rozlewała wino na obrus i mówiła niewłaściwe rzeczy do niewłaściwych osób, zaskakując je i sprawiając im przykrość.

- Czy nie sądzi pan - zwróciła się do adwokata - że im więcej mamy policji, tym więcej jest przestępstw?

- Chciała pani zapewne powiedzieć - sprostował uprzejmie - że im więcej mamy policji, tym jest mniej przestępstw? Oczywiście.

- No nie, wcale to nie jest takie oczywiste - odpowiedziała podekscytowanym głosem, a wymieszana ze szpinakiem ślina ściekała jej po brodzie. Bobo musiał ją kopnąć pod stołem, aby się trochę uspokoiła.

Czasami podejrzewał, że Ruth jest szalona. Nie chodziło o jej dziwaczny wygląd, lecz o to, że nigdy nie można było przewidzieć, czy będzie się zachowywać jak inni ludzie.

Zaniepokoiła go też Mary, która - od czasu spotkania z Ruth "w normalnych warunkach" - zaczęła odnosić się do niego z chłodnym dystansem. Zetknięcie z nieszczęśliwym i pechowcem nikomu nie sprawia przyjemności. Miłość, sukces, energia, zdrowie, szczęście chodzą parami w zamkniętym kręgu. Z drugiej zaś strony tak niewiele trzeba, żeby zachwiać tę równowagę. Wystarczy wymiana jednego elementu, a już wszystko się psuje. Szczęście odwraca się tak łatwo!

Kochał Mary Fisher! Kochał! Kochał! Ale teraz jego rodzice przychodzili na obiad, a żona płacząc urządzała sceny i ciskała jedzeniem. Oto dlaczego jej nie znosił! Ruth stała pomiędzy nim a jego szczęściem! Czy w całej historii małżeństwa spotkano się kiedyś z tak doskonałą kwadraturą koła?

Bobo zagadnął kiedyś Mary Fisher: - Mary, czy nie czujesz się winna, że masz romans z żonatym mężczyzną?

Mary odpowiedziała pytaniem: - A czy to, co jest między nami, to romans? - Serce Bobba zaczęło łomotać w popłochu, dopóki nie dodała: - Myślałam, że nasz związek znaczy coś więcej, wiem, że chodzi o coś więcej! To więc na zawsze. - Ogarnęło go błogie uczucie radości, gdy ciągnęła: - Winna? Nie. Miłość wymyka się spod kontroli. Zakochujemy się i nie ma w tym niczyjej winy. Nie jest to nasz błąd ani mój. Przypuszczam, że Ruth niczego od życia nie oczekuje, więc nic dobrego nie może jej spotkać. Nie niszczy własnego życia tylko dlatego, że ona przyszła na świat z tak ograniczoną, niewielką potrzebą radości. Wyświadczyłeś jej przysługę, kiedy się z nią ożeniłeś, i kocham cię za to. Teraz, najdroższy, bądź dobry dla mnie. Zostań ze mną. Tu, teraz, na zawsze.

- A dzieci?

- Są koroną Ruth i jej klejnotami. Są jej pociechą. Jakże ona musi być szczęśliwa! Ja nie mam dzieci, nie mam nikogo oprócz ciebie.

Mówiła to, co chciał usłyszeć, i było to porywające. Teraz jednak siedział przy stole w domu na przedmieściu z matką i ojcem, z własną przeszłością i rozmyślał o Mary Fisher, o tym, jak bardzo jest jej potrzebny. I już tęsknił za przeszłością. Wreszcie nadeszła Ruth z wazą zupy.

Dzielny uśmiech Ruth unosił się nad zupą. Teściowie przyglądali się jej ze spokojnym, uprzejmym wyczekiwaniem, a ona tymczasem wypatrzyła trzy psie kłaki pływające w szarawej brei, jaką stanowi dobra zupa grzybowa doprawiona śmietaną i dokładnie przetarta.

Pies wabił się Harness. Bobo kupił go Andy'emu na ósme urodziny. Opiekowała się nim Ruth. Harness jej nie lubił. W psich oczach ta olbrzymka stanowiła zniewagę wobec naturalnego porządku rzeczy. Godził się na jedzenie, które mu dawała, sypiał jednak tam, gdzie chciał, nie zaś tam, gdzie mu kazała. Przekradał się pod kredens i łapał zębami ręce, które go szukały. Tarmosił obicia na meblach i donośnie szczeakał, jeśli zamykano go w miejscach, w których nie chciał przebywać. Gubił sierść, wykradał jedzenie, funtami zżerał masło (jeśli mógł się tylko do niego dostać) i natychmiast wymiotował. Bobo lubił chodzić z psem do parku w niedzielę, kiedy bywał w domu. Zabierał też z sobą syna i czuli się wtedy w prosty, zwyczajny sposób szczęśliwi. Ruth wołała zostawać w domu i ręcznym odkurzaczem na baterie usuwać z mebli psią i kocią sierść. Zdecydowanie nie lubiła Harnessa.

- Nie pozwól ostygnąć zupie, Ruth - upomniał ją Bobo, jakby to było w jej stałym zwyczaju.

- Włosy! - wykrztusiła tylko.

- To miły, czysty pies - odezwała się Brenda. - Nam to nie przeszkadza, nieprawdaż, Angusie?

- Oczywiście, że nie - odrzekł Angus, któremu jednak taka sytuacja nie bardzo odpowiadała. Jego syn w dzieciństwie zawsze chciał mieć psa, ale on nigdy do tego nie dopuścił.

- Czy nawet psa nie potrafisz utrzymać z dala od zupy? - spytał Bobo. Źle się stało, że to powiedział, i natychmiast zdał sobie z tego sprawę. Na ogół starał się nie robić uwag w rodzaju: "Nawet tego nie potrafisz" ale czasem nie wytrzymał, zwłaszcza kiedy czuł, jak bardzo się od siebie różnią, a to zdarzało się coraz częściej, można nawet powiedzieć, że się w nim utrwaliło.

W oczach Ruth pojawiły się łzy. Chwyciła wazę z zupą i powiedziała: - Przedcę.

- Dobry pomysł - poparła ją teściowa. - Nie zaszkodzi, jeśli to zrobisz.

- Natychmiast odstaw zupę z powrotem - krzyknął Bobo. - Nie wygłupiaj się, Ruth. Trzy psie włosy to jeszcze nie katastrofa. Po prostu je wyjmij.

- Mogą też być świnki morskiej - stwierdziła Ruth. - Widziałam, jak biegała po półce z przyprawami. - Lubiła świnkę morską, najmniejsze ze stworzeń wśród ulubieńców dzieci. Ramiona świnki były mocno zgarbione, a oczy zapadnięte. Ruth dostrzegła w niej podobieństwo do siebie.

- Jesteś zmęczona - powiedział Bobo. - Musisz być zmęczona, bo inaczej nie wygadywałabyś takich nonsensów. Siadaj.

- Pozwól jej precedzić zupę, kochanie - odezwała się Brenda - jeśli chce to zrobić. Ruth była już w drzwiach, ale zawróciła.

- Jego nie obchodzi, czy jestem zmęczona, czy nie - wycedziła. - On już wcale o mnie nie myśli. Teraz zaprzęta sobie głowę tylko Mary Fisher... no, wiecie, tą pisarką. To jego kochanka.

Bobbem wstrząsnęła taka niedyskrecja i nielojalność, ale równocześnie odczuł satysfakcję: żonie nie można było ufać, zawsze o tym wiedział.

- Ruth - zganił ją - to nie w porządku wobec moich rodziców, że ich wikłasz w nasze rodzinne problemy. Nie mają z tym nic wspólnego. Zlituj się choć raz nad bezradnymi świadkami.

- Ale coś z tego mnie dotyczy - zauważyła Brenda. - Twój ojciec nigdy się w ten sposób nie zachowywał; nie wiem, po kim to przejąłeś.

- Bądź tak dobra i uszanuj moje życie prywatne, mamó - poprosił. - W końcu po tym, co przeszedłem w dzieciństwie, to jedyne, co możesz zrobić.

- Czy wtedy spotkało cię coś złego? - spytała Brenda zmieniając się cała na twarzy.

- Matka ma rację - odezwał się Angus. - Myślę, że powinieneś ją przeprosić. Ale co prawda, to prawda. Brendo, uważam, że należy zostawić tych młodych ludzi sam na sam, aby mogli po swojemu uporządkować własne sprawy.

- Ojciec - powiedział Bobo - właśnie taka twoja postawa sprawiła, że dałeś mi najbardziej przerażające dzieciństwo, jakie może mieć dziecko.

Dużo później Mary Fisher wytłumaczyła mu podłoże jego nieszczęsnego losu.

- Nigdy nie unieszczęśliwiałem matki - rzekł Angus. - Możesz mówić o mnie, co chcesz, ale nie zdarzyło się, żebym celowo skrzywdził kobietę.

- A zatem wszystko, co sobie przypominam - spytała Brenda - wydarzyło się przez przypadek?

- Kobiety zawsze wymyślają niestworzone rzeczy - odparł Angus.

- A zwłaszcza moja żona - zauważył Bobo. - Mary Fisher jest jedną z moich najlepszych klientek. Bardzo się cieszę, że figuruje w moich rejestrach. Cenię ją naturalnie z kilku powodów: jako niezwykle utalentowaną artystkę i śmiem sądzić, jako przyjaciela. Obawiam się, że nasza Ruth jest zbyt podejrzliwa.

Ruth popatrzyła na teściów: przenosiła wzrok z Brendy na Angusa, wreszcie spojrzała na męża i wypuściła z rąk wazę z zupą grzybową, która rozlała się na kuchenną posadzkę i elegancki dywan. Przywołane odgłosami nowego nieszczęścia powróciły dzieci i zwierzęta, a wtedy odniosła wrażenie, że Harness się śmieje.

- Czy Ruth nie powinna wyrwać się z domu i znaleźć sobie jakiejś pracy? - zaczął zastanawiać się Angus, który klęcząc na dywanie łyżeczką zbierał zupę do miski. Niestety, zupa wsiąkała w dywan szybciej, niż nadszyił ją zbierać. Musiał więc mocno przyciskać łyżkę do tkaniny, aby odzyskać nieco drogocennego szarego płynu. - Człowiek zajęty - dodał - jest mniej skłonny do wyszukiwania sobie problemów.

- Ale przecież nie ma pracy - zauważyła Ruth.

- Nonsens - obruszył się Angus. - Jeśli ktoś naprawdę chce, to ją znajdzie.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Brenda. - Przy tej inflacji, recesji... i tak dalej. Nie myślisz chyba, kochanie, że to przełkniemy - zwróciła się do męża.

- Nie trać na darmo, nie będziesz w potrzebie - sentencjonalnie podsumował Angus.

Bobo zapragnął znaleźć się daleko, daleko stąd, z Mary Fisher; słuchać jej perlistego śmiechu, trzymać w dłoni jej bladą dłoń i jeden po drugim wkładać sobie w usta jej drobne

palce, aż oddech kochanki stanie się szybszy i zacznie zwilżać swoje wargi różowym, różowiułkim językiem.

Nicola kopnęła kotkę o imieniu Marcy, która weszła jej w drogę. Kotka polazła prosto do paleniska, tam przycupnęła i w odwecie napaskudziła. Brenda podniosła lament, wskazując na nią, a niezwykle tym podniecony Harness zaatakował Andy'ego. Pośród chaosu z opuszczonymi rękami stała Ruth, niczym olbrzymi posąg, nie wiedząc, co począć. I wtedy Bobo stracił nad sobą panowanie.

- Zobacz, jak ja muszę żyć! - podniósł głos. - Tak jest zawsze. Moja żona sieje wokół zamęt i zniszczenie; każdemu zrujnuje szczęście!

- Dlaczego nie chcesz mnie kochać? - żałośnie spytała Ruth.

- Jak można kochać - krzyczał Bobo - coś, co z założenia jest niemożliwe do kochania?

- Oboje jesteście zdenerwowani - powiedział Angus, rezygnując z łyżki zupy na rzecz dywanu. - Pracujecie zbyt ciężko.

- To bardzo duże obciążenie dla kobiety - dodała jego żona. - Dwójka dorastających dzieci! A poza tym, Bobo, ty nigdy nie byłeś łatwy, nawet jako chłopiec.

- Byłem wyjątkowo łatwym dzieckiem! - wrzasnął Bobo. - Masz mi po prostu za złe, że traciłaś na mnie czas.

- Wychodzimy, Brenda - podjął szybką decyzję Angus. - Im mniej słów, tym lepiej. Zjemy coś w mieście.

- Znakomity pomysł! - wykrzykiwał dalej Bobo. - Zwłaszcza że nasze główne danie wylądowało na podłodze za sprawą mojej żony!

- Uspokój się, opanuj - prosiła go matka. - W Los Angeles budują domy bez kuchni, ponieważ nikt nie chce zawracać sobie głowy gotowaniem. I widać mają całkowitą rację.

- Ale ja spędziłam cały dzień na przygotowaniach - łkała Ruth. - A teraz nikt nie ma zamiaru tego zjeść.

- Bo jest niejadalne - warknął Bobo. - Dlaczego jestem zawsze otoczony kobietami, które nie potrafią gotować?

- Rano do ciebie zadzwonię, koteczko - szepnęła Brenda do Ruth. - Weź kąpiel i dobrze się wyśpij, wtedy się lepiej poczujesz - radziła.

- Nigdy ci nie wybaczę, że byłaś tak nieuprzejma wobec mojej matki - powiedział chłodno Bobo do Ruth, wystarczająco jednak głośno, aby usłyszała to Brenda.

- Nie zrzucaj na nią winy - zręcznie odparowała. - To ty byłeś nie w porządku, nie ona. A poza tym jestem świetną kucharką, tyle że nie zajmuję się gotowaniem.

- Małżeństwo nie jest sprawą łatwą - zauważył Angus wkładając płaszcz. - Podobnie jak rodzicielstwo. Ludzie muszą więcej nad tym pracować. Oczywiście najczęściej spada to wyłącznie na jednego partnera.

- Dokładnie! - wtrąciła znaczącym tonem jego żona, naciągając rękawiczki. Z roztargnienia zapomniała widocznie użyć talku pod prawą pachą i teraz na jej ładnej beżowej bluzce zaczęły występować ciemne plamy potu. Zakłopotana spuściła wzrok.

- Widzisz teraz, co zrobiłaś - Bobo natarł na Ruth. - Nawet moich rodziców udało ci się sprowokować do kłótni. Jeśli gdzieś widzisz szczęście, musisz je natychmiast zniszczyć. Oto jaka jesteś!

Zostali sami. Brenda z Angusem szli ścieżką obok siebie, ramię w ramię, nie dotykając się. Padli ofiarą wojny domowej. Kochające się małżeństwa postępują rozsądniej, jeśli unikają towarzystwa nieszczęśliwych par.

Ruth poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Andy i Nicola zgodnie podzielili się czekoladowym musem, który wzięli z lodówki.

- Myślę, że dobrze ci robi, jeśli pojedę odwiedzić Mary Fisher - syknął Bobo przez dziurkę od klucza. - Dzisiaj wyrządziłaś wiele złego! Obraziłaś moich rodziców, zdenerwowałaś dzieci, a i mnie kompletnie rozstroiłaś. Nawet nie oszczędziłaś zwierząt.

Zobaczyłem w końcu, jaka jesteś. Masz trzy oblicza: jesteś złą matką, jeszcze gorszą żoną i potworną kucharką. Podejrzewam, że nawet nie jesteś kobietą. Wiesz, kim jesteś? Diablicą!

Kiedy wyrzucił to z siebie, poczuł, że w ciszy, jaka panowała po drugiej stronie drzwi, nastąpiła jakaś zmiana. Te słowa wstrząsnęły chyba Ruth na tyle, że powinna być gotowa poddać się i przeprosić, ale choć pukał i walił w drzwi, wciąż nie wychodziła.

Rozdział siódmy

Więc to tak! Myślałam, że jestem dobrą żoną, która ze zrozumiałych względów na pewien czas musi wystawić swoją cierpliwość na próbę, ale myliłam się. Powiedział, że jestem diablicą.

Przypuszczam, że ma rację. Rzeczywiście, odkąd jemu się tak wspaniale w świecie powodzi - mnie idzie fatalnie. Naprawdę muszę przyznać, on ma rację: jestem diablicą.

Coś cudownego! To takie radosne! Jeśli jesteś diabłem, od razu wszystko staje się jasne. Dusza rośnie. Nie ma poczucia wstydu, winy ani tego uporczywego dążenia do dobra. W końcu ważne jest tylko to, czego się chce. Mogę mieć to, co chcę. Jestem diablicą!

Ale czego ja właściwie chcę? W tym właśnie problem. Brak zdecydowania i niepewność towarzyszą większości ludzi przez całe życie, są dla nich czymś w rodzaju więzienia. Diablice są inne, ich wątpliwości dotyczą dobra, a nie zła.

Chcę zemsty.

Chcę władzy.

Chcę pieniędzy.

Chcę być kochaną, lecz nie zamierzam odpłacać miłością.

Pragnę wyposażyć nienawiść w rozum. Odwieść ją od miłości. Chcę być wszędzie tam, gdzie mnie nienawiść zaprowadzi. I kiedy to wszystko osiągnę, jednak ani minuty wcześniej, będę panią sytuacji.

W łazience przyglądam się w lustrze swojej twarzy. Chcę zobaczyć coś innego.

Zdejmuję ubranie. Staję naga. Pragnę się zmienić.

Nie ma rzeczy niemożliwych, przynajmniej dla diablicy.

Zrzucić skórę żony, matki; wejść w skórę kobiety - w tym właśnie tkwi diabelstwo.

Wspaniale!

Błysk! Czy to są moje oczy? Tak płoną, że mogą rozświetlić pokój...

Rozdział ósmy

Angus z Brendą zniknęli w gęstniejącym mroku, a ich pogodny nastrój minął bezpowrotnie. Dzieci skończyły wyjadać mus czekoladowy, kotka Marcy dała sobie spokój z cmokaniem nasiąkniętego zupą dywanu, pies Harness wymiotował pod kuchennym stołem obok drzwi koloru awokado, zamknięta w łazience Ruth zmieniała swoją naturę, Bobo zaś pakował niewiarygodnie ciężki neseser z prawdziwej czerwono-brązowej skóry z mosiężnymi okuciami.

- Dokąd się wybierasz? - spytała wychodząc z łazienki.

- Odchodzę od ciebie i zamierzam tak długo zostać z Mary Fisher, aż nauczysz się przyzwoicie zachowywać. Nie jestem już w stanie znosić tych scen i wiecznych dąsów bez powodu.

- Jak długo? - szybko zapytała, lecz nie raczył odpowiedzieć. - I dlaczego? Chodzi o to, że chcę naprawdę wiedzieć dlaczego? - dodała.

A przecież znała odpowiedź: Mary Fisher miała zaledwie metr pięćdziesiąt osiem wzrostu, była niezależna, nie miała dzieci ani zwierząt na karku, z wyjątkiem kakadu lub czegoś w tym rodzaju, nie wyrzucała rozpaczliwie rąk w powietrze i wszędzie można się było z nią pokazać. To był prawdziwy powód, pomijając już nawet siłę i tajemnicę miłości, jaką ta mała, rozpustna Mary Fisher rozbudziła w lędźwiach Bobba.

- Co będzie ze mną? - zapytała Ruth, a jej słowa przepadły we wszechświecie razem z miriadami innych "co ze mną?" wypowiedzianych przez miriady kobiet opuszczonych właśnie tego dnia przez mężów; kobiet w Korei, Buenos Aires, Sztokholmie, Detroit, Dubaju i Taszkencie, rzadziej w Chinach, gdyż tam jest to czyn karalny. Fale dźwięku nie giną, tylko wędrują po wsze czasy. Wszystkie nasze wypowiedzi są nieśmiertelne. Nasze bezsensowne mamrotania krążą po wszechświecie całą wieczność.

- Co z tobą? - Bobo powtórzył pytanie, na które nigdy nie ma odpowiedzi. - Będę ci przesyłał pieniądze. - Był na tyle miły, że to dodał, bez trudu pakując swoje porządnie uprasowane i starannie złożone koszule. - Nawet nie spostrzeżesz, że mnie tu nie ma. Prawie wcale nie poświęcasz mi uwagi, gdy jestem, a dzieci w ogóle się mną nie przejmują.

- Sąsiedzi będą plotkować - powiedziała Ruth. - Już teraz prawie się do mnie nie odzywają, bo wierzą, że nieszczęście bywa zaraźliwe.

- To wcale nie jest nieszczęście - zauważył. - Raczej konsekwencja twojego postępowania. Tak czy owak, sądzę, że niedługo wrócę.

Nie wierzyła w to, co mówił; po cóż bowiem zabierałby dużą brezentową walizkę i krawat na specjalne okazje?

Potem wyszedł, a ona została sama stojąc na jesienno-zielonym dywanie pośród ścian koloru awokado.

Rano, kiedy ukośne promienie wschodzącego słońca wpadły do pokoju, zauważyła, że francuskie okna wymagają solidnego mycia, lecz nie miała zamiaru za to się zabrać.

- Mamusiu - powiedziała Nicola - okna są brudne.

- Jeśli ci się nie podobają, to je umyj.

Nicola tego nie zrobiła. W południe Bobo zadzwonił z biura, aby powiedzieć, że oświadczył się Mary Fisher i został przyjęty, w związku z czym nie będzie mógł już wrócić do domu i do Ruth. Uznał, że powinna o tym wiedzieć, aby móc się zastanowić nad własnymi planami.

- Ale... - zaczęła, lecz odłożył słuchawkę. Ostatnio złagodzono przepisy prawa i do rozwodu nie była potrzebna zgoda obu stron; wystarczyło, że chciała jedna.

- Mamo - spytał Andy - gdzie jest tatuś?

- Odszedł - odpowiedziała i Andy przyjął to w milczeniu. Dom był zapisany na Bobba, a transakcja kupna była możliwa tylko dzięki poręczeniu Angusa i Brendy. Ruth niczego do małżeństwa nie wniosła, oczywiście poza swymi rozmiarami i siłą, a tych jej nikt nie odebrał.

- Gdzie obiad? - usiłowała dociec Nicola. Obiadu nie było, wobec tego posmarowała kawałki chleba masłem orzechowym i obdzieliła nimi wszystkich. Nabierając ze słoika masło nożem do krojenia chleba, zacięła się w palec. Nitki krwi koronką ozdobiły ostatnią kanapkę, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Jedli w milczeniu.

Jedli w milczeniu, siedząc przed telewizorem. Nicola, Andy i Ruth: kobieta z dziećmi. Mało kto myśli o jedzeniu, kiedy świat się rozpada.

Ruth mruknęła coś pod nosem.

- Co powiedziałaś? - spytała Nicola.

- Upadek - powiedziała Ruth. - To zdarza się samolotom i cnotliwym. Upadek.

Nicola i Andy potoczyli wzrokiem i wzniesli oczy ku niebu. Pomyśleli, że matka postradała zmysły. Ojciec powtarzał dostatecznie często: - Wasza matka jest szalona.

Rano Nicola i Andy poszli do szkoły. W kilka dni później zatelefonował Bobo, aby ją powiadomić, że tymczasem może nadal mieszkać z dziećmi w ich domu, chociaż oczywiście jest dla nich zbyt duży. Z pewnością znacznie lepiej czuliby się w czymś bardziej kameralnym.

- Tymczasem... do kiedy? - spytała, nie usłyszała jednak odpowiedzi. Dodał tylko, że zamierza jej płacić 52 dolary tygodniowo do czasu dalszych ustaleń, co stanowiło dwadzieścia procent powyżej ustawowego minimum. Dzięki nowym regulacjom prawnym pozycja drugiej żony znacznie się poprawiła. Mąż zobowiązany był tylko do utrzymywania dzieci, a sprawna fizycznie pierwsza żona powinna stanąć na własnych nogach.

- Ruth - powiedział - masz naprawdę duże, solidne stopy. Dasz sobie radę.

- Ale prowadzenie domu pochłania sto sześćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo - odparła.

- Właśnie dlatego trzeba sprzedać dom - stwierdził. - Czas też, abyś pomyślała nad zmniejszeniem wydatków na utrzymanie. Kobiety z dziećmi mają mniejsze potrzeby niż mężczyźni, czego dowodzą statystyki. Dzieci zresztą chodzą do szkoły i już wkrótce dorosną. Pora wracać do pracy, Ruth! Nie jest dobrze, jak kobieta marnieje w domu.

- Dzieci mogą chorować, ferie szkolne trwają pół roku, a poza tym nie ma pracy.

- Zawsze znajdzie się praca dla tych, którzy jej naprawdę szukają - odpowiedział. - To oczywiste.

Telefonował z Wysokiej Wieży. W kącie przestronnego pokoju Mary Fisher pochylając swoją piękną szyję pisała czułe słowa o naturze miłości.

"Jego palce poruszyły się nagle i poczuła, jak ich opuszki prowokująco suną po skórze ku jej drżącym, miękkim wargom" - kaligrafowała. Bobo odłożył słuchawkę telefonu, ona odłożyła pióro; całowali się pocałunkami pieczętującymi wspólną przyszłość.

Rozdział dziewiąty

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży z moim mężem, Bobbem; rozpisuje się o naturze miłości i nie wyobraża sobie, że można być nieszczęśliwym.

A niby dlaczego miałyby o nas myśleć? Jesteśmy słabi, biedni, bez znaczenia. Zdani wyłącznie na siebie.

Ośmielam się nawet twierdzić, że gdy Bobo budzi się w nocy i na jej pytanie: "Co się stało?", odpowiada, że myśli właśnie o dzieciach, ona potrafi go przekonać, iż postąpił słusznie nie widując się z nimi, przeciął bowiem od razu pępowinę. A on zapewne chętnie daje temu wiarę, ponieważ Andy i Nicola nie są dziećmi, które komukolwiek potrafią poruszyć w sercu czułe struny. Zostawmy zatem w spokoju faceta, którego owłosione łydki oplatają jedwabiste nóżki Mary Fisher.

A gdyby mu się kiedyś wyrwało: "Zastanawiam się, jak się wiedzie Ruth", to uciszy go podanym do ust kąskiem wędzonego łososia, łyżkiem szampana i powie: "Ruth musi sama znaleźć sobie miejsce w życiu. Poza tym ma dzieci. To ja jestem biedna, nie mam przecież nikogo. Nikogo oprócz ciebie, Bobo."

Dwójka moich dzieci kręci się tu i tam w poszukiwaniu jedzenia. Węszą dookoła, a ja nie mam nic, co mogłabym im ofiarować. W jaki sposób miałabym to zrobić? Wymiona diabolic są puste. Jeszcze się z tym wszystkim nie godzę. Przemiana w stuprocentową diabolicę musi trochę potrwać. Przyznam, że na początku jest to bardzo wyczerpujące, w dodatku poczucie winy i przyzwoitości są tak głęboko w człowieku zakorzenione, że niełatwo się ich pozbyć; trzeba je wyszarpnąć z żywym mięsem.

Niekiedy krzyczę w nocy tak głośno, że budzę sąsiadów. Nic natomiast nie jest w stanie obudzić moich dzieci.

W końcu z ziemi zaczerpnęłam energię. Poszłam do ogrodu, widelcem spulchniłam glebę i poczułam, jak dziwna siła przenika moje palce u stóp, potem wyżej - masywne łydki, dociera do moich diabelskich bioder, by spocząć tam na dobre, dając mi impuls i podniecie. To mi podpowiedziało, że trzeba skończyć z czekaniem. Czas brać się do dzieła!

Rozdział dziesiąty

Carver zajmował chatkę w głębi terenów sportowych w Eden Grove, gdzie pracował jako dozorca. Był mężczyzną po sześćdziesiątce, zarośniętym, pomarszczonym, lecz o żywo błyszczących oczach. Ramiona pokrywała mu czerwona, twarda skóra, która z kolei na wydatnym brzuchu była biała, cienka i naprężona. Chatka Carvera stała u zbiegu kortów tenisowych i bieżni. W tym miejscu miał zwyczaj przechowywać kosiarki do trawy i walce. Widywano za dnia, jak pełnił swoje obowiązki dozorca, a ostatnio przebywał tam również nocami. Niekiedy drzemał na materacu z gumowej pianki pod przybrudzonym kocem, częściej jednak tylko leżał. Był pracownikiem służby miejskiej, zatrudnionym po trosze z miłosierdzia, a po trosze dlatego, że uznano jego przydatność. Składał meldunki o rojach pszczoł i odganiał je od dzieci i flirtujących par.

Mówiło się o nim, że ratując na jednej z odległych plaż tonące dziecko, sam doznał urazu mózgu. Z tego powodu panie z Eden Grove, które wystąpiły z petycją o jego przeniesienie, prosiły, aby go raczej odesłać na wcześniejszą emeryturę, niż od razu zwolnić i oficjalnie potępić.

Żony i matki, które w drodze do sklepów i szkoły musiały przechodzić obok stadionu, mijały to miejsce szybkim krokiem, odwracając wzrok. Carver niekiedy tylko pożądliwie łypał okiem, ale zdarzało się, iż sam wystawiał się na widok publiczny. Nawet jeśli już dawno nikt tego nie widział, to prawie każdy znał kogoś, kto o podobnych jego sprawkach mógł zaświadczyć.

Carver obserwował nadchodzącą ulicą Ruth. Podobał mu się blask jej ciemnych oczu i ciężki chód. Nie drobiła truchcikiem na wysokich obcasach jak inne żony i matki. Nosiła płaskie pantofle, pewnie dlatego, że jej duże stopy nie pasowałyby do czegoś bardziej wyszukanego. Był prawie pewien, że któregoś dnia Ruth wstąpi doń na filiżankę herbaty. Miał zdolność przewidywania, z kim czeka go intymny związek. I jedyne, co pozostawało mu wtedy do zrobienia - co zwykle każdy powinien zrobić, gdy już wie, kim będzie jego przyszły partner - to cierpliwie czekać. Miłość, o tym był przekonany, zapowiadała tylko jedno z dwojga: szczęście albo ból.

Carver wiedział, czego chce, ale nie pragnął zbyt wiele; wiedział, jak karmić się nadzieją, lecz nadmiernie jej w sobie nie rozbudzał; potrafił czekać, byle nie nazbyt długo. Pozwalał unosić się biegowi wydarzeń, z jego łagodnymi zakrętami to tu, to tam i przypadkowymi odmianami losu: pragnieniem i nadzieją, niczym ryba w upływającym strumieniu czasu.

- Zapraszam na filiżankę herbaty - powiedział stojąc przy ogrodzeniu kortu tenisowego, do Ruth, która tamtędy przechodziła. Weszła.

Popijała herbatę z wyszczerbionego kubka. Mimo lata w głębi chaty w żelaznym piecyku płonęło drewno. Usiedli przy ogniu niczym w mroźny, zimowy dzień. Gazety służyły za dywan na podłodze. Siedzieli koło siebie odczuwając swą bliskość. Z Ruth dałoby się wykroić dwóch takich jak Carver, wyglądało jednak na to, iż to nie ma znaczenia. Oczy jej błyszczały, a gdy zrobił jakąś uwagę na ten temat, powiedziała:

- Błyszczą, kiedy wiem, czego chcę.
- A czego pani chce?

Zdawał sobie sprawę, że mogło chodzić tylko o seks lub pieniądze; o jedną z tych dwóch najważniejszych w życiu spraw.

- Chcę ciebie - odpowiedziała. Jego ręka prześlizgnęła się za plecami Ruth; objął ją i przytulił. Twarz rozpadła mu się na serię drobnych zmarszczek i podbródków. Zmęczone wiekiem oczy uważnie się wpatrywały w Ruth. Znał pewien typ kobiet. Gościł je aż nazbyt często u siebie, w swoim szałasie na końcu kortów tenisowych. Stateczne żony z dostatnich przedmieść, starannie ubrane, schludne, szukające w poniżeniu swoistej formy kontaktu z mistycyzmem, truchcikiem przybiegały do jego szałas. Mężczyźni i kobiety w przelotnej miłośce na boku, przeskakujący i prześlizgujący się nad nurtami czasu. Nie widział w tym nic złego. Ona jednak była inna; musiała mieć zatem odmienny powód. I tego właśnie nie rozumiał.

Z pieprzyków na podbródku wyrastały jej włosy. Ba, włosy kielkowały jej nawet z nozdrzy. No i te piersi jak poduchy! Wsparł na nich swoją siwą głowę. Uśmiechnęła się. Nie obawiał się o potencję seksualną. Erekcje to zmartwienie młodych mężczyzn; ręce i palce mogły ją równie dobrze obsłużyć, gdyby okazało się to konieczne. A jednak kiedy przyszło co do czego, drżał i płakał; zaproszony gość z własnej winy utknął w drzwiach, pozostał na zimnie, podczas gdy wewnątrz wszystko było ciepłe i mięciutkie.

- Nie mogę - jęknął. - Coś tu się nie zgadza. Po co właściwie przyszłaś?

- Uczyniłam pierwszy krok - odpowiedziała. - Złamałam pierwszą zasadę.

- Jaką zasadę? - Znał je wszystkie. Przy każdym wejściu na stadion wisiały tablice z pełnym zasad regulaminem. Carverowi z trudem przychodziło ich odczytywanie. Niekiedy mu się to udawało, częściej jednak nie.

- Dyskryminacja - śmiech miała niski, gardłowy; podobał mu się i działał nań kojąco.

Carver miał wizję. Wzbił się w przestrzeń. Ponad warstwami skłębionych chmur, pośrodku innego wszechświata zobaczył stojącą nago Ruth o miodowych udach, a wokół niej w zwolnionym, tanecznym rytmie krążyły nieznane gwiazdy. Tkwił u źródła. Wreszcie to pojął. Zapodziały z głową w jej ciele, poczuł zapach i nie była to woń naturalnych soków życia, lecz samej esencji bytu.

Nie miał dość sił, by to znieść. Należał do dawnego świata, z tym nowym niewiele miał wspólnego.

Godny pożalowania podstarzały mężczyzna, drżący z miłości i pożądania. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, a białawe elektryczne wyładowania rozsadały mózg, osłabiając do reszty zwiędłe ciało. Wizje wyczerpują. Osunął się na kolana. Upadł.

Ruth ze zdumieniem spoglądała na leżące na podłodze ciało. Carver najwyraźniej miał jakiś atak, a ona, choć odczuła pewną przykrość, niewiele mogła pomóc.

W zasadzie była z siebie zadowolona. Ona i ten skurczony na podłodze zasłużony obywatel stworzyli wspólnie solidną podstawę pod fundamenty jej przyszłego życia, co dawało się porównać z tapicerką wzmocnioną od dołu przeplecionymi na krzyż taśmami. W wypadku Ruth był to splot bólu i przyjemności, poniżenia i triumfu, przeobrażenia i rozpadu. Zdumiewające, jak ogromny ciężar i wielkie napięcie taka konstrukcja jest zdolna wytrzymać. Tu i ówdzie, co prawda, pozostały drobne luki i odstępstwa, w które mogła się obsunąć, ale nakazywało jej to tylko większą ostrożność.

Piana przestała mu się toczyć z ust, drgawki ustały. Carver leżał w ciepłe własnych ekskrementów i spokojnie spał. Ze znajdującej się na stole napoczętej paczki papierosów Ruth wzięła kilka sztuk, wsunęła sobie do kieszeni i wyszła. Skierowała się w stronę sklepów przy ulicy Wysokiej; miała zamiar kupić masła orzechowego, kilka wielogniazdowych kontaktów i zamówić taksówkę na rano. Przeciętą, postawna kobieta w wygodnych pantoflach, z koszykiem na zakupy w ręku, od której oczekuje się, że będzie wdzięczna za wszystko, co od życia otrzymała.

Rozdział jedenasty

Z kim zatem sypiała Mary Fisher w Wysokiej Wieży? Przypuszczam, że nie miała wielu kochanków. Jest na to zbyt wybredna. Naturalnie nie mógł to być ogrodnik; gdyby miał zręczniejsze palce, jego portfel byłby grubszy.

W przeszłości pojawił się zapewne jeden czy drugi milioner, wydawca lub ktoś w tym rodzaju, kto pomógł jej przeżyć. Ich szacowne siwe głowy spoczywały na puchowych poduszkach obok jej wdzięcznej główki.

Z Garcia sprawa wyglądała inaczej. Domyślam się, że usługuje jej w ciemne, puste i samotne noce, gdy źródło twórczości wysycha, a niepewne zdania płaczą się i utykają pod piórem. Wślizguje się wtedy do jej łóżka i w nią.

Wówczas gdy potknęłam się na dywanie, zauważyłam błysk porozumienia między nimi dwojgiem, jakąś znowę. Najpierw z Bobbem, potem z Garcia. Bobo nie będzie tym zachwycony.

Chcę, aby Bobo i Garcia stali się impotentami. Ogrodnik również, skoro nie potrafi nawet zadbać o topole, aby prosto i zdrowo rosły. Takie drzewo, jaki mistrz, a zatem nie ma powodu, aby sobie nim zawracać głowę.

Chcę, aby Mary Fisher nabawiła się pleśniawek i spróbowała, jak to jest, gdy trzeba z nimi żyć. A gdyby tak system centralnego ogrzewania zasilić wywarem z trujących grzybów? Niechby śmiertelne wyziewy rozpełzły się wokół. A wtedy, gdy ona będzie tak sobie leżała na długiej białej sofie wtulona w Bobba, wystarczy tylko poczekać. Pozwolić jej zaropieć, pozwolić zbutwieć i zgnieć! Seksu doświadczyłam tylko z dwoma mężczyznami: Bobbem i Carverem. Wolałam Carvera. Bobo wykradł mi siłę, ja ją skradłam Carverowi.

Odczuwam strach. Nie należę do nikogo: ani do tych godnych szacunku, ani do potępionych. W dzisiejszych czasach nawet dziwki muszą być piękne. Jako kobieta doczekałam się, że moim fizycznym partnerem jest epileptyczny, na wpół obłąkany starzec. Zaakceptowałam to. Akceptując, utraciłam swoje miejsce na krzeselku na skraju sali balowej, gdzie wysiadują miliony, miliony siejących pietruszkę dziewcząt. Tkwią tam od początku świata, patrząc i podziwiając. Nigdy nie uczestniczą w tańcu, nigdy się nie skarżą, unikają współczucia, zawsze jednak zachowują nadzieję.

Bo pewnego dnia, jak to sobie mgliście wyobrażamy, przygalopuje księżę w błyszczącej zbroi, przejrzy na wskroś duszę, dostrzeże jej piękno, porwie dziewczę na koń, nałoży koronę na głowę i ona zostanie królową.

Nie ma we mnie duchowego piękna. Teraz już nie. Tamto miejsce utraciłam i muszę znaleźć sobie nowe. Skoro nie mogę zmienić świata, sama muszę się zmienić.

Rozdział dwunasty

W niedzielę rano Ruth przygotowała Andy'emu i Nicoli solidne śniadanie. Zużyła wszystkie jajka, choć w zasadzie powinny wystarczyć aż do czwartku - dnia, w którym były dostawy świeżych jaj do miejscowego sklepu - oraz cały bekon, jaki udało jej się znaleźć w domu.

W zamrażarce na dole odkryła pokrojony biały chleb - od czasu odejścia Bobba zamrażarka w coraz bardziej ostentacyjny sposób świeciła pustkami - i przyrządziła sobie grzanekę. Na stole zamiast masła postawiła margarynę i poleciła dzieciom wykończyć napełniony jeszcze do połowy słoik miodu. Popatrzyły na nią ze zgrozą, ale zjadły.

Ruth straciła apetyt. Napiła się tylko świeżo zaparzonej czarnej kawy, przyrządzonej z ziarenek zdrapanych z oszronionego lodu, którym zarastał dół zamrażarki.

Harnessowi rzuciła do jedzenia cały funt masła i nawet nie pofatygowwała się za nim w głąb domu, aby zobaczyć, gdzie zwymiotuje. Przypuszczała, że zrobi to pod podwójnym małżeńskim łóżkiem, w którym tak często leżała samotna.

Potem zostawiła uchylone drzwi do sypialni, co jej się w obawie przed Harnessem i Marcy nigdy dotąd nie zdarzało. Kotce przypadły w udziale dwie puszkę wyśmienitych sardynek.

Świnka morska nic nie dostała. Tak wiele swetrów zniszczyła, wygryzając w nich z przodu dziury, że Ruth nie potrafiła znaleźć w sobie śladu zrozumienia dla niej. A niby dlaczego świnka morska miała być lepiej traktowana, skoro o Ruth nikt nie dbał?

Machnęła ręką na sprzątanie po śniadaniu; talerze pozostawiła tam, gdzie stały, i namówiła dzieci, aby rozejrzały się po domu w poszukiwaniu pieniędzy. Zabrały się więc do sprawdzania, czy czegoś nie ma pod rogami dywanów, w szczelinie między kuchenką a lodówką, na spodzie zapaćkanych orzechowym masłem pudełek z zabawkami, za książkami na półkach, w stosach rysunków, na komódkach, w głębi szaf i naturalnie w zakamarkach kanap i foteli. Jedyny ich łup stanowiło kilka drobnych monet o wartości sześciu dolarów dwudziestu trzech centów.

- Możecie teraz pójść do MacDonalda - zakomunikowała im - i kupić sobie to, na co macie ochotę: Wielkiego Maca, Super Maca, kanapki z rybą, jabłecznik i tyle koktajli mlecznych, ile zdołacie wypić, pod warunkiem, że wróćcie tutaj punkt jedenasta. Nie wcześniej i nie później.

- Ale nie wystarczy nam pieniędzy - zauważyła Nicola.

- To wszystko, co mam - odparła Ruth. - Zawsze oddawałam wam wszystko, co miałam. Dla mnie pozostawały odpadki i jakieś smętne resztki. Zapamiętajcie to sobie.

Niewiele z tego zrozumiały, nie przejmując się zatem jej słowami, wyszły z domu z głośnym narzekaniem.

Lato było długie i upalne. Słońce stało już wysoko, niwecząc odrobinę wilgoci, jaka ocalała z nocy; w powietrzu czuło się jednak łagodne podmuchy wiatru.

Ruth obeszła cały dom i - zwyczajem wszystkich dobrych gospodyń wykorzystując piękną pogodę - pootwierała na oścież okna. Poszła do kuchni i wlała całą butlę oleju do frytkownicy, napełniając ją po brzegi. Zapaliwszy mały płomyk gazu oceniła, iż potrzeba około dwudziestu minut, aby olej osiągnął stan wrzenia. Poprawiła kuchenne zasłony, żeby wisiały zgodnie z intencją dekoratora wnętrz i zarazem przylegały do piecyka.

Wszystkie urządzenia elektryczne, jakie znajdowały się w domu - oprócz lamp, te bowiem zapalone w ciągu dnia mogły zwrócić uwagę sąsiadów - podłączyła do kontaktów, posługując się specjalnie w tym celu zakupionymi wielogniazdkowymi rozgałęziaczami. Zmywarkę, pralkę, suszarkę, wentylator, klimatyzację, trzy telewizory, cztery gry elektroniczne, dwa grzejniki, zestaw hi-fi, maszynę do szycia, odkurzacz, mikser, trzy koce elektryczne (jeden bardzo stary), żelazko z nawilżaczem nastawiła na największą moc i przekręciła wszystkie przełączniki. Domem wstrząsnął huk i nieznaczna woń spalenizny napełniła powietrze. W niedzielny poranek w Eden Grove podobne dźwięki i zapachy nie należały do rzadkości. Tym razem jednak, unosząc się nad ulicą Nocnego Ptaka, były może trochę bardziej intensywne niż zazwyczaj.

Poszła do pokoju syna. Chłopiec lubił rysować; mniej więcej sześćdziesiąt arkuszy papieru i około trzydziestu pisaków z filcowymi końcówkami, przeważnie bez zakrętek, poniewierało się po podłodze. Śpiwór z kapturem z polistyrenowej pianki, który Andy z przyjemnością naciągał na siebie przed pójściem spać w chłodne zimowe noce, Ruth położyła teraz w pobliżu elektrycznego kominka. Ściany pokoju obwieszane były plakatami i proporczykami.

Odwiedziła też pokój córki. Zobaczyła tam nie tylko podłogę zaśmieconą papierkami po cukierkach, ale wyraźne ślady zmagania Nicolę z naddartą pierzyną, z której usiłowała zrobić

trzy puchowe poduszeczki. Ruth przewróciła buteleczkę czystego spirytusu, którego Nicola nie zdążyła użyć do pieczętek.

Usłany papierami gabinet Bobba znajdował się na tyłach domu, dzięki czemu nie był tak widoczny dla sąsiadów. Ruth przetrząsnęła po kolei wszystkie szuflady; odkładając na bok to, co należało do niej i do niego, rozdzielała ich życia. Dwa pojemne kosze na papiery wypełniły się po brzegi. A dwie torby z czarnego tandetnego plastyku, które przy pierwszej okazji mogły się podrzeć, wypchane starymi dokumentami, rachunkami, listami, czekały oparte o biurko na wyniesienie z domu.

Ruth drażniło wpadające do środka słońce, zasunęła więc zasłony. Usiadła przy biurku Bobba i zapaliła jednego z zabranych ze stołu Carvera papierosów. Nie będąc palaczką, robiła to bardzo nieumiejętnie, lecz się tym zanadto nie przejmowała. Wypalonego do połowy papierosa cisnęła do kosza z papierami. Nie zgasiła go dokładnie, toteż niedopałek zaczął się tlić. A niby skąd ktoś, kto na co dzień nie pali, ma wiedzieć, jak to robić? Większość raz zdławionych ogni nie wybucha na nowo.

Wychodząc z pokoju, nie zamknęła za sobą drzwi. Chłodny przeciąg wtargnął do środka. Wróciła do kuchni, gdzie bulgotał już prawie wrzący olej. Po krótkim namyśle przyjaznym, wybaczącym głosem zaczęła nawoływać Harnessa i Marcy. Nagłe zainteresowanie pani przeraziło zwierzęta do tego stopnia, że pies ukrył się w sypialni pod podwójnym łóżkiem, a kotka leżąca na górze pofolgowała sobie w zwykłym akcie przemieszanej ze strachem zemsty.

Ruth ignorując zęby i pazury usunęła zwierzęta z domu. Zapomniała tylko o śwince morskiej. Stworzenie to zawsze padało ofiarą zapomnienia. Później zwlokła z łóżka podwójny materac, przrzuciła przez balustradę balkonu w sypialni i zepchnęła do ogrodu. Przyglądała się temu z uwagą jej sąsiadka, Rosemary.

Ruth pochwyliła gumowy wąż i zaczęła polewać materac. Ponad niskim parkanem pojawiła się głowa z włosami nawiniętymi na wałki, a następnie zaciekawiona twarz Rosemary z sąsiedniego domu.

- Ruth, co ty tam wyprawiasz? - zapytała.

- Ach, to te zwierzęta - odpowiedziała Ruth. - Jedno z dwojga, albo jakoś uda mi się go doczyścić, albo będę musiała kupić nowy materac. Wiesz, jakie są koty!

- Nie ma z nimi kłopotu, jeśli się je wykastruje - stwierdziła Rosemary i poszła z powrotem do domu. Niebawem jednak zjawiła się, pytając: - Czy nie czujesz spalenizny?

- Nie - odparła. Ruth. - Jeśli coś cuchnie, to z całą pewnością ten materac.

Sąsiadka wróciła do siebie, by jeszcze szybciej pojawić się znowu.

- Czy jesteś pewna, że coś się tam nie pali? - wypytywała. - Czy to nie dym widać na tyłach domu?

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Ruth. - Chyba masz rację.

W tym momencie kuchnia eksplodowała. Była dokładnie godzina dziesiąta rano. Obie kobiety pobiegły do telefonu w domu Rosemary, aby zawiadomić straż pożarną i policję.

- Dzięki Bogu, że nie ma dzieci - powiedziała Rosemary. - A właściwie gdzie one się podziewają?

- Poszły do MacDonalda - poinformowała ją Ruth, a Rosemary nawet w takim momencie nie potrafiąc nad sobą zapanować, gwizdnęła z podziwu.

Ruth płakała i zawodziła, kurczowo uczepiona sąsiadki. Gryzący dym z płonącego polistyrenu nie pozwolił strażakowi na uratowanie w porę świnki morskiej. Na zewnątrz wyniesiono bezwładne już ciało, zbyt późno wydobyte z tłącego się siana.

- Nie cierpiała - uspokajał strażak. - Uduśiła się dymem.

- Ale ja ją kochałam, tak bardzo ją kochałam! - rozpaczła, budząc współczucie komisarza policji, któremu przyszło na myśl, że ta biedna olbrzymka straciła zapewne swój jedyny obiekt miłości i teraz nie ma już nikogo.

- Nie powinni wydawać zezwoleń na te nowe tworzywa z pianki - wyrzucił z siebie jeden ze strażaków. - Za każdym razem ta sama historia. Stoi sobie dom i w jednej chwili nie ma po nim śladu.

Zdawać by się jednak mogło, iż fakt ten odpowiada strażakom. Wyglądało na to, że ich węże jeszcze pogorszyły sprawę. Nad Eden Grove piętrzyły się chmury dymu, płosząc słońce z ulicy Nocnego Ptaka. Sąsiedzi, a wśród nich panie przeważnie jeszcze w lokówkach, zbijali się w szepczące między sobą gromadki.

- Nieszczęścia chodzą parami - mówili. - Cóż ta biedulka Ruth teraz pocznie? Straciła męża, postradała dom i na dodatek świnka morska nie żyje.

W głębi serca czuli jednak zadowolenie, że Ruth się stąd wyniesie. By rzec prawdę, nigdy do nich nie pasowała. Podczas wydawanych przez nią przyjęć musiały się zawsze wydarzyć jakieś niesympatyczne historie. A do tego jej dzieci były nieznośne; Andy zaglądał dziewczynkom pod sukienki, o Nicoli zaś chodziły słuchy, że kradnie.

Strażacy zaproszeni przez sąsiadów na herbatę zdjęli wysokie buty i hełmy. Pousadzali swoje osmolone od dymu dorodne jestestwa na jasnych sofach z polistyrenu, a w jednym czy w dwu wypadkach, tam gdzie dzieci i mężowie byli poza domem, nie omieszkali skoczyć na górę do sypialni. Ogień, zagrożenie i nieszczęście bywają mocnymi afrodyzjakami.

- To pani jest lokatorką tego domu? - zagadnął Ruth agent ubezpieczeniowy. Dotarł na miejsce o dziesiątej pięćdziesiąt pięć, aby rozejrzeć się w scenerii, oszacować straty i rozsądzić, czyja jest wina i kto ponosi odpowiedzialność. O pożarze został powiadomiony przez policję. Zawsze tak postępują, jeśli coś się dzieje w okolicy, a ostatnio spłonęło tu wiele domów.

- Byłam - odrzekła dzielnie, połykając łzy.

- Cóż za siła ducha! Proszę pamiętać, jesteśmy tu, aby pani pomóc. Powiniennem raczej powiedzieć: aby wszystko spisać na gorąco. Najważniejsze, że nikt nie stracił życia.

- Zginęła świnka morska - żałośnie westchnęła.

- Pomożemy pani kupić inną - zapewnił agent. - A przynajmniej sześćdziesiąt procent innej. Jeśli naturalnie nie było tu jakiegoś zaniedbania. Przed przyjazdem zajrzałem do pani kartoteki - powiedział częstując ją papierosem. - Czy pani pali?

Przytaknęła.

- Dziękuję. Od czasu kiedy mnie mąż opuścił, palę bardzo dużo. Wie pan, jak to jest. Nerwy.

- Być może to było powodem? Papieros w koszu na papiery, niedokładnie zgaszony, a wtedy łatwo o wypadek.

- Niewykluczone, że mogło się i tak zdarzyć - odpowiedziała Ruth. Faktycznie, teraz sobie przypominam. Porządkowałam papiery w pokoju Bobba i nie mogłam powstrzymać się od płaczu... Ach! - ręką zamknęła sobie usta. - Co też ja mówię?!

- Prawda zawsze jest najlepsza - mruknął pochłonięty gorliwym notowaniem.

- Och, nie, tylko nie to! - jęknęła. - Cóż by na to powiedział biedny Bobo!

O jedenastej przyjechali Andy z Nicolą, zadowoleni z drugiego śniadania i dumni z własnej punktualności. Kiedy taksówka zawróciła, Ruth taszcząc dwie czarne plastikowe torby z ocalałym dobytkiem, wepchnęła dzieci na tylne siedzenie, a sama zajęła miejsce obok kierowcy. Przestraszył się, że jej masywne uda zablokują ręczny hamulec. Dziwny zaiste widok przedstawiała sobą ta kobieta - w poczerniałej od dymu twarzy niesamowicie błyszcząły oczy.

- Jedziemy na wybrzeże - zakomunikowała dzieciom - żeby zobaczyć się z tatusiem.

Kierowca przyglądał się czarnej wypalonej skorupie, która jeszcze przed chwilą była pięknym domem. - Czy należał do pani? - spytał przerażony.

Dzieci popłakiwały z tyłu; ich złe samopoczucie wiązało się jednak bardziej z tym, że objadły się hamburgerami, niż z nieszczęściem, jakie spadło na ich dom. Ukrywanie całej

sprawy przez Ruth - jak widać - nie miało zatem większego sensu, a tylko byłoby przyczyną dodatkowych zmartwień.

- No, zabieramy się stąd - ponagliła taksówkarza. - Dzieci nie powinny oglądać takich widoków. To przecież koniec życia, które dobrze znały.

Kierowca usłużnie spełnił jej życzenie. Kiedy wjechali na wierzchołek wzniesienia, Ruth obejrzała się do tyłu i zobaczyła, że numer dziewiętnasty przy ulicy Nocnego Ptaka wygląda jak pusta i ciemna jama po wyłamany zębem w skałach promiennych i roześmianych ustach. Odczuła miłe zadowolenie.

- Co się stanie z Harnessem i Marcy? - chlapały dzieci. Nie wspomniały o śwince morskiej, a i ona o niej nie mówiła.

- Nic im nie będzie - odpowiedziała. - Sąsiedzi się nimi zaopiekują, przecież bardzo lubią zwierzęta.

- A nasze książki? zabawki? - z płaczem upominały się dzieci.

- Stracone, wszystko stracone - stwierdziła z melancholią. - Nie martwcie się jednak. Jestem pewna, że tatuś kupi wam nowe.

- Czy będziemy teraz z nim mieszkać?

- Nie macie innego wyjścia, kochani.

- A ty? Czy ty też?

- Nie - odpowiedziała Ruth. - Wasz ojciec mieszka teraz z kimś innym i tego nie da się zmienić. Jestem przekonana, że ta pani będzie szczęśliwa mając was koło siebie. Tak bardzo go przecież kocha!...

Rozdział trzynasty

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży. Kocha to miejsce. Czy istniał kiedyś wdzięczniejszy adres? Wysoka Wieża, Stara Latarnia Morska, Koniec Świata... Kiedy pięć lat temu nabyła tę posiadłość, stanowiła ona jedną wielką ruinę. Teraz jest zewnętrzną, najbardziej widoczną oznaką jej sukcesu. Mary Fisher bardzo lubi, gdy późno popołudniowe słońce kładzie się promieniami na morzu i oświetlając stare, omszałe kamienie nadaje okolicy ciepły, miękki, różowo złoty ton. Komu potrzebne różowe okulary, gdy rzeczywistość jest tak urzekająca? Widzicie, można było tego dokonać. Mary Fisher to się udało.

Niebezpiecznie jest kochać domy, pokładać zaufanie w budowlach.

Któż by tam wypatrywał księcia w lśniącej zbroi, skoro Bobo jest tutaj? Bobo w pięknie upranej koszuli, dobrze skrojonym, świetnie uszytym garniturze z najlepszej, najdelikatniejszej wełny, pełen uwielbienia i zachwytu. Mary Fisher sprawiła, że świat jej książek przybrał realne kształty. A więc można to zrobić. Ona tego dokonała.

Nie jest bezpiecznie kochać mężczyzn, zaufać miłości.

Ale bardziej zwodnicza jest chęć posiadania i domu, i mężczyzny.

Chyba mogłam uprzedzić o tym Mary Fisher, ale mnie o nic nie zapytała. A poza tym diabliscie nie muszą na prawo i lewo udzielać rad. Bo niby dlaczego miałyby to robić?

Płomienie były cudowne. Rozgrzały moją zimną krew.

Rozdział czternasty

Praca w Wysokiej Wieży sprawiała Garcii przyjemność. Miał wiele osobistego wdzięku, odznaczał się siłą fizyczną, łagodną naturą i doskonale pasował do powierzonych mu obowiązków. Potrafił utrzymać w ryzach pilnujące posiadłości Mary Fisher dobermany, które nie odstępowały go na krok, co niewątpliwie pomagało mu zachować porządek pośród reszty

służby: dwóch pokojówek, kucharza i ogrodnika. Garcia miał własny pokój z widokiem na morze; w zimie było tam ciepło, a latem panował przyjemny chłód. Był młody i zdrowy. To, co zarobił, wysyłał matce do Hiszpanii, nie wiedząc, że powtórnie wyszła za mąż. Kiedy miał wolne, szedł do wioski, by się napić. Trzy młode kobiety ze wsi i dwóch rybaków kochało się w nim na zabój. Potrafił mówić płynnie i przekonująco, a że przy tym nie brakowało mu seksualnego wigoru, umiał tak pokierować sprawami, że nikt z tej piątki nie podejrzewał istnienia rywali. Jeśli jakiegoś mężczyznę uznać by można za szczęściarza, to byłby nim Garcia.

Podziwiał Mary Fisher za jej styl, urodę i bogactwo. Uważał, że zrzędzeniem losu została ustanowiona nad nim jak lśniący księżyc ponad mroczną ziemią. W ciągu czterech lat pracy u niej pięć razy miał okazję się z nią kochać. Nie widział nic niewłaściwego w taktownym i dyskretnym zaspokajaniu jej potrzeb. Kiedy wołała w nocy, szedł do niej, a rano znów zachowywali dystans: pani domu i lokaj; oficjalni jak zawsze.

Inni jej kochankowie przychodzili i odchodzili, wszyscy bogatsi, ważniejsi i potężniejsi od niego. Nie miał im tego za złe. Jakżeby mógł mieć? Prawa rządzące światem były od niego silniejsze. Bogacz w swoim zamku i biedak u jego wrót... I tak dalej. Poza tym ona potrzebowała kochanków. Tak jak Garcia byli niezbędnym tworzywem i podniętą do jej pracy. Czy byłaby w stanie opisać drżenie ciała i owe wszystkie tęsknoty przepełniające serce, gdyby ich sama nie przeżyła? Doznania te odchodzą w zapomnienie równie łatwo jak bóle porodowe.

Widok Bobba, który przyjechał z dwiema walizami, początkowo Garcie zwyczajnie zaskoczył. Kiedy jednak zaróżowiona, drżąca i podekscytowana z radości pani zaprosiła przybysza do środka i w swojej szafie zrobiła miejsce dla jego rzeczy, nie spodobało mu się to. Przypuszczał, że jeśli kiedykolwiek Mary Fisher połączy z kimś swoje życie, będzie to ktoś znaczniejszy i bogatszy od niej. Księżyc mógłby stać się wówczas słońcem.

A Bobo? No cóż, tylko doradca, zwyczajny fachowiec. Garcia zawsze miał przeświadczenie, że Bobo stoi zaledwie o jeden szczebel wyżej niż on jako służący. Facet z miasta, nie mający żadnego pojęcia o morzu i życiu na wybrzeżu, który łąził po krawędzi urwiska, żeby popisać się odwagą, a podczas sztormu urządzał sobie przechadzki morskim brzegiem, by pokazać, jaki z niego twardziel. A przy tym nic nie wiedział o niszczącym działaniu soli na szkło, drewno, ludzkie ciało i w czasie silnego wiatru kazał otwierać na oścież okna, by całym sobą chłonąć piękno i potęgę natury. Brakowało mu nie tylko siły, ale i zdrowego rozsądku. Garcia popadł w posępny nastrój i z poranną herbatą posyłał na górę pokojówkę.

Nic dziwnego, że gdy na drodze do Wysokiej Wieży zobaczył taksówkę, a potem wysiadającą z niej Ruth z dziećmi, poczuł satysfakcję. Obecność Ruth - dobrze o tym wiedział - zapowiadała kłopoty. Miał jeszcze w pamięci jej ostatnią wizytę, gdy przyszła na obiad i w cennym perskim dywanie wydarła dziurę, a potem rozlała czerwone wino na białym portugalskim koronkowym obrusie; plam nawet w pralni nie udało się wywabić.

Kiedy zajechała taksówka, Mary Fisher z Bobbem byli w sypialni. Garcia wziął sprawę na siebie i postanowił ich zawiadomić przez wewnętrzny telefon. Nikt jednak, ani Mary, ani Bobo, nieodpowiedział. Domyślił się, że byli tak bardzo zajęci sobą i pieszczotami, że nie zwrócili uwagi na telefon. Był zły i zniecierpliwiony; poczuł się jak wywłaszczony kogut w wiejskiej zagrodzie, w chwili gdy jedna z jego kur wołała wybrać zastępcę dowódcy.

Ruth nacisnęła dzwonek przy solidnych dębowych drzwiach. Dobermany z ujadaniem skoczyły na drzwi, wprawiając w drżenie masywne deski. Usłyszał głosy przestraszonych, płaczących dzieci. Przytrzymał psy i otworzył.

- Przyjechałam zobaczyć się z moim mężem - powiedziała Ruth przekrzykując harmider.
- Dzieci też chcą się widzieć z ojcem.

Stała na schodach niczym rzeźba wycięta w kamieniu: wielki kawał sera, niezdarny gawron, który przyszedł z wyzwaniem do delikatnej, białej jak kość słoniowa królowej.

Psy zaskomlały i cicho przywarły Garcii do nóg. W oczach Ruth zauważył ten sam wyraz i podobne czerwone błyski, jakie dostrzegł we wzroku własnej matki w dniu, w którym rzuciła się na pijanego męża, ryzykując, że zginie z jego ręki. Przeżegnał się. Delikatny zapach dymu, jaki unosił się wokół niej, przywiódł mu na myśl ogień piekielny. Usunął się na bok, aby mogła przejść. Przestraszyła go i zarazem sprowokowała. Opanował się jednak. Przecież on, Garcia, wielbiony przez pięciu uległych kochanków, mógłby, gdyby tylko chciał, zagrać w kości nawet z samym diabłem. Dlaczego by nie? Każdy prawdziwy mężczyzna musi jakoś poradzić sobie ze zbijającym go z tropu lękiem.

- Gdzie oni są? - zapytała, a on wskazał na górę. Nie widział powodu, dla którego miałyby chronić Bobba i Mary przed konsekwencjami ich postępowania. Ruth kiwnęła głową i zaczęła się wspinać po kręconych kamiennych schodach zajmujących centralną część domu. Szerokie niskie stopnie zostały pośrodku wyłożone różowym chodnikiem, aby ocieplić zimny kamień. Dzieci, narzekając na brak windy, z trudem wdrapwały się za matką, która z zaskakującą łatwością pokonując kolejne zakręty, dźwigała swoją okazałą cielesność w górę. Idący za nią Garcia począł się zastanawiać, czy on sam nie byłby w stanie jej zaspokoić. Miałyby wtedy trzy swoje przyjaciółeczki w jednej osobie i ograniczony o dwie trzecie męczący rytuał zalotów miłosnych, jakiego domagały się dziewczęta z wioski. A z pewnością nie mniejszą przyjemność. Termin "zakup hurtem" kołatał mu się po głowie.

Ruth dotarła na górny podest latarni. Poniżej solidnych dębowych podpór rozciągała się imponująca rozmiarami pracownia Mary Fisher. Drewno było stare, twarde, wytrawione słońca morską wodą. Jeden z bali przypuszczalnie stanowił niegdyś część kadłuba wojennego galeonu z epoki elżbietańskiej, a przynajmniej tak sugerował architekt. Przebudowa latarni morskiej na mieszkanie pochłonęła dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i zapewniła pracę wielu ludziom z okolicy i przybyszom z dalszych stron. Ruth dobrze o tym wiedziała, była bowiem nieźle obeznana z rachunkami właścicielki tej nieruchomości. Bobo spędzał nad nimi mnóstwo czasu przy ulicy Nocnego Ptaka 19, tak jakby nie mógł się uporać z nimi w biurze i musiał jeszcze je taszczyć ze sobą do domu.

Tak jak przypuszczał Garcia, Bobo i Mary kochali się na białej sofie, gdy nagle wtargnięcie Ruth zakłóciło im przyjemność.

On ubrany był w białą koszulę i marynarkę, a ona nie miała na sobie nic. Cichutko mruzczała z rozkoszy, lecz w tych delikatnych dźwiękach wyczuwało się pewien wysiłek. Garcia jednak uznał je za dostatecznie głośne, skoro zagłuszyły dzwonek telefonu, a ponieważ nie zdecydowali się nań odpowiedzieć, nie powinni nikogo innego oprócz siebie winić za to, co się wkrótce miało wydarzyć.

W pierwszej chwili ani Bobo, ani Mary nie zauważyli obecności Ruth z dziećmi. Kiedy to się stało, zmartwiały Bobo chciał natychmiast przerwać ów akt miłosny, lecz Mary Fisher życzyła sobie, aby sprawę kontynuować.

Andy i Nicola stanęli jak wryci z rozdziawionymi buziami. Matka nie uczyniła nic, aby oszczędzić im widoku wychudłego, ogarniętego namiętnością półnagiego ojca, który właśnie usiłował się wyrwać z objęć Mary Fisher.

- Zabierz stąd dzieci - powiedział ostro, wciągając na gołe ciało spodnie. - Nie jest to dla nich odpowiednie miejsce.

- To jedyne miejsce - odparła - gdzie zawsze będą mogli się przyjrzeć podobnie prymitywnym scenom.

- Bobo, biedaku - odezwała się Mary - teraz rozumiem, co miałeś na myśli. Ona jest nie do zniesienia. - Zarzuciła na ramiona żółty szal z frędzlami, chwościki omotała wokół talii i przywiązała jedwabną tasiemką. Kombinacja ta wyglądała jak suknia, z rodzaju tych droższych, eleganckich, przez którą od czasu do czasu przeświecało jej delikatne ciało.

- Garcia - zwróciła się do służącego - doprawdy powinienes był zapobiec wtargnięciu intruza.

- Przepraszam panią - rzekł odwracając wzrok, jakby nagość pracodawczyni nie była mu dobrze znana. - Nie było sposobu, by ją powstrzymać.

- Mogę to sobie wyobrazić - wyrozumiale przytaknęła Mary.

- Nicola, Andy - zwróciła się Ruth do dzieci - znajdujecie się w niezwykłym i pięknym miejscu. To przebudowana latarnia morska, dlatego są tu te nie kończące się schody. A to jest sławna i bardzo bogata pani, która pisze książki. Nazywa się Fisher, a wasz ojciec jest w niej bardzo zakochany. Dla jego dobra i wy musicie ją pokochać.

- Panna Fisher - uściśliła Mary.

- Na pewno będzie wam się tu podobało - kontynuowała Ruth. - Spójrzcie, za oknem widać mewy, a tam w dole możecie zobaczyć wykuty w skałach basen. Coś wspaniałego!

- Czy jest podgrzewany? - zapytała Nicola.

- Nie mogę patrzeć w dół - poinformował Andy - wysokość przyprawia mnie o mdłości.

- To spójrz tutaj, Andy, na ten barek wyżłobiony w ścianie z kamienia. Ileż tu rozmaitych urządzeń, orzeszków i chrupek! Polubisz te rzeczy. Jestem pewna, że pani Fisher bardzo sprawnie potrafi wyciskać sok pomarańczowy. Prawda, Bobo?

Bobo stał pomiędzy dwójką swoich dzieci i czuł, że powinien je bronić, ale nie bardzo wiedział przed czym.

- Garcia - powiedziała Mary Fisher - myślę, że ta pani jest trochę wytrącona z równowagi. Proszę, weź dzieci na dół do kuchni. Nakarm je, zrób zresztą z nimi cokolwiek, co zazwyczaj ludzie robią z dziećmi.

- Ależ, Mary - odezwał się Bobo - to nie są niedźwiadki, które się podkarmia ciasteczkami.

Mary Fisher miała minę, jakby głęboko w to powątpiewała.

- Ruth - poprosił Bobo - zabierz dzieci do domu. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to umówmy się gdzieś w mieście na obiad, aczkolwiek uważam, że nie mamy już o czym ze sobą rozmawiać.

- Nie mogę wrócić do domu - odparła Ruth.

- To konieczność - wtrąciła Mary wydymając maleńkie wargi. - Po prostu nie była tu pani zaproszona, popełniła więc pani przestępstwo. Jak pani wiadomo, mam psy. Jeśli zechcę, mogę panią nimi poszczuć. Prawo nie chroni intruzów. Czy tak nie jest, Garcia?

- Za pozwoleniem - rzekł służący. - Nikogo nie radziłbym szcuć psami, a przynajmniej nie dobermanami. Dzisiaj rzucą się na wrogów, a jutro na panią lub na mnie. Reagują na krew podobnie jak rekiny.

- A niechby nawet... - mruknęła Mary.

- Mary - odezwał się Bobo - nie ma powodu do zdenerwowania. To oczywiste, że dzieci nie mogą tutaj zostać. Muszą wrócić do domu. Tam jest ich miejsce, przy matce.

- Nie wydaje mi się to wcale takie oczywiste - zaoponowała Ruth. Nicola przy barku częstowała się orzeszkami, a Andy włączył przenośny telewizor, zresztą zdecydowanie za głośno. Dzieci wiedziały, że jeśli jakaś decyzja w ich sprawie zapadnie, to zostaną powiadomione. Trwającą tymczasem dyskusję uznały za bolesną i nudną.

- Uprzedzam, że nie radzę sobie z dziećmi - oznajmiła Mary Fisher. - Proszę na mnie popatrzeć, czy jestem typem macierzyńskim? A poza tym gdybym miała zajmować się dziećmi, to z pewnością tylko własnymi. Prawda, Bobo?

Z miłością spojrzała w górę na Bobba, a on czule na nią w dół i przez moment oboje wyobrazili sobie własne potomstwo, które bez wątpienia nie miałyby nic wspólnego z Andym i Nicolą.

- Ponadto - kontynuowała - ten dom nie jest odpowiedni dla dzieci. Wszędzie dookoła są tu drzwi, balustrady, z których można spaść, no i mamy złe psy. Powiedz, Garcia, czy tak nie

jest? Najlepszym miejscem dla dzieci jest ich własny dom, z własną matką. Naturalnie Bobo powinien je w końcu odwiedzić, zresztą nosił się z takim zamiarem. Najpierw jednak musi się pani opanować, on tak nie znosi awantur! Dla dzieci też nie byłoby dobrze, gdyby widziały, jak się kłócicie. Trzeba o nich pamiętać.

- Zobaczysz, jak tylko przeniesiesz się do mniejszego domu - zapewnił Bobo - od razu poczujesz się lepiej. Nie będziesz miała tyle pracy, zniknie więc twoje stałe zmęczenie i przygnębienie. Nie jestem nieczuły i doskonale rozumiem, że mieszkanie na Nocnego Ptaka, gdzie wszystko przypomina ci nasze wspólne życie, musi być bardzo przykre. Im szybciej się dom sprzeda, tym lepiej.

- Jestem zadowolona, że doszło do tej rozmowy - wyznała Mary Fisher. - To oczyści atmosferę. Bobo powinien dysponować całym swoim kapitałem, by rozwinąć firmę. Chcemy tutaj zorganizować biuro w dobudowanym na wspornikach pawilonie. Zdaję sobie sprawę, że wieża wygląda na przestronną, ale zaskakujące, jak w rzeczywistości jest tu mało miejsca. A w związku z rozwojem, jaki w ostatnich latach nastąpił w informatyce, Bobo może bez kłopotu prowadzić działalność tutaj i wystarczy, jeśli w biurze w mieście pokaże się dwa razy w tygodniu. Nie chcemy pani ponaglać, ale doprawdy im szybciej dom zostanie sprzedany, tym lepiej. Bobo uważa też, że powinien łożyć na swoje utrzymanie, nie chce być przecież moim dłużnikiem. Jestem pewna, że pani to rozumie.

- Rzecz w tym - powiedziała Ruth - że zwyczajnie nie ma już domu, który można sprzedać. Spalił się doszczętnie dziś rano. Nie ma domu, do którego mogłabym zabrać z powrotem dzieci, chyba że wygrzebiemy jamę w popiołach. A zatem muszą tu zostać.

Bobo nie skończył jeszcze obwiniać Ruth o beztroskę, kiedy Mary Fisher zatelefonowała na policję i do straży pożarnej, aby sprawdzić opowiedzianą przez Ruth historię. Dopiero wówczas dzieci zdały sobie sprawę, że świnka morska nie żyje. Kiedy wszelkie odgłosy, poza sporadycznymi astmatycznymi sapnięciami Bobba, zamarły, Mary Fisher powiedziała:

- Ze względu na okoliczności i dobro dzieci proponuję, aby zostały tutaj. Oczywiście tylko na jeden lub dwa dni, do czasu aż znajdziemy jakieś sensowne rozwiązanie. Garcia, czy mógłbyś odwiedzić panią Patchett na stację? To musiał być dla niej wyjątkowo męczący dzień. Jeśli zaraz wyruszyacie, powinna jeszcze złapać wieczorny pociąg.

Po czym wyszła z pokoju i tylko mały biały tyłeczek błysnął pośród frędzli szala. Jej kwestia w rozmowie została dopowiedziana do końca. Zdażyła jeszcze kątem oka dostrzec, jak Nicola miażdży obcasem chrupki na perskim dywanie, a Andy'emu przy kolejnych kichnięciach tryska z ust coca-cola na czyste, białe ściany.

Ruth szykowała się do odejścia.

- Ale co z ich rzeczami? - zapytał Bobo postępując w ślad za nią. - Gdzie są ich rzeczy? Dresy, bielizna, swetry, zabawki, pędzle do malowania i tak dalej?

- Wszystko przypadło. Spaliło się. Kup im nowe.

- Czy ty sądzisz, że ja drukuję pieniądze? Poza tym jest sobota i wszystkie sklepy są zamknięte, a jutro niedziela.

- Na ogół tak bywa - zauważyła Ruth. - Właśnie wtedy, kiedy człowiek czegoś potrzebuje, sklepy są zamknięte.

- A co z ich szkołą, Ruth? Znosi się na to, że opuszczają lekcje.

- Poszukaj im inną.

- Tu w okolicy nie ma żadnych szkół.

- Jeśli się chce, zawsze można jakąś szkołę znaleźć - odparła Ruth.

- Dokąd jedziesz? - wypytywał Bobo. - Do przyjaciół?

- Jakich przyjaciół? - spytała. - A może chcesz, żebym tutaj została?

- Wiesz, że o tym nie ma mowy.

- Wobec tego odchodzę.

- Zostaw mi chociaż adres.

- Nie - odparła. - Nie mam żadnego.
- Nie możesz tak po prostu porzucić własnych dzieci.
- Mogę - odpowiedziała Ruth.

Garcia odprowadził ją do frontowych drzwi, a doberman węsząc ruszyły za nią. Unosił się wokół niej nowy zapach: mieszanina triumfu, wolności i lęku. Wydał im się pociągający, więc zmarszczonymi nosami myszkowały pod jej odzieniem w kolorze zielonej mięty.

- Psy mają dobry smak - powiedział Garcia sadowiąc ją z tyłu rollsroyce'a. - W którą stronę pani jedzie? Na wschód czy zachód, z peronu pierwszego czy drugiego?

- Oba mi pasują - odpowiedziała. - Wysadź mnie tylko koło stacji.

Domyślił się, że płakała. Spojrzał do tyłu przez ramię i zobaczył, jak drżą jej potężne ramiona.

- Musiało do tego dojść - mówiła. - Nie było innego wyjścia. Oni albo ja.

- Będę je miał na oku - zapewnił i istotnie zamierzał dotrzymać słowa. - Może pani dzwonić, kiedy zechce, to dam znać, co się dzieje.

- Dziękuję, Garcia.

- Czy pani chce, żeby on do pani wrócił? - zapytał, choć i tak przypuszczał, że tego pragnie. Mężczyźni z trudem wyobrażają sobie, że kobiety mogą się bez nich obejść.

- Tak - odpowiedziała - ale na moich warunkach.

- Jakie one są?

- Dość szczególne.

Wsiadła do pociągu odjeżdżającego w kierunku wschodnim: bardzo wysoka, barczysta kobieta z umorusaną twarzą, czerwonymi obwódkami wokół oczu, w miętowozielonej niczym namiot sukni i z przewieszonym przez ramię czarnym plastikowym workiem pełnym osobistych drobiazgów.

- Dlaczego ta pani tak śmiesznie wygląda? - zapytał chłopczyk siedzący w pociągu naprzeciwko Ruth.

- Cicho-sza - skarciła go matka i prędko przesiadła się z malcem na inne miejsce.

Rozdział piętnasty

Mary Fisher wzniosła wokół siebie wieżę, kamienie scementowała banknotami, ściany wytapetowała skradzioną miłością, ale wciąż nie czuła się bezpiecznie. Miała matkę.

Starsza pani Fisher przebywa w domu starców. Wiem o tym, ponieważ co miesiąc przekazywano administratorce opłatę i nieodmiennie powstawało pytanie, czy ekstra upominki, takie jak butelka wiśniówki tygodniowo i cztery paczki herbatników nadziewanych czekoladowymi wiórkami, można potrącić z podstawy opodatkowania. Akta są grube. Bobo jest dokładny, to prawdziwy mistrz szczegółu. Podobnie jak Mary Fisher. Bobo muska językiem lewy sutek Mary Fisher, szybko, z prawa na lewo, a ona wydaje z siebie leciutkie westchnienie rozkoszy.

Potrzebuję trochę czasu. Niedługo wszystko się zagoi, ale na razie czuję ból. Diablica została zraniona i czmycha z powrotem do swojej kryjówki, bo tam, na zewnątrz, zachłanne macierzyństwo stąpa na swych wielkich stopach.

O tym smutku muszę myśleć jak o konkretnym bólu fizycznym. Muszę pamiętać, że z urazem psychicznym jest podobnie jak ze złamaną nogą, z czasem wszystko się zrasta i goi. Nie pozostaną żadne szpecące blizny. To głęboka wewnętrzna rana, nie zaś powierzchowne skaleczenie.

Jestem kobietą, która musi nauczyć się żyć bez dzieci. Jestem zmieniającym skórę wężem. Nie ma znaczenia, że tymi dziećmi są pozbawieni wdzięku Andy i Nicola. Dziecko pozostaje dzieckiem, a matka matką. Skręcam się, zwijam z bólu, cierpię katusze z poczucia

winy, mimo iż wewnętrznie jestem przekonana, że im spokojniej to zniosę, tym szybciej wyzdrowieję; rozplątałam starą skórę i w nowej postaci wyślizgnę się w świat.

Jestem pewna, że bardziej tęsknię za nimi niż one za mną. Żyłam dla nich. Jedyne one nadawały sens mojemu życiu; służyłam wyłącznie zaspokajaniu ich stale rosnących potrzeb, tak jak starsza pani Fisher służyła swojej córce Mary.

Rozdział szesnasty

Trzy razy do roku Geoffrey Tuffton zatrzymywał się w tym samym hotelu należącym do sieci Travelodge i w mieście krążył od firmy do firmy promując nowe osiągnięcia technologiczne w dziedzinie informatyki. Podróżował też z kraju do kraju samolotami, zajmując się tym samym, tyle że na większą skalę; miał do czynienia z tysiącami, a nawet setkami tysięcy dolarów. Coś jednak przeszkodziło mu w karierze: albo jego osobowość nie pasowała do tego rodzaju zajęć, albo nazbyt często nie doprowadzał spraw do końca. Niewykluczone też, że dotknęła go odmowa żony, która nie chciała utożsamiać się z towarzystwem, dla którego pracował. Sam nie potrafił tego rozstrzygnąć. Podróże samolotem stawały się coraz rzadsze, na porządku dziennym były natomiast wyprawy pociągami; promocja przedstawiała się mizernie, a inflacja pochłaniała zarobki. Nic dziwnego, że ostatnimi czasy czuł się dobrze jedynie w Travelodge, gdzie w barze wychylał kilka drinków, albowiem na to było go jeszcze stać. Dzisiaj przypadały właśnie jego pięćdziesiąte pierwsze urodziny. Nie miał nikogo, z kim mógłby je uczcić, jeśli taki dzień w ogóle na to zasługuje. Medytując nad sobą odkrył, że waży o całe siedem kilogramów więcej, niż przypuszczał, a co gorsza, dokuczało mu chroniczne zapalenie spojówek. Zakażone oko swędziało, łzawiło, podchodziło ropą. Sugestia lekarza o psychosomatycznym podłożu tej dolegliwości jeszcze bardziej go przygnębiła. Niedowidział, miał nadwagę, czuł się niepotrzebny. Zaszyty w kącie baru, z chorym okiem zwróconym ku ścianie, popijał i przyglądał się, jak pewien znajomy komiwojażer podrywa wchodzące dziewczyny, które składały tu dyskretne nocne wizyty. Wiedział, że nie ma u nich żadnych szans. Ropiejące oko odstręczało swoim wyglądem. A one nie miały pojęcia ani o wieku, ani o otyłości i jedyne, co potrafiły, to podbijać swoje ceny. Wypryski na skórze, zaropiałe oczy, opryszczka wokół ust tylko je drażniły. A niby dlaczego nie? Poczul nawet z tego powodu pewne zadowolenie, ponieważ nie lubił oszukiwać żony, aczkolwiek ją właśnie obwiniął o większość swoich niepowodzeń. Jego wewnętrzne zadowolenie miało jednak charakter połowiczny, a to dlatego, że ostatnio żona podjęła pracę. Mógł godzić się na wiele, lecz nie na to, by zarabiała lepiej od niego. Odbierało mu to poczucie sensu, nagrodę za życie, jakie wiódł, a było nią przeświadczenie, iż jest jej jedynym wsparciem.

Spojrzał na wchodzącą do baru Ruth; pod imitacją łuku z epoki Tudorów musiała mocno pochylić głowę. Miała na sobie białe spodnie z błyszczącego materiału. Oczy wszystkich zwróciły się ku niej, a pełne zdumienia westchnienie przemknęło przez bar. Na widok końskiego ogona Ruth jedna z dziewcząt, która gdy jej się dobrze przyjrzeć od ramion w górę, musiała mieć pod pięćdziesiątkę - głośno zachichotała. Siedzący obok Geoffreya zażywny jegomość sapnął: - Szczególny smak...

Geoffreya ogarnęło współczucie dla olbrzymki o dziwnym wyglądzie. Przysiadł się więc i postawił lampkę wina, sądząc, iż w ten sposób pomaga jej zachować twarz. Nie był tylko w stanie dłużej ukrywać przed nią chorego oka.

- Wygląda paskudnie - stwierdziła, wpatrując się weń badawczo. - Czy próbował pan pocierać złotem?

- Nie - odpowiedział. - A czy powinienem?

- Naturalnie. Właściwie nie należy pocierać, tylko toczyć wokół oka. Wytoczy się wtedy urok.

Chcąc rzecz zademonstrować, zdjęła z palca ślubną obrączkę i przesunęła wokół zakażonego oka. Zaskakujące, jak chłodny i jedwabisty wydał mu się metal, który w chwilę później przyniósł mu prawdziwą ulgę.

- No tak, proszę spojrzeć na mnie. Nie jestem znowu taki straszny. Wiem, że to wygląda fatalnie, ale to tylko oko... A między nami mówiąc, jestem miłym facetem.

- Istnieje jednak coś, czego nie chce pan zauważyć, tak mi się przynajmniej wydaje - powiedziała. Miała lśniące, wspaniałe oczy. Widoczne w nich różowawe błyski stanowiły, jak przypuszczał, odbicie małych czerwonych atlasowych abażurów. Obejrzał się na inne dziewczęta: ich ledwie zarysowane w konturach sylwetki niewiele dzieliło od nicości. Potem spojrział na Ruth. Wyglądała niczym z grubsza tylko ociosany blok granitu, nagle porzucony przez rzeźbiarza, który poszedł na obiad i już nigdy nie powrócił. Ale jej masywność właśnie mu się podobała.

- Jeśli mam być szczery - rzekł - nic nigdy nie wydaje mi się całkowicie rzeczywiste, a już z pewnością żadna z tych spraw, o których teraz myślę. Poza tym dziś kończę pięćdziesiąt jeden lat i za późno, by zaczynać od nowa.

Ruth nie odpowiedziała, tylko podała mu obrączkę.

- Proszę to zatrzymać - mruknęła.

- Ależ to pani obrączka ślubna.

Wzruszyła ramionami, a wtedy właśnie poczuł, że opuchlizna wokół oka ustępuje i swędzenie staje się mniej dokuczliwe.

- Czy to jest złoto? - spytał.

- Oczywiście.

Wiedział, że to nieprawda. Był jednak podniesiony na duchu, wyzwolony i z tego powodu żywił do niej prawdziwą wdzięczność. Odnosił wrażenie, że w istocie spotkało go coś niezwykłego: został uleczony z choroby, z której istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy - z utraty wiary.

Kupił w barze butelkę szampana i zabrał Ruth na górę do swojego pokoju. Ktoś zachichotał w przejściu, ale Tuffton wcale się tym nie przejął.

- To nie ma znaczenia - powiedział.

- Owszem, ma - zauważyła Ruth.

Zgodnie z jej życzeniem światło miało być zgaszone, a oni przykryci. Nie miał nic przeciw temu. W podobny sposób rozpoczynał własne pożycie małżeńskie i trwało tak dopóty, dopóki żona, która zaczęła się rozczytywać w magazynach kobiecych, nie doszła do wniosku, że seks, nagość i fizyczna niedoskonałość nie są niczym wstydlivym. Według niego - były, a inne od swojego stanowisko uznał za nielojalne i jednostronne, chociaż nie mówił tego głośno. Ona miała piękne ciało, czego niestety nie można było powiedzieć o nim. Wreszcie żona, zapewne pod wpływem tych samych czasopism, rozwinęła w sobie upodobania do seksu oralnego i dziwacznych pozycji, co zawsze wprawiało go w zakłopotanie. Ruth lubiła zwyczajnie leżeć mając go nad sobą, a przyjemność, jaką oboje z tego czerpali, była zapewne równa tamtej. Wyznała mu też, że mąż narzekał z powodu jej zahamowań czy raczej niechęci do bardziej awanturniczego seksu, ale cóż mogła na to poradzić?

Tuffton spędził w Travelodge cały tydzień, płacąc również za pobyt Ruth. W poniedziałek rano jego oko było już całkowicie zdrowe, a i zapalenie na dobre minęło. Usłużna i uległa Ruth sprawiała wrażenie lekko oszołomionej. Niewiele o sobie mówiła, zresztą o nic nie pytał.

Pewnej nocy zbudził go jej płacz.

- Co się stało? - zapytał.

- Płacę nad moją przyjaciółką, sąsiadką, jedyną osobą, z którą się dobrze rozumiałam. Umarła trzy lata temu, a wciąż nie mogę o niej zapomnieć. Popęliła samobójstwo.

- Dlaczego?

- Wiecznie kłócili się z mężem. Nazywała się Buba i miała dwoje dzieci. Zranił ją. Tak bardzo była tym dotknięta, że zostawiła go samego z dziećmi i przeniosła się do matki. Chciała dać mu nauczkę. Wszyscy uważali, że właśnie w ten sposób powinna postąpić, skoro wiecznie wracał do domu pijany. Ten facet jednak już następnego dnia sprowadził sobie przyjaciółkę, aby zajął się dziećmi. Szybko zaszła z nim w ciążę i gdy Buba postanowiła wrócić do domu, okazało się to już niemożliwe. Wypiła więc butelkę whisky, zażyła pigułki. Matka znalazła ją martwą w jej dawnej sypialni, w której dorastała.

- Takie historie się zdarzają i nie ma w tym niczyjej winy.

- Tak czy owak - dodała - wszystko już skończone. Muszę, jak każda kobieta, zatroszczyć się o siebie. Nie będę już nigdy więcej płakać. Wydaje mi się, jakbym płakała nad samą sobą.

Wtulił głowę pomiędzy jej duże, ciężkie piersi i nasłuchiwał wolnego bicia jej serca. Pomyślał, że nigdy dotąd nie słyszał tak spokojnych, wolnych uderzeń, i nawet jej to powiedział.

- Mam chłodną krew - wyjaśniła. - Płynie wolno; jestem zimmokrwista i z każdym dniem krew mi się oziębia.

Przyszło mu na myśl, że mogliby zostać ze sobą. Oszczędzby od żony, na co - jak sądził - ona tylko czekała. Ich długie, ciemne, obyczajne noce trwałyby całą wieczność. Ale Ruth odmówiła wyjaśniając, że zbyt wiele ma jeszcze do zrobienia.

- A cóż ty masz do zrobienia? Co takiego kobieta koniecznie musi zrobić?

Zaśmiała się tylko i powiedziała, że podniosła rękę na samego Boga. Lucyfer próbował i mu się nie udało, bo był tylko mężczyzną. Ona zaś żywi przekonanie, iż jako kobieta, może zrobić to lepiej.

Rozdział siedemnasty

W poniedziałek rano Ruth wstała rześka z łóżka w Travelodge, pożegnała na zawsze kochanka o oczach bez skazy i wybrała się na dalekie przedmieście. Zatrzymała się u drzwi okazałej willi o wielu oknach; niektóre z nich były okratowane i tonęły w bujnej zieleni. Krzewy w ogrodzie zostały posadzone według starannie przemyślanego planu, aby ich pielęgnacja nie sprawiała większego kłopotu.

Ruth przycisnęła dzwonek z napisem: "Goście". Drzwi otworzyła pani Trumper. Była to niewiasta po sześćdziesiątce, z siatką popękanych żyłek na policzkach, twarzą o wystającej szczęce i niechętnym spojrzeniu. Wprawdzie wielu pensjonariuszom jawiła się jako osoba okazałej postury, lecz Ruth wydała się raczej drobna.

- Co tam? - spytała pani Trumper niezbyt przyjaznym tonem, ale też nie przesadnie wrogo. W ubiegłym tygodniu jedna z będących pod jej opieką starszych pań zmarła i pokój, który zajmowała, wciąż stał pusty. Niewykluczone, że to potężne kobiecisko miało matkę nadającą się do zakładu, i to może nawet z rodzaju najlepiej tu pasujących zgrzybiałych staruszek, które wciąż jednak panowały nad swoimi czynnościami fizjologicznymi. Zapomogi państwowe w przypadkach, gdy rozpoznawano uwiad starczy i istniało prawdopodobieństwo, iż pacjent może utracić samokontrolę, były znaczne i wypłacano je automatycznie, niezależnie od tego, czy rzeczywiście służyły choremu, czy też ktoś mógł je sobie przywłaszczyć.

- Czy pani Trumper? - spytała Ruth.

- Tak. - Zgasiała papierosa na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że przybyła należy do miejscowych władz służby zdrowia. Sprawił to nie tyle widok wydatnej, rzucającej się w oczy szczęki gościa, ile doświadczenie, które podpowiedziało jej, iż kobieta, która pozwala włosom wyrastać z pieprzyków na twarzy, musi mieć nieugiętą naturę. Tacy ludzie często bywają zatrudniani, by innym wytykać błędy.

- Słyszałam, że jest tu wolne miejsce dla pomocy domowej na stałe zwróciła się Ruth do pani Trumper, podczas gdy tamta z uwagą studiowała niedopałek papierosa, stwierdzając wreszcie, iż przy odrobinie dobrej woli mógłby się nadać do ponownego przypalenia. Po czym zabrała Ruth do swojego biura. Tego rodzaju wolne miejsca były u niej zawsze. W świecie znacznie przeważali ludzie starzy, opuszczeni, pozbawieni opieki nad młodymi, gotowymi im nieść pomoc.

Przybyła przedstawiała się jako osoba pochodząca z Północy, niedawno owdowiała, z gruntownym doświadczeniem w opiece nad starszymi ludźmi.

Pani Trumper bliżej nie wnikała w te oświadczenia. Kandydatka była silna, co w tej pracy stanowiło absolutną konieczność, i czysta, co zaskarbiało względy odwiedzających. Jej uczciwość była sprawą drugorzędną, skoro pensjonariusze tak niewiele mieli własnych rzeczy, które mogłyby paść ofiarą kradzieży. Byli w wieku, gdy majątek mało już znaczy; sedno sprawy tkwiło jednak w tym, że błyskawicznie zagrabiliby własne pokoje, gdyby im tylko pozwolono robić to, na co mają ochotę.

Zabrała więc Ruth na obchód domu, objaśniając po drodze charakter czekających ją obowiązków i istotę Restwood, bo taka była nazwa zakładu. Od frontu, korzystając z przywileju dysponowania własnymi pokojami z widokiem na ogród, mieszkali krewni ludzi bogatych. Do ich grona należała pewna utytułowana dama, otaczana wyjątkowo staranną opieką. Przydzielono jej miejsce o najwyższym standardzie- salon z łazienką. Na tyłach domu, po dwie, trzy, a nawet cztery osoby w pokoju, gnieździli się krewni ludzi mniej zamożnych. Tygodniowa opłata za pobyt równała się trzem podstawowym emeryturom i dzięki temu możliwe było utrzymanie domu we względnym dobrobycie.

- Ci starzy są wszyscy tacy sami - oznajmiła pani Trumper - roją się im luksusy. Nie można godzić się na nonsensy! Musisz przyjąć twardą linię postępowania: pamiętaj, że niczym nie różnią się od dzieci. Miałaś do czynienia z dziećmi?

- Tak - odrzekła Ruth.

- Wobec tego poczujesz się tu jak w domu - skwitowała, dodając: - Zgłaszaj mi każdy przypadek zmoczenia łóżka i pościeli przesiąkniętej zapachem moczu. Musisz wiedzieć, że oni potrafią być przebiegli. Głośna była historia, gdy próbując mnie oszukać, przemycili na zewnątrz kompletnie przemoczony materac. Oczywiście zawsze to w końcu potrafię odkryć.

- Co odkryć?

- Brak samokontroli! - odparła pani Trumper. - Kiedy nasi pensjonariusze zaczynają się moczyć w łóżkach, nie mogą dłużej mieszkać w Restwood.

- A jednak musi im się bardzo podobać - zauważyła Ruth - skoro decydują się tkwić tu tak długo.

- O tak, lubią to miejsce - potwierdziła jej przyszała chlebodawczyni. - Aż za bardzo. Niekiedy przymkam na wszystko oczy i doglądam ich dłużej, niż powinnam. Mam zbyt miękkie serce, naturalnie ze szkodą dla siebie samej.

Sypialnia Ruth była niewielka, łóżko za krótkie, a tygodniowa pensja wynosiła zaledwie 85 dolarów. Pani Pearl Fisher, matka Mary, dzieliła pokój na tyłach domu z Ruby Ivan i Estherą Sweet.

- Ładnie się panie nazywają - zauważyła Ruth, gdy następnego dnia wyrwała je z narkotycznej drzemki, przynosząc wczesną poranną herbatę.

Lekarz, którego wzywano do pensjonariuszy w Restwood, przepisywał im na bezsenność valium i mogadon w dużych ilościach. Cóż innego mógł bowiem dla nich zrobić? Uważał, że

im mniej leciwych pań dokładnie orientuje się, jak naprawdę wygląda Restwood, tym lepiej, wszak i tak nie miały dokąd odejść.

Panie Fisher, Ivan i Sweet wydawały się mile zaskoczone wypowiedzią Ruth i odtąd zaczęły ją traktować jak przyjaciółkę. W ich oczach personel Restwood wyraźnie dzielił się na dwie części: wrogów i przyjaciół. Wrogiem była pani Trumper. Ona tylko czekała, aż jej podopieczni zaczną się moczyć w łózkach. Wtedy usuwała ich stąd bez skrpułów, oddając z powrotem w bezlitosne ręce krewnych do czasu, aż znajdzie się nowy dom opieki, tym razem ze specjalną obsługą do zmiany pościeli. A takie miejsca, wszyscy dobrze o tym wiedzą, nie istnieją. Był to więc prawdziwy problem na końcu ich życiowej drogi.

Ruth gawędziła z paniami, unosiła je, poprawiała poduszki, czesała, wycierała i rozpylała wokół środki odkażające. Tak upłynął tydzień. Wkrótce potem wspomniała pani Fisher, że zna jej córkę, Mary. Pani Fisher odwdzieczyła się tylko nieobecny spojrzeniem i nic nie odpowiedziała. Ruth zastąpiła brane przez staruszkę valium witaminą B, a mogadon wymieniła na witaminę C i po tygodniu zagadnęła ją w podobny sposób.

- Zabawne, można by rzec - odezwała się wreszcie. - Nie przypuszczałam, że ktokolwiek zna Mary, nawet ja, w końcu jej własna matka. Jak ona się miewa?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Ruth. - Ma nowego kochanka.

- Obrzydliwość - skonstratowała pani Fisher. - Nie jest lepsza od rozparzonej kotki.

Zawsze taka była. Przejrzałam ją od samego początku. Rynsztok to miejsce w sam raz dla niej. Mówię o tym, by cię uprzedzić, ponieważ jestem taka sama.

Splunęła. Odchyliła głowę do tyłu, zbierając ślinę, i splunęła ponownie. Potrafiła pluć ze swojego łóżka prosto w najodleglejszy kąt pokoju ponad panią Ivan i panią Sweet, owymi wrażliwymi istotami, które teraz wydawały się mocno przygnębione. Ruth starła plwocinę, rzadką i ciągnącą się niczym białko starego nadpsutego jajka.

- Wyrządziła mi wielkie świństwo - oznajmiła pani Fisher. - Ukradła mi mojego mężczyznę. Miał duże pieniądze. Byłam od niego o połowę młodsza, a Mary liczyła sobie ledwie ćwiartkę tego, co on. Nic dziwnego, że raz dwa go wykończyła. Żalony starzec. Dobrze mu tak! Do tego był socjalistą!

Ruth zachęcała ją do wstawania z łóżka i poruszania się za pomocą metalowego balkonika. Pod koniec miesiąca staruszka dawała sobie radę już bez niego, a po upływie sześciu tygodni potrafiła sama zejść ze schodów.

- Wszystko spadnie na twoją głowę - ostrzegała pani Trumper. - Choć to robi korzystne wrażenie na gościach, powiem bez ogródek: tylko jedna z twoich podopiecznych może sobie pozwolić na takie fanaberie. Weź bowiem pod uwagę, że oni naprawdę sprawiają mniej kłopotu w łózkach. Przyznasz mi chyba rację?

Ruth podsuwała pani Fisher do jedzenia fasolkę, jabłko, surówkę z kapusty i brunatny ryż. Dzięki tej diecie ustępowały dręczące bóle trawienne żołądka, bez przerwy natomiast dokuczały czkawka i gazy, co wyprowadzało jej towarzyszkę z równowagi.

- Potrzebuje pani osobnego pokoju - doradzała Ruth. - Nie jest pani obłożnie chora i ma prawo do prywatnej przestrzeni. - Przy okazji wyjaśniła jej, na czym polega istota tego pomysłu. To, że jednostki posiadają prawa, było czymś, czego nigdy dotąd starsza pani sobie nie uświadamiała. Przypuszczała, że ludzie w zasadzie mają wszystko, co jest im potrzebne do życia na tym w gruncie rzeczy opiekuńczym świecie. Nową doktrynę przyjęła jednak z całą otwartością.

- Mam prawo do dwóch plasterków bekonu! - wszem i wobec głosiła pani Fisher wędrując po korytarzach. - Osoba ma prawo do zaspokojenia głodu. - Albo: - Jeśli tylko zechcę, będę się kąpała dwa razy w tygodniu, bo mam do tego prawo. - Lub też: - Z uwagi na wszystko, co zrobiłam dla tego kraju, mam prawo do gumowego krążka, aby mój tyłek wygodnie spoczywał na nim przez całą noc. - Dawało się też słyszeć: - Matka też ma prawo do plucia, pierdzenia, smarkania w palce, jak tylko ma na to ochotę. - Pełne aprobaty

pochrząkiwania i jęklive pomruki na znak zgody niosły się echem po sypialniach i korytarzach; dochodziły nawet ze wspólnego pokoju, gdzie chorzy siedząc pod ścianami w plastikowych fotelach oglądali programy telewizyjne, których nie mogli i nie chcieli pojąć.

Krewni odwiedzający swoich bliskich zamiast pogodzić się z zastaną sytuacją i okazać choćby odrobinę wdzięczności, zaczęli się upominać o dodatkowe poduszki, filiżanki z talerzykami, o to, by woda w wazonach była częściej zmieniana, a zwłaszcza teraz, w sezonie dali.

- Dlaczego sami nie zadbają o swoich kapryśnych i wybrednych krewniaków, zamiast wszystko zrzucić na moje barki? - pytała w duchu samą siebie pani Trumper.

Była całkowicie przekonana, iż wszystkie kłopoty zaczęły się wraz z pojawieniem się Ruth. Miotły nią sprzeczne uczucia. Czuła się rozdarta pomiędzy chęcią natychmiastowego jej zwolnienia a obawą, czy potrafi znaleźć na to miejsce kogoś równie silnego, czystego i chętnego do pracy. Ta kobieta budziła w niej lęk; była tak przerażająco wielka, że mogłaby rozetrzeć ją, przełożoną, między kciukiem i wskazującym palcem. I te niepokojąco błyszczące oczy...

Pani Fisher zażądała dla siebie oddzielnego pokoju.

- A skąd weźmie pani na to pieniądze? - dopytywała się pani Trumper. - Pani córka nie jest hojna, reguluje tylko niezbędne opłaty. Co z oczu, to i z serca, zwłaszcza jeśli chodzi o ludzi starszych. Mogę panią o tym zapewnić, pani Fisher. Wystarczająco wiele razy to widziałam! Naturalnie wszystkich spotyka taki koniec, na jaki sobie zasłużyli. Co na początku jest samym szczęściem, u końca drogi bywa tylko sprawiedliwością. Panie Sweet i Ivan wzajemnie na siebie zasłużyły.

Na swój sposób lubiła sobie pożartować z pacjentami, mimo iż rzadko ją w takich sytuacjach rozumieli. Nic dziwnego, że często czuła się bardzo samotna.

- Sama napiszę do mojej córki - oznajmiła staruszka.

- Nie może pani - usłyszała w odpowiedzi - ponieważ nie ma pani jej adresu.

- A właśnie że mam - odparła - i wcale nie muszę u pani o to zabiegać. - W rzeczywistości używała o wiele mocniejszych, bardziej brutalnych wyrażań, wiedząc - jak mówiła wcześniej Ruth - czym jest ryszotok.

Pani Fisher napisała list do córki. List podyktowała jej Ruth.

"Moja kochana Mary, wiele czasu minęło od Twojej ostatniej wizyty. Wiem, że jesteś bardzo zajęta, ale niekiedy powinnaś pomyśleć o kimś, kto Cię wychował i doglądał w najtrudniejszym okresie Twego życia. Mój los byłby znośniejszy, gdybyś zechciała płacić Pani Trumper za osobny pokój z telewizorem. Wówczas nie tęskniłabym tak bardzo do odwiedzin.

Najlepsze życzenia dla Ciebie i wyrazy miłości dla malców. Twoja kochająca cię matka, Pearl".

- Ależ ona nie ma żadnych malców - zaproponowała.

- Teraz ma - zapewniła ją Ruth.

- Fantastyczne - ucieszyła się. - A to podstępna suka! Matka dowiaduje się zawsze ostania.

Ruth osobiście wysłała list pani Fisher, ponieważ spora część poczty w jakiś dziwny sposób przepadała w domu i nigdy nie wychodziła na zewnątrz. List, który nadszedł w odpowiedzi, Ruth podniosła z wycieraczki. Na pachnącym papierze Mary Fisher cieniutkim, wytwornym charakterem pisma informowała, że większe opłaty nie są możliwe, lecz mimo to zachowuje nadzieję, iż matka miewa się dobrze i jest szczęśliwa. Ostatnio ona jest bardzo zajęta, inflacja bowiem powoduje, iż musi pracować podwójnie ciężko za połowę tego, co udało jej się zarobić poprzednio, a ma teraz wiele osób na utrzymaniu. Jeśli matka mogłaby zrezygnować z sherry, byłaby jej za to wdzięczna. Tęskni za życiem tak pełnym spokoju i ciszy, jakie wie dzie matka, i zapewnia o swojej miłości.

- Wygląda na to, że pani biedna córka haruje ponad miarę - stwierdziła Ruth. - Niewykluczone, że mogłaby jej pani pomóc, pani Fisher. Czy kiedykolwiek pani o tym pomyślała? Czy matka nie powinna być u boku córki, jeśli akurat może i ma na to dość sił?

Pani Fisher oparła się wygodnie na nowych poduszczykach, włączyła telewizor, wymijająco spojrziała na nią i powiedziała, że czasami się zastanawia, o co właściwie jej chodzi. Cokolwiek by to było, ona w każdym razie stoi po stronie Ruth. Jednego jest tylko pewna: nie ma zamiaru jechać do córki ani tym bardziej z nią zamieszkać.

Wspomniała też pewną niezawodną pielęgniarkę, niejaką Hopkins, która kiedyś okazała jej wiele serca. Miała szczęście i opuściła Restwood. Starsza pani cierpiała z powodu jej odejścia i od tamtego czasu nie chciała wstawać z łóżka.

- Siostra Hopkins - mówiła - była króciutka jak łyżeczka do herbaty i szeroka jak drzwi, a przy tym odznaczała się niezwykle siłą. Oczywiście ty jesteś wielka jak dom. To się tutaj bardzo przydaje.

- Co się z nią stało?

- Przeszła do pracy w szpitalu dla obłąkanych przestępców. Tam nie wyróżnia się wyglądem.

Ruth starała się jak najlepiej postępować z panią Fisher. Każdy powinien się tak odnosić do przyjaciół. Tymczasem pani Fisher nie miała zamiaru zamieszkać z córką. A niby dlaczego miałaby tej małej suce wyświadczać jakąś grzeczność?

- Musi jej pani wybaczyć. Z całą pewnością mogłaby pani na pewien czas u niej zamieszkać. Trzeba po prostu pojechać.

- Jestem na to za stara.

- Ma pani tylko siedemdziesiąt cztery lata. To jeszcze nie taki podeszły wiek.

- Przypuśćmy, że mogłabym się na to zdobyć - ustąpiła wreszcie. - Powiedzmy, w któreś niedzielne popołudnie.

- Odprowadzę panią i pomogę wsiąść do pociągu - zapewniła ją Ruth. - Kupię bilet powrotny, zadzwonię i poproszę, aby służący wyszedł pani na spotkanie.

- Służący! - podchwyciła starsza pani. - Założę się, że tam dzieją się niezłe hece!

- Też mogę się o to założyć - dodała Ruth.

- Niczego przede mną nie ukryje - powiedziała pani Fisher. - We wszystkim jestem zorientowana. Popsuję jej szyki!

Pewnego niedzielnego ranka Ruth usunęła z buteleczki z lekarstwami swojej podopiecznej tabletki placebo i zastąpiła je valium z mogadonem. W porze niedzielnego drugiego śniadania, gdy wszyscy przebywali w jadalni, wylała zawartość basenu Ruby do łóżka pani Fisher, po czym przyniosła wazon nieświeżych, przywiedłych dalii dla zamaskowania zapachu, przynajmniej na jakiś czas. W niedzielę po południu wsadziła starszą panią, ubraną w najlepsze fiolety, zielenie i brudne szarości, do pociągu dojeżdżającego do stacji w okolicy Wysokiej Wieży. Po powrocie do zakładu zatelefonowała z biura pani Trumper do Garcii i poinformowała, że dzwoni z Restwood, aby uprzedzić, iż matka panny Fisher wybrała się do domu z jednodniową wizytą i w związku z tym należy wyjść po nią do pociągu. Była opanowana, rzeczowa i odłożyła słuchawkę, zanim Garcia mógł się skontaktować ze swoją chlebobdawczynią.

Potem zasiadła przy telefonie i czekała, aż zadzwoni, co też niebawem nastąpiło. Na linii była Mary Fisher. Nie miała cierpliwości, by się upewnić, czy rozmawia z właściwą osobą, tylko natychmiast poirytowanym, wyższym niż zwykle głosem wyrzuciła z siebie:

- To niewybaczalne, pani Trumper! Po pierwsze, dziś wieczór zwyczajnie nie ma powrotnego pociągu. Po drugie, powinnam zostać uprzedzona chociażby na tydzień wcześniej, i po trzecie, czy pani wiedziała, co robi, pozwalając staruszce w ten sposób wędrować po kraju - pociągiem! Mogło ją przecież spotkać wszystko co najgorsze.

- Pani Trumper nie ma - odpowiedziała Ruth, przybierając nienagannie uprzejmy ton głosu. - Mówi przełożona. Pani Trumper jest na pogrzebie. Jeśli nie ma wieczornego pociągu, najlepsze, co można zrobić w tej sytuacji, to zatrzymać matkę na noc, a rano odesłać. Nie mogliśmy niestety uprzedzić o tym, co się stało, ponieważ pani matka nas też nie powiadomiła. Jest istotą ludzką z wszystkimi należnymi jej prawami, a nie jakąś paczką; może przychodzić i odchodzić wedle własnego życzenia. Nie jest również zramolałą staruszką. Ostatnio jej stan zdrowia w zdumiewający sposób się poprawił, z czego się serdecznie cieszymy, a i pani, jako jej córka, z całą pewnością musi odczuwać to samo.

Mary Fisher odłożyła słuchawkę, nie usiłując nawet udzielić odpowiedzi. Zdawała sobie sprawę, że na drugim końcu linii ma równego sobie przeciwnika. Ruth czekała nadal. Wkrótce zadzwonił Garcia zapowiadając, iż pani Fisher wróci następnego dnia porannym pociągiem, i prosił, aby ktoś z Restwood wyszedł jej na spotkanie.

- Naturalnie. Chociaż oczywiście opłatą za taksówkę będziemy musieli obciążyć rachunek panny Fisher.

Ruth spodziewała się kolejnego telefonu w sprawie nie rozstrzygniętej jeszcze kwestii opłaty za jazdę taksówką, ale już nikt więcej nie zadzwonił.

Pani Trumper wróciła z pogrzebu pani Sweet o szóstej trzydziści. Staruszka dość nieoczekiwanie zesła z tego świata po tym, jak pani Fisher opuściła pokój na tyłach i przyłączyła się do pacjentów leczących się ambulatoryjnie. Najwidoczniej tym, co podtrzymywało panią Sweet przy życiu, była dieta złożona z gniewu, urazy i rezygnacji. Samo jedzenie nie wystarczało. To pełne wyrzutu spostrzeżenie uczyniła po powrocie pani Trumper, zastając Ruth w swoim biurze.

- Celem życia nie powinno być jego przedłużanie - odparła Ruth - ale doskonalenie sposobu, w jaki się żyje.

- Dobrze ci mówić - zauważyła pani Trumper - ale co mam począć z pustym łóżkiem i zbyt szybką wymianą pensjonariuszy? Wszystko to razem nie przedstawia się zbyt optymistycznie.

Ruth powiadomiła ją, iż na prośbę córki pani Fisher spędzi noc poza domem.

- Dopóki nie prosi o ulgę w opłatach - usłyszała w odpowiedzi - może robić, co jej się żywnie podoba. Przyznam, że będzie mi brakowało tego starego pstrąga - dodała. - Ona nie jest tak nudna jak cała reszta. Tutaj doprawdy można umrzeć z nudów. No cóż, wielu to spotyka. Weźmy choćby panią Sweet! Koniec końców pozostawiła jednak po sobie materac w przyzwoitym stanie.

- Zastanawiam się, czy powinnam pani o tym powiedzieć - wtrąciła Ruth - ale ostatnio łóżko pani Fisher bywało wilgotne.

- Wilgotne! - krzyknęła przerażona. - Jak bardzo wilgotne?

- Bardzo wilgotne.

- Brak samokontroli! - jeszcze raz krzyknęła, natychmiast zmieniając korzystne zdanie o pani Fisher i słaniając się na nogach, niezwłocznie przystąpiła do działania.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą - zwróciła się do ciężko stąpającej za nią po schodach Ruth - mamy do czynienia z poważnym i niepokojącym sygnałem. Moim obowiązkiem jest rzecz zbadać. Nikt nie będzie mówił, że Restwood jest niechlujnym albo zatechłym miejscem - ciągnęła, obmacując i obwąchując materac pani Fisher. - Zionie starym smrodem - stwierdziła. - Zawsze umiem dokładnie określić. Ale od jak dawna to trwało?

- Od około miesiąca - odpowiedziała Ruth. - Nie chciałam o tym mówić. Biedna pani Fisher doprawdy nie mogła sobie poradzić.

- Jesteś zwolniona! - wrzasnęła porywczo wściekła pani Trumper. - Spójrz tylko, w jakim stanie jest ten materac!

Istotnie był mocno przemoczony. Od pewnego czasu Ruth przynosiła pani Fisher w dużych ilościach piwo zamiast sherry.

Pani Trumper zatelefonowała do Mary Fisher i uprzedziła ją, że nie ma co liczyć na ponowne przyjęcie matki do Restwood ani następnego dnia, ani w ogóle. Restwood jest bowiem wytwornym hotelem dla starszych osób, a nie domem opieki dla nie umiejących opanować swoich czynności fizjologicznych starców.

- Rozumiem, że chodzi o wyższą opłatę za codzienną zmianę bielizny lub coś w tym rodzaju... - odparła Mary Fisher. - I domyślam się, że nie mam innego wyjścia, jak zapłacić. Uznaję to jednak za szantaż.

- Wygląda na to, że nie zostałam zrozumiana - rzekła sucho pani Trumper. - Czas wyłożyć karty na stół: matka wróciła na stare śmieci, by z panią zamieszkać. Panno Fisher, ja jej już do siebie nie wezmę.

- A co ja mam z nią zrobić? - podniosła lament Mary Fisher.

- To samo, co ja robiłam przez ostatnie dziesięć lat - padła stanowcza odpowiedź. - Trzeba o nią dbać i cierpliwie ją znosić.

- Ale ja nie jestem pielęgniarką.

- Ona nie wymaga specjalnej opieki, potrzebuje tylko CTM.

- A cóż to takiego? Czyżby jakiś nowy lek? - Po raz pierwszy w głosie Mary Fisher dała się słyszeć nuta nadziei.

- Czują Troskliwa Miłość - chętnie wyjaśniła pani Trumper, nie kryjąc się ze swą radością.

Po chwili ciszy Mary Fisher, na której koszt odbywała się rozmowa, powiedziała: - Ale wyjeżdżamy z Bobbem na święta.

- Nic prostszego jak zabrać matkę ze sobą. Ona bardzo lubi nowe miejsca i nowe twarze.

- Niech pani nie żartuje - rzekła Mary Fisher.

- Wobec tego radzę zostać w domu - usłyszała. - Czy pani wie, od jak dawna ja nie miałam świąt? - I wsparła się wygodnie na jednej ręce, aby wysłuchać czegoś, co nazywała recytatywem krewnych. Drugą ręką zrecznie otwierała butelkę dzinu, by nalać sobie solidnego drinka. Niebawem Mary Fisher zrezygnowała z nakłonienia pani Trumper do zatrzymania matki w Restwood i spytała tylko o nazwę domu opieki, gdzie osoby w takim stanie jak starsza pani Fisher były mile widziane.

- Nie ma takiego domu - triumfalnie obwieściła pani Trumper. - Słyszałam o jednym czy dwóch miejscach, gdzie przyjmują za słoń dodatkową opłatą, lecz tam mają listy oczekujących na pięć i dziesięć lat z góry.

Mary Fisher otwarcie szlochala. Usatysfakcjonowana pani Trumper skończyła rozmowę. Weszła do pokoju, aby powiedzieć Ruth, że cofa decyzję o zwolnieniu, ale zastała ją już przy pakowaniu rzeczy.

Rozdział osiemnasty

Mary Fisher żyje zamknięta w swojej Wysokiej Wieży i rozmyśla nad naturą miłości. Nie przychodzi jej to teraz łatwo. Gwiazdy wędrują po niebie, fale przyływu biją o wybrzeże, rozpylona sól osiada na grubych taflach szyb. Mary Fisher wsłuchuje się tylko w siebie. Nic jej już nie cieszy. Mogłaby nawet osiąść przy ulicy Nocnego Ptaka lub gdziekolwiek indziej, skoro nie dostrzega wcale piękna przyrody.

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży z dwójką dzieci, obrażoną matką, roztargnionym kochankiem i nadąsanym służącym. Czuje, jak wysysają z niej krew, żywcem ją pożerają. Szampan przyprawia ją o niestrawność, nie może go już bowiem niespiesznie sączyć delektując się każdą kroplą, lecz musi przełykać haustami, zanim nie dojdzie do kolejnej krytycznej sytuacji w domu.

Wędzony łosoś jest za słony dla Bobba, któremu ostatnio lekko wzrosło ciśnienie krwi, i chociaż mu się tłumaczy, iż ten doskonały gatunek wędzonej ryby nie należy do pożywienia o dużej zawartości soli, on nie wierzy. Nie lubi też, gdy Mary jada to, czego on nie może. Kanapki z tuńczykiem są więc tutaj na porządku dziennym, podobnie jak wszędzie.

Mary Fisher przygląda się miłości i dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest skomplikowanym uczuciem, już choćby dlatego, że Bobo z seksu uczynił narzędzie niewoli. Faktycznie dość często podobnie dzieje się w jej własnych powieściach: bohater na początku zniewala najlepszą przyjaciółkę głównej bohaterki, a dopiero później prawdziwie uduchowiona miłość poraża obie postacie romansu. Najlepsza przyjaciółka się wykoleja lub niczym Anna Karenina rzuca pod pociąg, albo taktownie usuwa się z drogi, zażywając arszenik jak Madame Bovary. Oto jaki los spotyka najlepszych przyjaciół. Mary Fisher nie odgrywa jednak roli najlepszej przyjaciółki; ona sama jest bohaterką własnego życia - czy raczej chce nią być. Im lepiej zna ciało Bobba, tym bardziej go pragnie. Zależy jej, żeby miał o niej dobre zdanie: zrobi wszystko, by na to zasłużyć. Zgadza się doglądać jego dzieci i troszczy się o własną matkę. Jego zadowolenie oznacza udaną noc w łóżku. Seksualne zniewolenie bywa w życiu równie tragicznym zbiegiem okoliczności jak w literaturze.

Rozdział dziewiętnasty

Bobo nie mógł poślubić Mary Fisher, prawo nie zezwalało bowiem na rozwód z żoną, która nie stawiała się w sądzie, gdyż mogła już nie żyć. Zarazem jednak nie istniała w świetle prawa możliwość uznania jej za zmarłą, a jego za wdowca. Ruth zniknęła - dowodził - zraniona jego odejściem i w szoku po pożarze domu. Czasem nie miał już chęci dłużej wysłuchiwać cierpkich uwag swej kochanki na temat Ruth. Niekiedy nawet obwinał los o to, że przywiódł go do Mary Fisher, prawdziwej miłości. Miłości się jednak nie wypierał ani niczego nie żałował. Choć raz na jakiś czas potrafił sobie wyobrazić, że byłoby wygodniej, gdyby sprawy nie zaszły tak daleko.

Wysoka Wieża też już nie była tym samym miejscem co dawniej. Dzieci znaczyły śnieżnobiałe powierzchnie ścian śladami brudnych dłoni, grały w piłkę nożną pośród lśniących, kruchych szkieł, fikały kozły przez oparcia kanap, powoli doprowadzając je do ruiny. Skakały po wyściełanych meblach jak na trampolinie, niszcząc obicia. Całe rodzinne dziedzictwo fruwało w powietrzu. Andy siedząc okrakiem na grzbiecie dobermana próbował grać w polo; stracił ze ściany zegar po stryjecznym pradziadku, rozbijając go w drobny mak. Mary Fisher aż się rozplakała.

- To wszystko, co pozostało mi z przeszłości, jedyna rodzinna pamiątka.

- Ależ to tylko przedmioty - bagatelizował Bobo.

- Akurat mi przeszłość! - jazgotała, rozsiewając przykrą woń, starsza pani Fisher. Znów zażywała valium i mogadon, które przepisał jej lekarz, i istotnie już nad sobą nie panowała. - Pamiętam dzień, w którym twój pierwszy mąż przywłókł to ze sklepu ze starzyzną, no i co ty na to? Twój mąż, który prawnie był moim mężem.

Służba chichotała na widok zapłakanej Mary Fisher siedzącej pośród szczątków rozbitego zegara, którego pogruchotane finezyjne kółka i sprężynki drżały i słabiutko podzwaniały w środku, dając mimo zagłady pewne oznaki życia niczym pozbawiony głowy kurzy kadłub.

Bobo nadal nie zamierzał przywoływać dzieci do porządku, nie chciał ich ani ograniczać, ani karać. Uważał, że wystarczająco wiele wycierpiały. Nie czuł się za ich cierpienia odpowiedzialny, a nawet odnosiło się wrażenie, że najchętniej winą obciążyłby Mary Fisher. Teraz, gdy dzieci nie miały matki, stał się bardzo troskliwym ojcem.

- Ten dom jest również ich domem - podkreślał - i one powinny to czuć. Jesteś ich macochą, jeśli nie w świetle prawa, to w oczach Boga.

Mocno zmieszana Mary poczuła, jak wargi Bobba drażnią jej ucho, gdy szeptał: - Wiesz przecież, że wcale tak nie myślę. W ogóle tak nie uważam!

Nicola zepsuła sprzęt hi-fi firmy Bang i Olufsen, bezmyślnie oparłszy się na nim całym ciałem. Mary Fisher potrafiła już powstrzymać łkanie, lecz nie umiała sobie poradzić z wydobywającym się z niej jękiem rozpacz.

- Kup inny - powiedział Bobo. - Ostatecznie stać cię na to.

Ale czy rzeczywiście mogła sobie pozwolić na dodatkowe wydatki? Utrzymywanie Wysokiej Wieży jako budowli mającej racjonalne uzasadnienie i praktyczne zastosowanie było niesłychanie kosztowną sprawą, zwłaszcza teraz, gdy jej pierwotne przeznaczenie - ostrzeganie żeglarzy, by się trzymali z dala od skał - należało do przeszłości. Agenci, służący, maszynistki, księgowi też musieli z czegoś żyć. Mary Fisher była zobowiązanałożyć nie tylko na swoje utrzymanie, ale i całej gromady innych ludzi, łagodnie unoszonych na fali jej niepewnego i możliwe, iż tylko chwilowego sukcesu.

Mawiała: "Jestem tylko tak dobra jak moja ostatnia powieść". Bobo jednak wiedział, że jej powieści nie były "dobre" w pełnym znaczeniu tego słowa, a tylko nieźle się sprzedawały. Mary Fisher bała się nawet pomyśleć o tej różnicy. To, co dobrze sprzedawało się dzisiaj, jutro w ogóle mogło nie znaleźć nabywcy.

A ona miała wyszukany smak i kosztowne zachcianki. Przynajmniej od czasu do czasu Bobo lubił kupować wino, lecz delikatne podniebienie Mary Fisher dawało się zadowolić stu dolarami wydanymi w jeden wieczór, a jeśli w domu byli goście, suma rosła dziesięciokrotnie.

W owych czasach nie przyjmowano tam wielu gości. Tych, których lubił Bobo, nie zносиła Mary Fisher, i na odwrót. Często więc najlepszym wyjściem okazywało się nie zapraszać nikogo. Poza tym przeszkodą były dzieci. Nicoli urosły duże, ciężkie piersi, z całą pewnością za wcześnie. - Ma to po matce - powiedział Bobo. Wieczne kłótnie, wrzaski Andy'ego i Nicoli wypłaszały gości. Nieliczni, którzy jeszcze tam bywali, wycofywali się z podziękowaniem.

Przez wielkie okna Wysokiej Wieży Bobo wpatrywał się w spienione morze i dumiał o życiu i śmierci, sprawiedliwości i tajemnicy istnienia, i o kimś, kto w końcu musi stanąć mocno na ziemi: osobą tą była Mary Fisher. Zaczęła właśnie pojmować, co niesie kobiecie miłość. Świat materialny przysłania wszystko i fale przyziemnych, praktycznych drobiazgów zatapiają lotne piaski miłości. Łóżko skrzypi nocą.

Stopy Andy'ego dziwnie cuchnęły. Dobermany zawsze czujnie wychwytywały ten zapach i ich niepohamowane naszczekiwanie niosły się po Wysokiej Wieży. Obecnie pełnoprawnym członkiem gospodarstwa stał się również spaniel Harness, odnaleziony przez Bobba u sąsiadów, którzy przygarnęli go po pożarze. Przerażony biedak cierpiał z powodu robactwa, jakie załęgło mu się na skórze i niebawem zaatakowało dobermany. Trach, trach, trach! - drapały się psiska. Na szczęście dobermany mają krótką sierść, za to długie włosy spaniela można było znaleźć wszędzie. Dobermany to silne psy; ich drapanie dzień i noc wstrząsało podłogami w całym domu. Nawet kamienne ściany, mające stawić opór najsilniejszym atakom morza, zdawały się w ciemne godziny nocy drzeć w posadach: trach, trach, łup, łups!

Kotka Marcy została także przyjęta do rodziny. Poirytowana i zaniepokojona zmianą, obdarzyła przyjaźnią starszą panią Fisher, co według Bobba było dość naturalne. Kotka mogła teraz skakać po kolanach Mary i ssać w ukryciu jedwabne fałdy jej sukni, jak gdyby to był smoczek. Pewien rodzaj wybielacza zawarty w jej ślinie odbarwiał materiał; pozostawały na nim wyssane wzorki, których nawet w pralni chemicznej nie dało się usunąć. W ten sposób Marcy zniszczyła jedną z najbardziej ulubionych sukienek Mary Fisher.

- Kotka jest przygnębiona - skwitował całą sprawę Bobo. - To jej za jakiś czas przejdzie.
- Co to znaczy: za jakiś czas? Jak długo to potrwa?
- Lata - odpowiedział.

Dwa razy w tygodniu jeździł do swojego biura w mieście, bo nie chciał na dłużej tracić kochanki z oczu. Nie ufał Garcii. Przez pozostałą część tygodnia urzędował w domu, dość niefrasobliwie zrzucając całą odpowiedzialność za sprawy biurowe na barki swoich pracowników. Dzięki związkowi z Mary Fisher do grona jego klienteli zaliczało się teraz wielu jeśli nawet nie wybitnych, to bogatych pisarzy.

Bobo czuł się bez reszty szczęśliwy. Osiągnął to, czego pragnął. Miał rodzinę, jaką zawsze chciał mieć, dom, który mu się podobał, odpowiedni poziom i styl życia. Miał też bogatą, piękną i sławną kobietę, która istniała po to, by go kochać i szanować. Gdyby jednak zawiodła jego oczekiwania, zawsze mógł na pewien czas cofnąć swoją seksualną przychylność i w pochlebny sposób wyrażać się o innych młodych, pięknych niewiastach, rzucając ją, zmieszaną i zaniepokojoną, na kolana. Nie były to jej najlepsze dni. Dobrze o tym wiedział. Nawet gdy łamały jej się paznokcie, nie miała czasu o nie zadbać: opiólować, polakierować, wzmocnić. Palec będący powodem zmartwienia wkładała do ust i jednym szarpnięciem zębów obrywała całą górę, byle szybciej.

Mary Fisher nie mogła już nawet wyplakać się podczas miłosnego aktu, ponieważ starsza pani podsłuchiwała, a poza tym w pobliżu były dzieci. Nicolę również ciekawiło, co robi ojciec, a Andy śledził macochę i ilekroć mógł, łowił uchem szelesty jej jedwabnej bielizny, przez którą przedzierał się Bobo. Dziewczynka próbowała ubierać się w podobnym jak pisarka stylu, chcąc wyglądać równie atrakcyjnie. Mary w końcu podsunęła Bobbowi myśl, aby wstawić drzwi i ściany tam, gdzie ich dotąd nie było. Może to by im zapewniło choćby iluzoryczne poczucie intymności. Ale on nie chciał nawet o tym słyszeć.

- To wspaniałe miejsce - dowodził. - Wstydem byłoby przerobić je na jakąś pospolitą tandetę. Mary, musisz uważać, żeby nie stać się domową kurą z przedmieścia!

W skrytości jednak pewna część jego ducha właśnie za czymś takim tęskniła i rada by ją ku temu nakłonić. Niechby rzuciła pracę, zrezygnowała z zarabiania pieniędzy, zmywała naczynia, niechby stała się kimś, kim jego matka nigdy nie była. Własnością Bobba.

Mary Fisher ukończyła właśnie powieść "Odległy most pożądania" i złożyła ją u wydawcy. Maszynopis został zwrócony z zaleceniem wprowadzenia obszernych zmian. Był to wyraźny sygnał ostrzegawczy. Czuła się zażenowana i przygnębiona. Czyżby straciła intuicję? Rozczarowała miliony, miliony kobiet? Gdyby wyrwane ze swoich wywołanych valium snów sięgnęły po jej powieść i zawiedzione zapadły ponownie w drzemkę - byłoby to prawdziwą tragedią. Strata obopólna: nie tylko jej, ale ich także. Gdyby w Taszkencie, Moose Jaw, Darwinie czy St. Louis czytelniczki mówiły, że potrzebowały jej, a ona je zdradziła - nieszczęście trzeba by pomnożyć miliony razy.

Jak to się stało? Nie potrafiła zrozumieć. Swojej ostatniej powieści poświęciła znacznie więcej pracy i uwagi niż wielu innym. Sądziła, że wyjdzie jej to na dobre. Wszystko co napisała, pokazywała Bobbowi. Postępowała jak każda kochająca kobieta wobec swojego mężczyzny. Nawet jej trochę pomagał. Chciał, aby jej bohaterowie byli odrobinę stateczniejsi i nie tak bardzo wysmukli.

- Jak ty, Bobo - śmiała się, lecz zachnął się z dezaprobatą i poprosił, aby zachowała powagę i była wrażliwsza na sztukę, a mniej rozmiłowana w krwawych intrygach. Poprawiał też błędy gramatyczne, ulepszał konstrukcję, precyzował wątki. Ganił za ustawianie jak pod sznurek jednego przymiotnika za drugim, jak gdyby słowa, niczym zwarte bloki, miały służyć wzniesieniu możliwie najwyższej wieży. Bobo miał wykształcenie uniwersyteckie, a Mary nie. Wiedział o tym. Coś tam kręciła, zwodziła go, ale on swoje i tak wiedział.

- Mój sposób pisania się sprawdza - protestowała. - Czy miliony czytelników się mylą? Czy mogą być w błędzie?

- Mary, kochanie, oczywiście, że mogą. Nie jest istotne, dla ilu czytelników tworzysz, ale jacy ludzie cię czytają. Jesteś więcej warta niż to, co wypisujesz. Przygnębia mnie, gdy widzę, jak trwonisz swój talent na te szmiry. Możesz być poważną pisarką.

- Ależ jestem!

Szmira! Cierpiała. Objął ją swoimi muskularnymi ramionami i na pocieszenie całował jej delikatne stopy i ręce. Zrobił to! Zrobił! Niekiedy wszystko przebiegało jak w jej powieściach. Czemu więc nie wierzył jej intuicji, wątpił w to, co pisała? A raczej o czym dawniej pisywała, gdy miłość rządziła jej myślami, nie ciałem?

Miłość jest realna, życie może trwać wiecznie, a zakończenia bywają szczęśliwe. Czyż oni sami nie stanowią najlepszego żywego przykładu, że prawdziwy romans jest możliwy? Bobo i Mary szczęśliwi na zawsze w Wysokiej Wieży... Lecz gdy Mary Fisher to wypowiadała, głos jej leciutko drżał.

Mary Fisher w sekrecie poprawiła powieść, pisząc ją według dawnych sentymentalnych reguł, i przynajmniej na jakiś czas odzyskała utracone zaufanie wydawcy oraz pewność siebie.

- Kochanie - odezwał się Bobo, który nie spał z nią od trzech dni (trzech pełnych dni!), jakie upłynęły od ukazania się powieści. - Nie chodzi o moje rozczarowanie tobą, lecz o to, że zamiast przerabiać książkę, powinnaś zmienić wydawcę! Skoro możesz mieć wyższe aspiracje i nie pisać tylko pod dyktando masowego rynku, dlaczego tego nie zrobisz?

- Ponieważ to się zupełnie nie opłaca - odpowiedziała szorstko, uporczywie się wpatrując w rachunek za energię elektryczną. Dopóki nie spotkała Jonasza, bogatego starego socjalisty, żyła w biedzie. Ojciec opuścił dom, gdy była małą dziewczynką. Z wczesnego dzieciństwa zapamiętała, że matka, aby opłacić czynsz, musiała zabawiać jednego lub dwóch dżentelmenów. Jednym z nich był Jonasz. Biednemu Jonaszowi nie było dane długo żyć po poślubieniu Mary. Jego córka jednak zakwestionowała testament i od tamtego czasu Mary Fisher musiała sobie radzić sama.

- Mamy siebie nawzajem - powiedział Bobo. - Czy to nie wystarczy? Moja praktyka wspaniale się rozwija. Gdybym mógł liczyć na twoje pełne poparcie, wszystko by szło jeszcze lepiej. Wówczas w ogóle nie musiałabyś pisać. - Bobo rozchyła językiem jej wargi, własnym ciałem rozsuwa uda i zapewnia, że cały należy do niej, a ona do niego. I być może jest to prawda.

Mary Fisher zastanawia się nad istotą pożądania, nad sobą i naturą poświęcenia. Nie jest już tą samą kobietą co dawniej. Dobrze o tym wie. Mały twardy orzech, tkwiący gdzieś głęboko w niej, rozłupał się i skruszył. Czuje to. Żądza niszczy i wypala; miłość nigdy do tego nie prowadzi. Pożądanie jest żywiołem; miłość to jedwabista, aksamitna zasłona, za którą można się schronić. Pożądanie jest czymś realnym, miłość należy do sfery marzeń, a z marzeń jesteśmy stworzeni. Miliony, miliony kobiet nie mogą się mylić. Czyż byłyby w błędzie?

Niebieskie oczy Bobba wpatrywały się w nią z uwagą. Gdy przymykała powieki, delikatnie rozsuwał je palcami. Chciał, aby spojrzała prawdzie prosto w oczy.

Częścią prawdy o życiu, jak sama ostatnio zaobserwowała, jest przykra natura jego końca. Ciało i umysł starszej pani nie harmonizowały już ze sobą. Umysł nadal pozostawał jasny, niezależny i trzeźwy, lecz wiecznie utyskujące ciało nie mogło samodzielnie funkcjonować. Ciszę i ukojenie przynosiły jedynie środki uspokajające. Kiedy zaś je stosowano, ślina się i moczyła w łóżku lub, co gorsza, załatwiała swoje potrzeby w szpary między cegłami Wysokiej Wieży. Służba narzekała.

- Co ja mam z tym zrobić? - pytała lekarza Mary Fisher.

- Spójrzmy na to w ten sposób - brzmiała odpowiedź. - Nie ma idealnych rozwiązań. Jest twoją matką; musisz ją kochać i o nią dbać, podobnie jak ona otaczała cię miłością, gdy byłaś małym, bezbronny dzieckiem. To wszystko, co możesz zrobić.

Niełatwo jest kochać matkę, która własnemu dziecku nigdy nie okazała miłości. Pomimo to Mary Fisher próbowała sprostać ciężącym na jej barkach obowiązkom.

W ciągu trzech miesięcy rozpoczęła i ukończyła nową powieść, której dała tytuł "As Aniołów". Wydawcy nie byli przekonani co do jego trafności, bo wydał im się zbyt zawily, pozbawiony owej prostoty właściwej dla jej wcześniejszych książek. Ponadto pojawił się w jej widzeniu rzeczywistości pewien nieprzyjemny, zgrzebny ton. To nie mogło się podobać czytelnikom. Romans na jednej stronie, bajka na następnej, społeczny realizm na kolejnej! Wydawcy popatrywali na siebie z zakłopotaniem. No tak, postarzała się. Jak bardzo? Nikt tego nie wiedział.

Wiek Mary Fisher dla Bobba nie miał większego znaczenia. Przypuszczał, że ma około czterdziestki. W każdym razie czas nie zniszczył jej urody: szyję miała jędrną, a ręce białe i delikatne. Przy niej szybko pozbył się wspomnień o olbrzymce i całym poniżeniu związanym z tamtym małżeństwem, zawartym dla kaprysu i wygody. Kochał Mary Fisher i lubił to okazywać. Był niczym ozdobny maszt oplatany girlandami jej szczęścia: mocny, trwały, wieczny.

- Słyszałam was! Co za ohyda! Zwierzęta! - krzyczała pani Fisher, niespodziewanie wyskakując z jakiegoś kąta. - Moja córka ma pięćdziesiąt lat, wyraźnie to widać w świetle dziennym. Mam zresztą dowód, chcesz zobaczyć jej metrykę urodzenia?

- Nudzi mnie to szpanerskie miejsce - jęczała Nicola, której przybyło kolejne pięć kilogramów.

- Mam mdłości - czknał Andy i w chwilę później było już po wszystkim.

Nie miał kto po nim sprzątać, Garcia bowiem wybrał się z Harnessem do weterynarza. Jeden z dobermanów (i to nie suka) dotkliwie pogryzł Harnessowi łapy, gdy ten usiłował się nań wspiąć.

Dokładnie ten sam dzień wybrała kotka, by obsikać łóżko pani Fisher, a przynajmniej ona tak twierdziła. Obie pokojówki złożyły wymówienie. Zabrakło Garcii i obietnicy kryjącej się w jego przejrzystych brązowych oczach, aby odwieść je od tego zamiaru i skłonić do posłuszeństwa. Fotograf z "Vogue" zastał autorkę romansów przy zmywaniu naczyń, ponieważ gdy wcześniej dzwonił, aby umówić się na spotkanie, nie miała dość sił, by go odprawić.

Bobo zaczynał dochodzić do wniosku, że ciągłe kursowanie pomiędzy miastem a Wysoką Wieżą zaczyna być uciążliwe. Dość często zostawał teraz na noc w biurze lub u przyjaciół. Przyjaciół?

- Ach, Mary! - udawał dotkniętego. - Jak możesz być zazdrosna? Przecież wiesz, że cię kocham. Jesteś dla mnie wszystkim: początkiem i końcem mojego życia!

Z wyjątkiem środowych nocy - pomyślała. - Gdzie wtedy się podziewasz?

Pewnej nocy, w jakąś kolejną środę, kiedy samotna i opuszczona przez najbliższych popłakiwała w łóżku, usłyszał to Garcia, stanął przy niej i z lodowatym zasepieniem zaczął wspominać dawne czasy. Prosiła, by odszedł i dał jej spokój, ale nie posłuchał. Cóż więc mogła zrobić? Wiedział i za dużo, i za mało. Gdyby jednak i on złożył wymówienie, Mary Fisher byłaby zgubiona. Teraźniejszość i przyszłość niczym młyńskie kamienie zmiażdżyłyby ją, gdyby nie chroniła jej niczym pancierz przeszłość. Teraz już nie krzyczała i nie wzywała nikogo, kiedy wślizgiwała się do jej łóżka. Któż bowiem by przybył na ratunek? Dobermany? A przecież Mary Fisher chciała posiadać wszystko i z niczego nie miała zamiaru rezygnować. Zawsze taka była.

"As Aniołów" został właśnie opublikowany.

Garcia poprosił o podwyżkę. Nie miała wyboru i mimo zastrzeżeń Bobba musiała mu ją dać.

- Mary, czy nie powinniśmy być nieco ostrożniejsi?

- Ach, te pieniądze! - prychnęła nonszalancko, aczkolwiek czuła dokładnie co innego. Ostatnie honorarium, jakie jej przysłano, było niższe niż zazwyczaj. Kto wie, może wychodziła z mody? Właśnie uzmysłowiła sobie, że od sześciu lat nikt nie zrobił filmowej adaptacji żadnej jej powieści.

- Jak ona wygląda? - pewnego dnia Ruth zapytała Garcię. Od czasu do czasu telefonowała do niego, aby się dowiedzieć, jak mają się sprawy w Wysokiej Wieży. Garcia, który nie czuł się już zobowiązany do lojalności wobec Mary Fisher, skwapliwie i bez wyrzutów sumienia mógł poinformować:

- Zaczyna wyglądać staro.

Rozdział dwudziesty

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży i prawie bliska jest wyznania, iż przedkłada śmierć nad życie. Pod jej balkonem wielkie masy wód rozbijają się o odwieczne skały. A ona jak ma się uchronić?

Mary Fisher powinna wyrzec się miłości, lecz nie jest w stanie. A skoro tego nie potrafi, musi postępować jak wszyscy. Musi pogodzić się z wyznaczonym jej miejscem pomiędzy przeszłością a przyszłością, niepewnie stawiając kroki między młodym a starym pokoleniem; nie uniknie przeznaczenia.

A już jej się to prawie udało. Prawie przeistoczyła się w postać, którą wymyśliła. Powstrzymam ją ja, diablica, powołana do życia przez jej kochanka, a mojego męża.

Niech nie sądzi, że na tym poprzestaną. Ja dopiero zaczynam.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zawsze można zarobić na życie wykonując pracę, jakiej inni nie chcą się podjąć. Najłatwiej znaleźć zatrudnienie jako opiekunka do dziecka, w zakładach dla obłąkanych, więzieniach, przy sprzątaniu publicznych łaźni, ubieraniu nieboszczyków czy sianiu łóżek w tanich hotelach.

Bywają to na ogół psie pieniądze, wystarczają jednak do przeżycia i zregenerowania sił na tyle, by następnego dnia pójść znowu do pracy. Bo, jak z upodobaniem i do znudzenia powtarzają rządzący - zawsze się znajdzie zajęcie dla tych, którzy chcą pracować.

Ruth po opuszczeniu posady u pani Trumper niezwłocznie udała się do pewnej kafejki w uniwersyteckiej części miasta. Ponad godzinę spędziła nad filiżanką kawy, przypatrując się kręcącym się tam młodym ludziom. Wreszcie podeszła do bladego, lecz przystojnego młodego mężczyzny, siedzącego samotnie w kącie z książką w ręku. Wzbudzał powszechne zainteresowanie i przez innych był traktowany z wyraźnym szacunkiem. Młodzi podchodzili do niego na krótkie pogawędki, a od czasu do czasu jakieś pieniądze, świstki papieru, niewielkie paczuszki wędrowały z rąk do rąk.

- Zastanawiam się, czy nie mógłbyś mi pomóc - zwróciła się do niego Ruth.

- To mój zawód - odparł. - Z reguły jednak pomagam młodym.

- Moje życie się właśnie zaczyna od nowa - oznajmiła - i zorientowałam się, że chociaż wiele można osiągnąć bez dyplomu, to jednak nie wszystko.

- Zawsze się znajdzie jakieś wyjście - zapewnił. - Coraz wyraźniej świat jawi mi się jako kłębowisko pełzającego w kubły robactwa w poszukiwaniu jakiejś szczeliny, by się stamtąd wydostać.

- Robak jest cienki i mały - zauważyła - a ja niestety nie.

Z tym się zgadzał: rzeczywiście komuś takiemu jak Ruth zaświadczenia mogły być bardzo potrzebne. Ale oczywiście zdobyć je było znacznie trudniej; rzecz wymagała specjalnych umiejętności i więcej pracochłonnych zabiegów niż seks czy narkotyki. Obiecał jednak, że zobaczy, co się da zrobić.

W ten sposób Ruth uzyskała dwa dyplomy, po pięćdziesiąt dolarów każdy, świadczące o poziomie jej wykształcenia ogólnego w zakresie języka angielskiego i matematyki. Kazała je sobie wypisać na nazwisko Vesta Rose, które podobało jej się od najmłodszych lat.

Potem wsiadła do autobusu i pojechała do biura zatrudnienia, tam, gdzie najczęściej na próżno udają się bezrobotni. Powiedziała, że chce pracować w służbie więziennej. Podała imię, nazwisko i naprędce wymyślony fałszywy adres. Wspomniała o sporym, nabytym za granicą doświadczeniu w zawodzie. Pokazała świadectwa.

- Jakie ładne imię - zauważyła siedząca za biurkiem dziewczyna. Jej uwaga była przedwczesna, kiedy bowiem uniosła głowę i spojrzała na interesantkę, skrzywiła się tylko. Gładko ściągnięte do tyłu włosy Ruth uwydatniały wystającą szczękę, która sprawiała przez to wrażenie dłuższej niż zwykle. Głęboko zapadnięte oczy dopełniały brzydoty. Znowu przytyła. To, co straciła na wadze w Travelodge, odzyskała z okładem w Restwood. Pensjonariuszki i personel karmiono tam wyłącznie białym miękkim pieczywem i mącznymi produktami: cała dieta była bogata w węglowodany i niskobiałkowa.

- W więzieniu nie ma teraz pracy - oznajmiła urzędniczka.

- Ale rozumiem, że jest w szpitalu Lucas Hill?

- Lucas Hill - podchwyciła dziewczyna - to zupełnie inna historia. Tam zawsze są wolne miejsca. Czy naprawdę jest pani na to zdecydowana?

- Mam przyjaciółkę pracującą w tym szpitalu.

- Wobec tego zdaje pani sobie sprawę, co to za miejsce. Czujemy się odpowiedzialni nie tylko względem pracodawcy, ale i pracownika. Dawniej to się nazywało WOP: Więzienie dla Obłąkanych Przeszpeców. Nazwę zmieniono, ale lokatorzy pozostali ci sami. Cha, cha!

- Takim ludziom należy współczuć, nie izolować ich, a już z całą pewnością nie wolno się z nich śmiać - zauważyła Ruth. Speszona dziewczyna niezwłocznie zatelefonowała do szpitala i umówiła ją na spotkanie z dyrektorem.

Szpital Lucas Hill mieścił się w nowo wzniesionym, przyjemnie wyglądającym budynku. Bładozielone ściany zdobiły zabawne, niby ręką dziecka namalowane freski, których autorami byli jednak dojrzały, uznani artyści. Po korytarzach pojękując, skamląc i warcząc snuli się pacjenci, a pomiędzy nimi uwijały się pielęgniarki z wózkami na leki, dozując medykamenty i aplikując zastrzyki. Drzwi zamykały się ciężko z elektronicznym brzęczykiem, okna były na głucho zatrzasknięte, klucze i barierki wydawały się więc najzupełniej zbyteczne. Niektóre siostry wyglądały dość sympatycznie, inne były raczej nieuprzejme, zadowolone ze swej przewagi nad bezbronnymi; zdarzały się wśród nich osoby inteligentne, ale o większości nie można było tego powiedzieć. Tutejszy personel składał się z dziwacznych typów ludzkich, które gdzie indziej nie znalazłyby zatrudnienia: albo za grubych, albo za chudych, za głupich lub za złośliwych. Mniejsza zresztą o powód - po prostu nikt z nich nie prezentowałby się dobrze w żadnym biurze od frontu. Nigdzie.

Dyrektor administracyjny nie interesował się bliżej, jakim doświadczeniem wyniesionym z poprzednich miejsc pracy może się wykazać Vesta Rose. Wyglądała na osobę silną, pojętą i czystą; prawdopodobnie była mniej groźna i męcząca niż pensjonariusze, wśród których było wielu pospolitych przestępców, podpalaczy i odrażających indywiduów obrażających nieprzyzwoitymi występami publiczną moralność.

Tutaj, podobnie jak wszędzie, najbardziej obawiano się podpalaczy, a gwałcicieli wręcz żywiłowo nienawidzono. Niektórzy więźniowie trafili tu przez pomyłkę. Podczas procesu tak nierozsądnie i uporczywie obstawali przy tym, iż nie są w pełni władz umysłowych, że zazwyczaj skazywano ich na pobyt w więziennym szpitalu: bezterminowy lub przynajmniej

do czasu, aż udowodnią, że są zdrowi psychicznie. Niestety, w Lucas Hill nie było to takie łatwe.

Ruth miała pewne kłopoty z odnalezieniem siostry Hopkins. Personel szpitala liczył dobre dwie setki osób, a pacjentów było ponad dwa tysiące. Wreszcie trafiła na nią w zespole pogotowia. Jeśli zachodziła potrzeba, przywoływany specjalnym brzęczykiem zespół stawiał się w ciągu kilku sekund, aby otoczyć opieką krnąbrnego pacjenta. Siostra Hopkins świetnie sobie radziła z obehwładnianiem kłopotliwych, wierzgających osobników. Powalała delikwenta na podłogę i przygniatała własnym ciałem do czasu zaaplikowania zastrzyku uspokajającego.

- Kocham tę pracę - mówiła do Ruth przy kawie w kantine. - To znakomita okazja do spotkania interesujących ludzi, a ponadto bardzo lubię być pożyteczna.

- Takie już są kobiety - zauważyła Ruth.

- Ktoś musi przecież wykonywać tę trudną i niebezpieczną pracę - ciągnęła siostra Hopkins, pokazując blizny po ciosach zadanych nożami (czasami pacjentom udawało się je jakoś przemycić i ukryć) i ślady po ostrych zębach. - Ale to i tak lepsze od bezczynnego stania z boku i przyglądania się, jak ludzie umierają. Dawniej pracowałam w domu starców. Czy miałaś kiedyś z czymś takim do czynienia, Vesto?

- Nie, nigdy - odpowiedziała z czystym sumieniem Vesta Rose.

- To dobrze, nigdy się w to nie wdawaj - żarliwie ją przekonywała.

Obie kobiety przypadły sobie do gustu i zgodziły się dzielić sypialnię w części przeznaczony dla pielęgniarek.

- Przy tobie czuję się bezpieczna - mówiła siostra Hopkins. - Znaczna część tutejszego personelu jest jeszcze bardziej zwariowana niż pacjenci.

Siostra Hopkins mierzyła zaledwie sto dwadzieścia pięć centymetrów wzrostu przy wadze przekraczającej dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Miała też pewne problemy z tarczycą. W wieku dwunastu lat usłyszała, jak rodzice skarżą się lekarzowi, że jest dzieckiem powolnym i ospałym. Zalecił im wówczas podawanie jej wyciągu z suszonej tarczycy. Była to w owym czasie bardzo modna kuracja, ale jej stan tylko się po niej pogorszył. Zawsze dokuczało jej zimno, stale więc była okutana w ciepłe wełniane rzeczy, najczęściej kupowane w sklepach z produktami pochodzącymi z owczych farm.

- Dziwolągi - oto czym jesteśmy - wyrywało jej się niekiedy.

Siostra Hopkins miała w banku kilkaset tysięcy dolarów pozostawionych przez rodziców, których dręczyły wyrzuty sumienia. Rzeczywiście poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji dawała jej jednak praca w szpitalu Lucas Hill pośród ludzi o wiele bardziej od niej osobliwych. Ruth zaproponowała przestawienie łóżek w taki sposób, aby się stykały końcami, i usunięcie podnóżków. Dzięki temu mogłaby mieć w nocy stale przykryte stopy, a siostra Hopkins nie byłaby narażona na przeciąg. Jedna z nich była bowiem zbyt długa, druga za krótka!

- Gdyby nas tak razem wymieszać - zastanawiała się siostra Hopkins - powstałyby dwie osoby o wreszcie właściwych proporcjach, aczkolwiek wciąż z pewną nadwagą.

Ruth zgłosiła się do pracy na oddziale dentystycznym. Panował tam stale duży ruch. W szpitalu szerzyła się epidemia gryzienia. Doszło do tego, że wielu niepoprawnym pacjentom wrywano wszystkie zęby. Pozostałym też je zresztą usuwano: przeważnie były zbyt spróchniałe, aby zwracać sobie głowę leczeniem. Dentystą był mężczyzna w podeszłym wieku, przybyły z Nowej Zelandii, gdzie - jak opowiadał - było sprawą ojcowskiego honoru, aby w dzień osiemnastych urodzin córki zapłacić jej za wszystkie usunięte do tego czasu zęby.

Dumny z własnej techniki rwania, czuł prawdziwą wdzięczność do Ruth za jej silne, zdecydowane i zwinne ręce. Okazało się, że tylko w domu bywała niezdarna, jak gdyby tam

ręce same odmawiały jej posłuszeństwa, zanim zdążyła coś pomyśleć i za cokolwiek się zabrać.

- Kiedy jesteś obok, nie mamy żadnych wylamanych zębów ani pokaleczonych i krwawiących dziąseł - mawiał. Dużo pił. Dziedzina stomatologii, w której się wyspecjalizował - sztuka rwania zębów - niemal całkowicie wychodziła z mody. Na pracę mógł teraz liczyć jedynie w państwowej służbie zdrowia.

- Wciąż jeszcze można zrobić coś pożytecznego - lubił podkreślać. Ci biedacy, ludzkie odpadki, też mają prawo do zdrowych szczęk, jak my wszyscy.

Podziwiał duże, mocne zęby Ruth.

- Wolałabym urodzić się z drobnymi, białymi perełkami - odpowiadała.

- Wobec tego spraw je sobie - powiedział. - Usuń stare i wstaw nowe, jak spod igły.

- Myślę o tym - odparła. - Ale jeszcze nie teraz. Wszystko po kolei. Na to też przyjdzie czas.

- Kobiety nie powinny marnować czasu, bo mają go o wiele mniej niż mężczyźni - zauważył dentysta.

- Zamierzam cofnąć wskazówki zegara - oznajmiła Ruth.

- Tego nikt nie jest w stanie zrobić.

- Na wszystko można sobie pozwolić - odrzekła - gdy się ma dostatecznie silną wolę i pieniądze.

- Jesteśmy takimi, jakimi nas Bóg stworzył - zaprotestował.

- Nieprawda - nie dawała za wygraną. - Przyszliśmy na świat po to, aby podjąć i rozwinąć oryginalne dzieło Boga. Stwarzać sprawiedliwość, prawdę i piękno wszędzie tam, gdzie Jemu w tak oczywisty i oplakany sposób się nie udało.

W tym momencie rozmowę przerwało przybycie siostry Hopkins na czele brygady pogotowia. Z sali Eleanory Roosevelt przyprowadzono małą Wendy, nieszczęśliwe biedactwo, któremu miano wyrwać wszystkie zęby. Nic, żadna ilość largactilu, triagriny ani wstrząsów elektrycznych nie mogła jej powstrzymać od żucia własnej dolnej wargi. Poza tym, że przejawiała chęć zjedzenia samej siebie, wyglądała na osobę zdrową i urodziwą, dużo ładniejszą od innych.

- Teraz pan widzi, co mam na myśli - odezwała się Ruth.

- To krańcowy przypadek - odparł dentysta. - Niezbadane są wyroki boskie, to wszystko.

Nagle rozległ się skowyt siostry Hopkins, gdy mała Wendy rzuciła się z zębami na swoich wybawicieli. Zaczęła się nerwowa biegania po strzykawki, a potem wszyscy byli zbyt zajęci, aby podsumować rozmowę.

Kiedy na oddziale dentystycznym tempo pracy słabło, Ruth pomagała na oddziale terapii zajęciowej. Tutaj jedna część grupy wyplatała koszyki z rafii, a druga je rozplatała. Przepisy związkowe nie pozwalały na sprzedawanie dóbr wytworzonych przez więźniów. Argument, jakim się często posługiwano, że jest to szpital, a nie więzienie, nie odnosił niestety większego skutku. A poza tym komu na świecie, tam na zewnątrz, tak naprawdę były potrzebne koszyki z rafii? Lepiej już było je rozplatać. Praca jest wszystkim, posiadanie rzeczy nie ma natomiast większego znaczenia.

W sobotnie popołudnia zezwalano na wizyty, a potem wieczorami więzienni funkcjonariusze mogli wydawać wystawne przyjęcia, na których serwowano ciasta, owoce i wina przyniesione przez odwiedzających. Zdaniem strażników przeważająca część pensjonariuszy nie była w stanie docenić tych specjalów, a doświadczenie podpowiadało, że lepiej im niczego nie przekazywać, bo staną się tylko bardziej krnąbrni i skłonni do narzekań. Niektórzy nawet rozpaczali z tego powodu, ale uznawano to za nawrót choroby i dzień ich zwolnienia oddalał się w bliżej nie określonej przyszłość.

Płacz w szpitalu Lucas Hill był oznaką niewdzięczności i szaleństwa i spotykał się z dużą niechęcią. Wszak Lucas Hill uważano za niezwykle miłe miejsce zarządzane przez

odpowiednio przygotowanych i pragnących nieść pomoc ludzi. Przejawem zdrowia psychicznego była więc wdzięczność za możliwość pobytu w tej placówce.

Zdarzały się co prawda ucieczki pacjentów, ale równie szybko się kończyły. Z powrotem przywoziła ich policja, po czym bywali zamykani w izolatce, aby tam nauczyli się wdzięczności. Była to specjalna cela ze ścianami wyłożonymi miękkim materiałem, a jedyne jej wyposażenie stanowiła miska klozetowa bez klapy. W drzwiach znajdowała się kratka, przez którą dawało się przecisnąć kanapki z serem i kartoniki z zupełnie dobrym sokiem pomarańczowym. Matowa lustrzana szyba pozwalała personelowi widzieć, co się dzieje wewnątrz. Więzień naturalnie nie miał takiej możliwości. Zanim drzwi celi otworzyły się ponownie, mijał z reguły tydzień. Wtedy pensjonariusze istotnie czuli już tylko wdzięczność za swój więzienny los i raczej rzadko próbowali jeszcze jednej ucieczki.

Ruth przeznaczyła swój wolny czas na dalszą edukację: zapisała się w mieście na lekcje księgowości i prowadzenia sekretariatu. Kursy te administracja państwowa oferowała dziewczętom i kobietom niemal za darmo. Prace tego rodzaju nie cieszyły się popularnością wśród mężczyzn, którzy woleli dyktować listy, niż je pisać, i raczej wydawać pieniądze, niż je liczyć. Ruth była solidną, ciężko pracującą uczennicą i szybko czyniła postępy w nauce.

- Dlaczego to robisz? - nagabywała ją siostra Hopkins.

- Ponieważ jestem ambitna - odpowiadała.

- Ale nie zamierzasz chyba opuścić Lucas Hill? - niepokoila się siostra Hopkins. Ruth pomyślała sobie, że niepokój tamtej nie jest jednak zbyt wielki.

- Bez ciebie nie odejdę - zapewniła i Hopkins aż zadrżała z radości. Wtedy Ruth poczuła się wreszcie usatysfakcjonowana.

Kiedy uznała, że w dostatecznym stopniu opanowała podstawy rachunkowości i księgowości, wybrała się pewnego czwartkowego wieczoru do miasta. Wsiadła przy Park Avenue. Na dziesiątym piętrze nowego biurowca, w którym marmurowe westybulie ożywia szmer wody w fontannach, znajdowało się biuro Bobba. Naprzeciwko tego budynku, w barze szybkiej obsługi, w jego najciemniejszym kącie zaszyła się, by trochę odpocząć. Pojadając pieczone kartofle ze śmietaną posypane siekanym szczypiorkiem, rozglądała się i czekała, kiedy pojawi się Bobo. Nie widziała męża od dnia, w którym zawiozła dzieci do Wysokiej Wieży.

Bobo wyszedł z gmachu w towarzystwie młodej blondynki. Najwyraźniej nie była to Mary Fisher, chociaż dziewczyna reprezentowała podobny typ urody. Przypuszczalnie była to jakaś sekretarka albo asystentka, sądząc po jej pełnym onieśmieleniu i podziwu zachowaniu względem Bobba. Na pożegnanie delikatnie pocałował ją w rękę, po czym rozeszli się, każde w swoją stronę. Dziewczyna przystanęła na chwilę, oglądając się za nim z tęsknotą i miłością. Bobo już się nie odwrócił. Sprawiał wrażenie pewnego siebie, dobrze sytuowanego mężczyzny, który może wzbudzać zainteresowanie i żywsze uczucia kobiet. Machnął ręką na taksówkę i aby ją złapać, przebiegł z powrotem na drugą stronę ulicy. Przez moment można było odnieść wrażenie, że patrzy prosto na Ruth, ale jej nie poznaje. Nic dziwnego, pomyślała, po tym wszystkim, co zaszło. Żyli teraz w innych światach, a jej był mu nie znany. Ci, którzy znaleźli się po właściwej stronie, starają się możliwie jak najmniej zaprzętać sobie głowę pechowcami z przeciwnej, ciemnej strony życia. To biedacy, poniewierani i wykorzystywani, pragną jak najwięcej dowiedzieć się o panach tego świata. Wpatrują się w ich twarze w gazetach, fascynują się ich historiami miłosnymi, odkrywają ich słabości. Ostatecznie jest to jedyna zapłata, jaką mogą odebrać za swoją codzienną brutalną poniewierkę. Ruth była więc w stanie rozpoznać Bobba - kochanka i finansistę; Bobo w żaden sposób nie mógł skojarzyć Ruth - salowej w szpitalu i opuszczonej matki. I chociaż to, że nie została rozpoznana, w zasadzie odpowiadało jej planom, mimo wszystko poczuła się dotknięta. Jakieś strzępy żalu, ślady skruchy, resztki typowo kobiecych cech: łagodności,

delikatności, wyrozumiałości i umiejętności przebaczenia, zatarły się w tamtym momencie całkowicie.

Bobo złapał taksówkę. Ruth odczekała, aż wszystkie światła na dziesiątym piętrze pogasną, po czym udała się do jego biura. Do środka dostała się dzięki temu, że miała przy sobie jeden z kluczy należących do właściciela. Jeszcze przed podłożeniem ognia w domu przy ulicy Nocnego Ptaka 19 zadbała, aby ten klucz znalazł się u niej w kieszeni. Wówczas jej plany były jeszcze niejasne i sprowadzały się do zamiaru wypróbowania w praktyce tego wszystkiego, na co nigdy jej dotąd nie pozwalano. Obecnie miała wyraźnie wytyczoną linię działania.

Zmieniony ostatnio wystrój biurowego wnętrza utrzymany był w odcieniach płowożółtych i kremowych, ulubionych kolorach Mary Fisher, jak domyśliła się Ruth. Gabinet Bobba przypominał bardziej pokój hotelowy niż biuro. Stała tam długa, szeroka sofa, dostatecznie wygodna do przelotnych miłostek z pracownicami, jak choćby z tą dziewczyną, z którą wychodził z biura. Ale to z całą pewnością nie było w guście Mary Fisher. Sześciuosobowy personel biura zajmował stojące w rzędzie jeden za drugim boksy. Było tam o wiele bardziej tłoczno niż w pokoju pozostającym do wyłącznej dyspozycji Bobba, ale taka jest już kolej rzeczy na tym świecie.

Ruth zaciągnęła story i zapaliła małą lampkę. Korzystając z jej światła i posługując się jednym z piór męża, rozpoczęła pracę nad kartoteką z napisem: "Klienci - rachunki" pod literą "A". Przenosiła z jednego rejestru do drugiego jakieś teoretyczne sumy, wypisała czek na dziesięć tysięcy dolarów, płatny z rachunku firmy na prywatne konto Bobba. Zaadresowała na maszynie kopertę do jego banku, załączyła wyrazy szacunku i dołożyła ją do sterty czekających na wysłanie listów. W biurze Bobba panował zwyczaj nadawania porannej poczty: w ten sposób mniej wysyłek bywało narażonych na zagubienie lub opóźnienie. Ruth zaparzyła sobie filiżankę biurowej kawy. Sprawdziła, czy sofa jest wygodna, po czym uprzątnęła ślady swojej działalności, poprawiła ramkę z fotografią Mary Fisher i przejrzała szuflady pracowników. W jednej odkryła list miłosny, który bezpiecznie spoczywał sobie tutaj, w biurze, poza zasięgiem mężowskich oczu. Dokładnie zamknęła za sobą drzwi i powróciła do Lucas Hill, do pokoju, który dzieliła z siostrą Hopkins.

Co tydzień powtarzała ten proceder, spokojnie i sumiennie pracując nad kolejnymi kartotekami od litery "A" po literę "Z", dopóki większość pieniędzy nie została faktycznie przeniesiona z kont klientów na prywatny rachunek Bobba. Z jego zestawień bankowych usunęła wszelkie adnotacje dotyczące tych transakcji, po prostu za pomocą korektora likwidując zera. Bobo miał zwyczaj nieczytelnego wypełniania dokumentów bankowych, całkiem jakby chciał uchronić je od wścibskich spojrzeń i pomruków nad aktualnym stanem jego konta. Ludzie zawodowo parający się sprawami innych własnym rzadko poświęcają odpowiednią uwagę. Pomimo to Ruth chciała uniknąć przykrych niespodzianek, aczkolwiek wydawało się mało prawdopodobne, aby Bobo miał się zmienić. Tak jak ani na trochę nie odstąpił od miłosnych przyzwyczajień: czegoż więcej trzeba w życiu, niż kochać i być kochanym? Bobo kochał Mary Fisher, ale równocześnie sprawiały mu przyjemność - podobnie jak wielu innym ludziom - przelotne kontakty z nieznanymi.

Kierując się tym samym motywem, czyli potrzebą zapewnienia sobie bezpieczeństwa, Ruth zaproponowała, by znowu przestawić łóżka. Zasugerowała swojej współlokatorce, że o wiele wygodniej jest spać obok siebie niż stykając się nogami. Nadchodziło lato, więc jej odkryte stopy nie będą już tak bardzo marzły, a w dodatku jeszcze ogrzeje ciepłem własnego ciała siostrę Hopkins. Nie było sprzeciwu, toteż przestawiono i zsunięto łóżka. O wiele częściej dochodziło teraz do uścisków, pocałunków i rozmaitych eksperymentów seksualnych między dwiema kobietami.

- Kobiety nam podobne - mówiła siostra Hopkins, ze śpiewem na ustach kręcąc się po szpitalu - muszą nauczyć się trzymać razem. Ludzie sądzą, że skoro człowiek nie jest identycznie jak inni zbudowany, to go seks nie interesuje, a tak przecież nie jest.

Odnosiło się wrażenie, iż aktywność seksualna łagodząco wpływa na siostrę Hopkins; jej cykl menstruacyjny stał się bardziej regularny, oczy nabrały blasku i straciła na wadze. Pozbyła się też wielu warstw spowijających ją wełenek i żwawiej biegła po szpitalu. Kiedy Ruth skończyła pracę nad wszystkimi kartotekami, z przyjemnym poczuciem spełnionego obowiązku skrupulatnie odstawiała z powrotem na półkę teczkę z literą "Z". Doszło wtedy do następującej rozmowy między nimi.

- Moja droga, czy nigdy się tutaj nie nudziłaś? Dzień w dzień dokoła te same jęki i wrzaski, ta sama obłądna szarpanina, stale te same zastrzyki, no i to taszczenie za ręce i nogi tych biedaków do izolatki. Tu się nic nie dzieje! Dla pacjentów może to wystarczająco burzliwe życie, pewnie nawet zbyt burzliwe, ale nie dla nas.

- Domyślam się, co masz na myśli - powiedziała siostra Hopkins.

- Tam, na zewnątrz, istnieje inny świat - mówiła Ruth - świat, w którym wszystko jest możliwe i niezwykle pasjonujące. Możemy stać się innymi ludźmi, wyzwolić własną energię i energię nam podobnych kobiet. Kobiet pozamykanych po domach, czasami w roli posługaczek, czasami uroczych istot schwytych w pułapkę miłości i poczucia obowiązku zastawioną przez życie, o jakim nigdy nie myślały; z konieczności zajmujących się pracami, które dzień po dniu je unicestwiają. Możemy się stąd wydostać, zdobyć tamten porywający świat biznesu, pieniędzy, zysków i strat, pomóc innym.

- Myślałam, że to wszystko jest niesłychanie nudne - powiedziała siostra Hopkins.

- To są właśnie bajki z lubością rozpowszechniane przez mężczyzn, byle tylko kobiety trzymały się z dala od tych spraw - dowodziła Ruth. - A tam jeszcze czeka inny świat, świat władzy: sędziów, księży, lekarzy, wszystkich, którzy mówią nam, co mamy robić i w jaki sposób myśleć. To równie wspaniały świat. Gdy idea idzie z władzą ręką w rękę, nawet nie jestem w stanie ci opisać, jakie to podniecające.

- Nie wątpię - odparła siostra Hopkins - ale jak takie istoty jak my zdołają się tam dostać?

Ruth wyszeptała jej coś do ucha.

- Ale do tego potrzebne są pieniądze - zauważyła.

- No właśnie! - przytaknęła Ruth.

Przyjęcie pożegnalne wydane na cześć obu pielęgniarek należało do bardzo udanych: łyżki swobodnie mieszały się ze śmiechem, a pacjentów skwapliwie pojono winem. Ogólne podekscytowanie ogarnęło szpital, przysparzając mnóstwa dodatkowej pracy brygadzie pogotowia. Następczynie siostry Hopkins, młoda Haitanka, zbyt mocno krępując pacjenta, złamała mu zebro, ale nikt z zespołu nie miał jej tego za złe. Gdyby samo przybycie brygady nie tyle było oczekiwane, co budziło strach, mogłoby się okazać, że pracy jest o wiele mniej.

Ruth z siostrą Hopkins znalazły pusty lokal biurowy na samym końcu Park Avenue, w rejonie, w który mieszkańcy przeciwnego krańca alei zapuszczali się z rzadka. Tu nowe, wysmukłe, pełne gracji wieżowce ustępowały miejsca lichym kamieniczkom, a zwężającej się ulicy nie zdobiły rzędy markiz wytwornych restauracji, lecz przepełnione pojemniki na śmieci, wystawione przed frontami brudnych, zapyziałych sklepików. Oba końce alei obsługiwała ta sama centrala telefoniczna i ten, kto dzwonił, nie orientował się, czy rozmawia z kimś z części ulicy okupowanej przez biedaków, czy z należącej do bogaczy. Właśnie tutaj dzięki pieniądзом siostry Hopkins Ruth otworzyła Agencję Zatrudnienia "Vesta Rose".

Agencja specjalizowała się w wyszukiwaniu posad sekretarek dla kobiet, które z konieczności lub wyboru powracały do pracy. Na ogół miały niezłe przygotowanie zawodowe, lecz po latach "udomowienia" brakowało im pewności siebie i obycia w świecie. Nawiażując kontakt z agencją mogły liczyć na kurs przygotowawczy do pracy w charakterze

sekretarki, a także na dodatkowe przeszkolenie, które Ruth nazywała treningiem asertywności. Zorganizowano również żłobek dla niemowląt i opiekę nad nieco starszymi dziećmi, a mając na uwadze dobro i wygodę kobiet, proponowano im także zakupy z dostawą do domu. W ten sposób w czasie przeznaczonym na drugie śniadanie panie nie musiały biegać po sklepach, tylko tak jak ich koleżki mogły odpocząć, a potem nie obciążone zakupami pojechać autobusem do domu. Za te przywileje płaciły słono, robiły to jednak z przyjemnością.

Na górnym piętrze tego samego budynku, w którym znajdowała się agencja, siostra Hopkins prowadziła żłobek. Niekiedy zdarzało jej się aplikować co hałaśliwszym i krnąbrniejszym malcom środki uspokajające. Była jednak na tyle wykwalifikowaną siłą pielęgniarską, że wiedziała, jakich skutków ubocznych należy się spodziewać. Mieszkała razem z Ruth w apartamencie oddalonym o jedną przecznicę od agencji.

- Dokądkolwiek byś poszła - mówiła siostra Hopkins - pójdę za tobą. Nigdy w życiu nie byłam tak bardzo szczęśliwa.

W niecały miesiąc od otwarcia Agencja "Vesta Rose" pracowała na pełnych obrotach i zaczęła już nawet przynosić pewne zyski. Do rejestru wciągnięto setki kobiet: autobusem albo pociągiem przyjeżdżały ze swoich przedmieść - wdzięczne, cierpliwe, odpowiedzialne, nawykłe do ciężkiej pracy. Już po krótkim przeszkoleniu przez Ruth większość z nich uznawała pracę biurową za mało w swej istocie skomplikowaną. Bo czy mogła się wydać inna komuś, kto na co dzień zmagał się z zawłościami życia rodzinnego, rywalizacją rodzeństwa, subtelnościami małżeńskich kłótni i przeprosin? Klientki "Vesty Rose", jak utarło się w skrócie nazywać agencję, rychło stały się cenionymi i poszukiwanymi przez wiele firm w mieście pracownicami. "Vesta" cieszyła się już bowiem pewną sławą i była budującym przykładem sukcesu, wzorem do naśladowania dla bezradnych, niezdecydowanych i wiecznie narzekających. Oto czego może dokonać kobieta, jeśli naprawdę się postara, a nie miała dość szczęścia, aby dobrze wyjść za mąż. Sama założycielka agencji pozostawała w cieniu. Była nieuchwytna i jeśli nawet udzieliła przez telefon kilku wywiadów prasie, to nigdy nie pojawiała się publicznie ani nie pozwoliła się fotografować. Całością spraw zajmowała się siostra Hopkins, co zresztą szło jej bardzo dobrze.

- No widzisz! - mówiła Ruth. - Jak mało trzeba, żeby zejść ludziom z oczu i ukryć się przed światem.

- Ale żebym mogła cokolwiek zrobić, ty jesteś mi potrzebna - odparła siostra Hopkins. - Człowiek niewiele znaczy, gdy jest zdany wyłącznie na siebie.

W niespełna sześć miesięcy Ruth poumieszczała swoje maszynistki, sekretarki, księgowy i zaopatrzeniowców w większości ważniejszych firm i instytucji w mieście. Pracodawcy szczególnie cenili sobie to, że umowa z agencją gwarantowała im wymianę pracownika, z którego nie byliby zadowoleni, w ciągu dwóch godzin od powiadomienia. Na ogół nie musieli z tego korzystać, tak sumienne, obowiązkowe i odpowiedzialne były osoby przybyłe z "Vesta Rose". Agencja pobierała jedynie pięć procent od zarobków, do czego dochodziły jeszcze dodatkowe opłaty za opiekę nad dziećmi, zakupy, a z biegiem czasu - za pranie i czyszczenie chemiczne. Nie sugerowano kobietom, aby dochodziły swoich praw jako kobiety przez duże "K" i wywierały presję na całym męskim rodzie, by zechciał w jednakowym stopniu brać udział w wychowywaniu dzieci i wprząc się w domowy kierat. Rozumiano bowiem, że ten cel, aczkolwiek chwalebny, jest im obcy; wydawał się odległy, a przez to nieosiągalny. Tymczasem więc potrzebna była konkretna pomoc, jeśli chciały godzić tradycyjne role opiekunek domowego ogniska z zarabianiem pieniędzy - aby wracający do domu mężowie mieli pod nos podstawiony obiad, czekały na nich czyste koszule, ulubiony program w telewizji, a wszystkie sprawy domowe toczyły się zwykłym trybem. W ten sposób panowała powszechna zgoda, skoro nie mogło już być mowy o sprawiedliwości. Dzięki temu w zaciszu

mażeńskich sypialni mężczyźni okazywali kobietom przychylność, a one odpłacali im tym samym. I być może była to jedyna rekompensata za oczywistą niesprawiedliwość życia małżeńskiego we współczesnym świecie.

Co tydzień pracownice przyjeżdżały po odbiór pensji, z której potrącano im pięć, a czasami nawet do pięćdziesięciu procent, jeśli któraś z pań korzystała z dodatkowych usług agencji. Ruth wyciągała je wtedy na małe pogawędki na osobności, dowiadując się w ten sposób czegoś o firmach, dla których pracowały, a jeśli coś ją szczególnie interesowało, potrafiła wydobyć dokładniejsze informacje. Niekiedy prosiła o wyświadczenie jakiejś drobnej przysługi, na co one - na ogół zadowolone z pracy - chętnie przystawały; wtedy mogły liczyć na obniżenie dość pokaźnej prowizji.

Aż osiem miesięcy musiała czekać Ruth, zanim zadzwonił ktoś z biura Bobba. Czas ten wykorzystowała na przeprowadzenie pewnej operacji finansowej - określanej przez banki jako "mały ożywczy ruch" - na koncie, z którego korzystali oboje z mężem do chwili, kiedy tuż przed sponięciem małżeńskiej sadyby Bobo wybrał wszystkie oszczędności z wyjątkiem paru centów.

Oznaczało to, że Ruth zaczęła coś tam wpłacać, czasami czekiem przez pocztę, czasami osobiście gotówką: tu sto dolarów, tam tysiąc, z jej legalnych, pochodzących z własnego biznesu - Agencji "Vesta Rose" - dochodów. Gdy nadarzała się okazja, wypłacała a to dwadzieścia dolarów, a to pięćdziesiąt, w gotówce lub czekiem, posługując się nazwiskiem Bobba. Pewnego razu w imieniu męża pobrała z jego konta dwa tysiące dolarów i ulokowała na wspólnym rachunku. W nieodległej przyszłości pociągało to za sobą konieczność nocnej wizyty w biurze Bobba i wykonania pewnej pracy za pomocą korektora, kiedy nadejdzie trzymiesięczny wyciąg bankowy. W banku funkcję młodszej urzędniczki pełniła Olga z Agencji "Vesta Rose", której autystyczne dziecko pozostawało pod opieką siostry Hopkins w prowadzonym przez nią żłobku. Ta kobieta miała dostatecznie dużo zmartwień na głowie, aby nie odmawiać pomocy. Usunęła zatem kartę z bieżącej kartoteki Bobba, przenosząc ją z sekcji wyciągów miesięcznych do wyciągów kwartalnych. Tym samym zaoszczędziła Ruth dodatkowej pracy i niepotrzebnych nerwów. To Olga była również tą osobą, która dopilnowała, aby wyciąg ze wspólnego konta po prostu się gdzieś zapodział na poczcie i nigdy nie dotarł do właściciela.

Wreszcie zatelefonowano z biura Bobba z prośbą o przysłanie dwóch solidnych, wykwalifikowanych pań do pracy w sekretariacie w niepełnym wymiarze godzin w środy oraz dziewczyny do pomocy w poniedziałki i piątki, a więc w te dni, które on spędzał w Wysokiej Wieży. Czy znana z rzetelności swoich usług "Vesta Rose" nie mogłaby pomóc?

Oczywiście! Do pracy w środy Ruth skierowała Elsie Flower, drobną, słodką istotę, uderzająco wprost podobną do Mary Fisher. Jej drobne ręce niemal fruwały nad klawiaturą, a szyja wdzięcznie się pochylała nad maszyną. Zginała kark jakby w oczekiwaniu na cios, który wcale nie musiał się okazać nieprzyjemny. Była znudzona mężem i Ruth, której się kiedyś z tego zwierzyła, pomyślała, że Elsie jest odpowiednią osobą dla Bobba. Natomiast do pracy w poniedziałki i piątki Ruth posłała Marlenę Fagin, matkę czterech nastoletnich synów z trzech różnych ojców, którzy już dawno zniknęli z jej życia. Marlena była wdzięczna agencji, zwłaszcza za robienie za nią zakupów i ich dostawę do domu. Już samo dźwiganie kupowanej dla pięciu osób żywności (zwłaszcza dla chłopców uwielbiających coca colę, która okazuje się substancją wyjątkowo ciężką, gdy trzeba ją taszczyć do domu) wyczerpywało ją tak bardzo, jak żadna, nawet najbardziej męcząca praca biurowa. Była zatem starannie wybraną kandydatką i to ją właśnie Ruth miała poprosić o wyświadczenie drobnej przysługi, czyli dokonanie niewielkiej poprawki w rejestrach Bobba; nie zawahała się przy tym nadmienić, że dostawa zakupów do domów na dalekie przedmieście, gdzie mieszkała Marlena, są zupełnie nieopłacalne ekonomicznie.

W piątek, gdy Elsie po raz pierwszy przyszła odebrać pensję, została zagadnięta przez Vestę Rose: - No i jak tam twój pracodawca? Jaki on jest?

- Zuchwały - odpowiedziała. - Zupełnie się nie przejmuję, że jego przyjaciółka przygląda się wszystkiemu z fotografii.

- Jak daleko posunął się w swojej zuchwałości?

- Gładził mnie po włosach i mówił, że są jedwabiste.

- Czy ci to przeszkadzało?

- A powinno? - Dziewczyny z "Vesty Rose" lubiły zasięgać rady Ruth i czasami się to opłacało, bo przynosiło obopólne korzyści.

- Zawsze uważałam - powiedziała Ruth - że doświadczeniu należy wyjść naprzeciw, nie wolno się od niego odwracać, życie jest przecież takie krótkie. Uświadomiłam sobie, że we wspomnieniach nie wracamy do tego, co przeżyliśmy, ale do spraw poniechanych.

- Rozumiem - uprzejmie odpowiedziała Elsie. Niekiedy jedynym, czego kobieta oczekuje, jest przyzwolenie.

W następnym tygodniu Marlena zakomunikowała, że całe biuro Bobba aż huczy od plotek na temat szefa i Elsie i jej ciągłej pracy po godzinach w środę wieczorem.

- Wiem o tym - odparła Ruth. - Ona domaga się zapłaty za nadgodziny.

Przygoda Elsie trwała sześć tygodni. Pod koniec siódmego tygodnia, zjawiając się po odbiór pensji, oświadczyła: - Jest to coś znacznie poważniejszego niż tylko seks. Nie masz pojęcia, jaki on jest miły, jak niesłychanie wyjątkowy!

- Czy to miłość?

Dziewczyna drobnymi perłowymi ząbkami przygryzła dolną wargę i spuściła wzrok. - Nie wiem - odpowiedziała. - Ale jest wspaniałym kochankiem!

- A co z twoim mężem, Elsie?

- Kocham go, ale nie jestem w nim zakochana - odpowiedziała. - Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- O tak, rozumiem! - zapewniła ją Ruth.

- Nie wiem jednak, jakie on żywi wobec mnie uczucia - zastanawiała się głośno.

- A czy powiedziałaś mu... jakże on się nazywa, czy nie Bobo?... co ty do niego czujesz? - spytała.

- O nie, nie śmiałybym - brzmiała odpowiedź. - Nie w ten sposób. Jest wyniosły, nieprzystępny, poważny.

- Podobnie jak i ty - stwierdziła Ruth. - Powiedz mu, że go kochasz, bo inaczej pomyśli sobie, że ze wszystkimi wyprawiasz takie rzeczy. Może przecież nie zdawać sobie sprawy, jak wiele dla ciebie znaczy.

- Ale nie chcę go spłoszyć - odparła Elsie.

- Jak mogłabyś to zrobić mówiąc prawdę?

Następnego dnia Bobo osobiście zatelefonował do agencji, prosząc o natychmiastowe zastępstwo za Elsie Flower zgodnie z zawartymi w umowie gwarancjami.

- Naturalnie, proszę pana - odpowiedziała Ruth wysoko postawionym i przesadnie ugrzecznonym głosem Vesty Rose. - Czy mogę jednak spytać, w czym tkwi problem? To świetna maszynistka, z bardzo dobrymi referencjami.

- Możliwe - usłyszała - ale jest przeczulona na swoim punkcie i nazbyt uczuciowa. Czy wolno mi przypomnieć warunki umowy, według których wymiany pracowników dokonuje się bez zbędnych pytań i wyjaśnień?

- Naturalnie, wszystko w porządku, proszę pana - przytaknęła.

- Czy ja czasami już gdzieś nie słyszałem pani głosu? - zapytał.

- Nie sędzę - szybko zaprzeczyła.

- Już wiem - powiedział. - Przypomina mi pani moją matkę.

- Bardzo mi miło - odparła. - A czy teraz mógłby pan być tak uprzejmy i poprosić pannę Flower, by zadzwoniła do naszego biura?

- Właśnie odeszła, zalewając się łzami. Bóg raczy wiedzieć dlaczego - wyjął Bobo. - Domyślam się, że w kartotekach agencji nie figurują mężczyźni?

- Nie, proszę pana.

- Szkoda - odrzekł i skończył rozmowę.

Elsie z płaczem przyszła do Ruth. Zdażyła już powiedzieć mężowi, że się zakochała w Bobbie, na co miał rzec: "To ostatnia kropla, która przepełniła czarę". Potem odszedł. Kiedy z kolei opowiedziała o całym wydarzeniu Bobbowi, wyznając jednocześnie, że go kocha, powiedział: "To szantaż" i ją zwolnił. W biurze, w którym jest tyle pracy, nie ma czasu na histeryczne komedie.

- Miałam prawo przypuszczać - łkała - że sypiając z szefem może człowiek liczyć, że się jakoś lepiej w życiu ustawi: dostanie podwyżkę, dodatkowy urlop, jakieś ekstra poparcie. Nic z tego, jeszcze go tylko szybciej zwalniają! Nieźle sobie poplątałam życie.

- Życie jest nieustanną lekcją - próbowała ją pocieszyć Ruth. - Jedyne, co można zrobić, to wyciągnąć z tego naukę na przyszłość. Naprawdę uważam, że powinnaś wszystko zacząć od nowa.

- O, tak, jeśli dotąd się nie miało okazji...

- Gdzieś daleko - ciągnęła Ruth - w jakimś spokojnym miejscu pełnym przystojnych mężczyzn, może w Nowej Zelandii.

- Zawsze chciałam pojechać do Nowej Zelandii - wyznała Elsie. - Ale czy kiedykolwiek będę mogła sobie pozwolić na taką podróż?

- W samej rzeczy, jest to pewien problem - zauważyła Ruth. - Nasze życie jest stale ograniczane z powodu braku tak banalnej rzeczy, jaką są pieniądze.

- To wszystko jest tak bardzo niesprawiedliwe - westchnęła zapłakana Elsie. - Opowiedziałam całą historię mężowi, aby nim lekko wstrząsnąć. Skąd mogłam wiedzieć, że przesadziłam i wstrząs był zbyt duży? Chciałabym dostać tego drania Bobba w swoje ręce.

- Zawsze możesz napisać do jego przyjaciółki - podsunęła myśl. - Ona ma prawo wiedzieć, jak się sprawy mają.

- Wspaniały pomysł! - wykrzyknęła Elsie i tak też uczyniła, ale nie otrzymała odpowiedzi.

- Obawiam się, że niespecjalnie ją to zmartwiło - poskarżyła się.

- Nie sądzę - powiedziała Ruth.

- Taka jestem nieszczęśliwa - użalała się nad sobą. - Wykorzystał mnie i odprawił z kwitkiem, jakbym nic nie była warta.

- Czuję się za to odpowiedzialna, ponieważ osobiście tam cię posłałam. A oto co Agencja "Vesta Rose" przekazuje ci w formie rekompensaty - uroczyście oświadczyła Ruth, podając dziewczynie dwa bilety lotnicze pierwszej klasy: jeden szwajcarskich linii do Lucerny, drugi linii Qantas z Lucerny do Auckland.

- Pierwsza klasa?! - zdumiała się Elsie. - Kobiety na ogół mnie nie lubią, a tu spotyka mnie taka wspaniałość!

- Chciałabym cię jednak prosić, abyś była tak dobra i w Szwajcarii wyświadczyła mi pewną drobną przysługę.

- Ale nie jest to coś sprzecznego z prawem? - Jak każdy, Elsie stawiała się nieufna, gdy sprawy układały się zbyt pomyślnie.

- Wielkie nieba! Nie! - padło zapewnienie. - To tylko niewielka operacja finansowa. Wszyscy wiemy, że tutejsze prawo podatkowe jest niesprawiedliwe i wymierzone przeciw kobietom. W Szwajcarii wygląda to znacznie lepiej.

- Zrobię co w mojej mocy - odpowiedziała dziewczyna, dając się dość łatwo przekonać, jak to zwykle bywa z ludźmi, których wątłe poczucie moralności nie jest w stanie odwieść od upragnionego celu.

- Spójrz jednak - zauważyła, sprawdzając ofiarowane jej bilety. - Ten, do Auckland, został wystawiony na nazwisko Olivia Honey.

- Och, tak! Omal nie zapomniałam, mam tu jeszcze coś dla ciebie - powiedziała Ruth, podając jej paszport bez większych trudności zdobyty dzięki uprzejmości młodego człowieka ze studenckiej kawiarni. Dokument, wystawiony na to samo nazwisko, został zaopatrzony w bardzo korzystne zdjęcie Elsie (agencja przechowywała takie fotografie wszystkich swoich pracowników), a ponadto w nim podano, że jego właścicielka ma dwadzieścia pięć lat.

- Co za sympatyczne nazwisko - zachwyciła się Elsie.

- Jak dla kogo - odparła Ruth.

- Nigdy nie lubiłam swojego imienia - dodała Elsie. - No i popatrzcie: ubyłoby mi lat!

- Zrób więc z tego właściwy użytek - poradziła jej Ruth. - Dodatkowych pięć lat życia lub przedłużona o tyle młodość to ostatecznie jedno i to samo.

- Zrobię - zapewniła Elsie.

- Wiem, że cię na to stać. A kogóż by nie?

Ruth przeniosła około dwóch milionów dolarów z rachunku oszczędnościowego Bobba na ich wspólne konto. Napisała w tej sprawie do banku w Lucernie, który nie stawiał w imieniu Bobba żadnych pytań. Komuś, kto zakłada wspólne konto i wpłaca dwa miliony dolarów, takich pytań się nie zadaje. Notę bankową, którą Bobbo powinien potwierdzić osobiście, Olga przechwyciła na biurku dyrektora, tak że transakcja przebiegła bez zakłóceń. W zamian za to siostra Hopkins oficjalnie zaadoptowała autystyczne dziecko Olgi, tym samym dając jej wolną rękę, aby mogła poświęcić się karierze piosenkarki, co też niezwłocznie i z sukcesem uczyniła. Ruth osobiście poleciała do Lucerny, by na miejscu spotkać się z Elsie, przenieść pieniądze na konto, które właśnie tamta otworzyła, i poczekać, aż operacja zostanie przeprowadzona. Następnym krokiem była wypłata pieniędzy w gotówce i wręczenie ich Ruth. Po dobrze spełnionym obowiązku i czułym pożegnaniu Elsie zniknęła na lotnisku jako Olivia Honey.

Ruth wkrótce powróciła do siostry Hopkins i Agencji "Vesta Rose".

- Moja kochana - oświadczyła - nadszedł czas rozstania.

Siostra Hopkins rozplakała się.

- Nigdy więcej nie martw się swoim wyglądem - powiedziała Ruth - i już nigdy nie obwiniaj rodziców o swoje nieszczęścia. Zapewne dawali ci tabletki z suszonej tarczycy, gdy byłaś dzieckiem, ale czynili to z miłości i troski o ciebie, a co najważniejsze - pozostawili ci pieniądze, które są po to, by z nich korzystać, a nie ciuć i odkładać. Zostawiam ci Agencję "Vesta Rose": prowadź ją dalej. Powierzam ci chłopczyka Olgi, abyś miała kogo kochać. Ten podwójny spadek zapewni ci wystarczająco dużo pracy, zwłaszcza ten drugi, i nie będziesz miała czasu, żeby smucić się z mojego powodu.

- A co jest w tej walizce? - zapytała już rozchmurzona siostra Hopkins. - I gdzie ty się właściwie wybierasz?

- W walizce są pieniądze - poinformowała ją. - Wybieram się na spotkanie przyszłości.

Uczyniła to w samą porę. W następnym tygodniu w biurze Bobba pojawili się biegli księgowi, żeby jak co roku przejrzeć księgi rachunkowe. Siedzieli tam podejrzanie długo, dezorganizując wszystkim pracę. W pierwszym odruchu Bobbo pomyślał, że jest to oznaka ich wyjątkowej nieudolności.

Wkrótce jednak odwiedził go w biurze policjant.

- Nie próbuj nas wystrychnąć na dudka - uprzedził. - Dokładnie wiemy, co się stało. Wpadłeś przez tę małą Elsie Flower. I dokąd to się urocza parka wybiera, by zacząć wszystko od nowa? Do Ameryki Południowej?

- Elsie Flower? - powtórzył Bobbo. - Kto to jest? - Zupełnie uczciwie mógł przyznać, że jej nie pamięta. Szefowie rzadko zaśmiejają sobie pamięć nazwiskami maszynistek.

Rozdział dwudziesty drugi

Mary Fisher jest zbита z tropu. Co się stało z jej życiem? Jej szczęście wycieka niczym z rozbitego dzbanka. Najpierw był znaleziony wśród innej korespondencji list od dziewczyny, która oznajmiała, że jest kochanką Bobba. On oczywiście zaprzecza wszystkiemu. Mary Fisher zdaje sobie jednak sprawę, że tego rodzaju listy najczęściej zawierają prawdę, a ten jest tego najlepszym przykładem. Mary Fisher już wie, że w ślad za szczęściem musi podążać nieszczęście, a pomyślność zamienia się w klęskę. Rozumie, że kochać to znaczy być bezbronnym wobec losu, a nawet przygotowanym na jego atak. Bobbo już dłużej nie zaprzecza, przyznaje się do wszystkiego, ale twierdzi, że sprawa jest skończona i nie ma żadnego znaczenia. Wiadomo, jakie są maszynistki: jednego dnia się zjawiają, by zniknąć następnego, cha, cha! Najdroższa Mary, kocham tylko ciebie, czy nie jesteś światłem mojego życia, latarnią na mej drodze? Jak możesz się poniżać, okazując przygnębienie z powodu listu od nie wiadomo kogo? Pewnie od jakiejś złośliwej miernoty? Mary mu wybacza. Cóż innego może zrobić, skoro nie chce go stracić, bo tego z pewnością by nie przeżyła?

A zresztą, jak tu nie wybaczyć, skoro sama wciąż czuje wyraźny dotyk palców Garcii na własnym ciele? Co dobre dla jednego...

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży nad brzegiem morza otoczona murami własnej prywatności i przywileju: żyje w zgodzie z naturą. Niegdyś drwiła sobie ze świata. Teraz, razem z miłością, świat się przybliżył i ją osacza. Najpierw były dzieci jej kochanka, potem własna matka, a teraz zjawia się pod postacią pukającego do drzwi policjanta. Jak te dobermany szczerzą i jak się łaszają!

Nic z tego nie rozumie, a i Bobbo niczego nie pojmuje. - Nieszczęście ściągnął na nas nieprzychylny los - mówi Mary.

- Ty jesteś winna temu, co się stało - powiada Bobo.

Mary Fisher chwieje się jak od zadanego ciosu. Czyżby istotnie wszystko było przez nią?

No tak. To przecież ona rozbudziła w nim uczucie, które ich zniszczyło. Ona w tamtych beztrudnych dniach bez miłości kazała mu się odwieźć do domu. Pozwoliła, aby Ruth została odrzucona. Odebrała dzieciom ich prawdziwą matkę... - bez końca można by wyliczać, za co ponosi odpowiedzialność.

Bobbo łka. - To jak zły sen - mówi, nie wierząc już nawet, że ziemia, po której stąpa, jest prawdziwa.

Garcia podsłuchuje pod drzwiami. Na niepowodzenia mieszkańców Wysokiej Wieży patrzy z niekłamana przyjemnością. - Im wyżej się pniesz - mówi do mnie - tym boleśniejszy bywa upadek. To naturalna sprawiedliwość - dodaje.

- Nie taka naturalna - odpowiadam ze śmiechem. - Diablice nie mają nic wspólnego z naturą, same siebie stwarzają, nie oglądając się na nic.

Policjanci przychodzą do Wysokiej Wieży pod nieobecność Mary Fisher. Przeszukują dom i znajdują list od Elsie Flower. Złożona karteczka leżała w zamkniętej szufladzie, w szkatułce z biżuterią obok sznurów pereł i broszek ze szmaragdami od byłych kochanków, przechowywanych w sekrecie przed Bobbem z nostalgią za przeszłością, której się nigdy w imię teraźniejszości nie wyrzekła do końca. Ot, taka słabostka.

Szkatułkę z biżuterią wskazał Garcia. Nie czuł wstydu, nie dręczył go niepokój. Przecież go zdradziła. Niegdyś była słońcem na jego niebie, teraz jest niczym: połączyła się z Bobbem i tak jak on stała się nikim.

Policja zamknęła biuro Bobba, opieczętowała drzwi, skonfiskowała jego księgi rachunkowe.

- Nic z tego nie rozumiem - zdołał tylko wykrztusić. - Mary, kocham cię.

Samotna Mary Fisher przesiaduje w Wysokiej Wieży i czeka na przyjaciół, którzy ją pocieszą. Czekają na próżno. Co mogliby jej powiedzieć? Że ten niezwykle człowiek, jej kochanek, sprzeniewierzył ich pieniądze? Jesteśmy pisarzami, artystami, ludźmi ufnymi, stroniącymi od świata. I co ty nam najlepszego, Mary, uczyniłaś? Twój fantastyczny mężczyzna okazał się nie taki znowu fantastyczny, skoro byłby zwiął z maszynistką, gdyby tylko ona mu wcześniej nie umknęła z forsą!

Przyjaciele milczeli jak zakłęci.

Bobbo nie opuszczał Wysokiej Wieży, popadając w stan coraz większego przygnębienia. Przestał się golić, podbródek mu zwiotczał, a włosy na skroniach pokryła siwizna. - Czy wierzysz we mnie, ukochana? - pytał.

- Wierzę - odpowiadała mu.

- To mnie ratuj!

Mary Fisher wynajęła najdroższych adwokatów, ściągając ich z rozmaitych odległych stron świata. A ponieważ angielski nie był ich ojczystym językiem, musiała również opłacać tłumacza. - Będzie to panią sporo kosztowało - ostrzegali. - Taka sprawa może się ciągnąć latami.

- Och! Bobbo! - wzdycha Mary. - Gdybyś był mi wierny, nigdy by do tego nie doszło. - Ale gdy tak mówi, widzi, że miłość wysycha w oczach Bobba i niczym szukający ujścia strumień spływa na nią: jej los jest przesądzony. Im mniej on kocha, tym większe uczucie w niej płonie.

O trzeciej nad ranem rozlega się pukanie do drzwi. Policja. Mary Fisher telefonuje do prawników, do ich ekskluzywnego, drogiego hotelu, lecz ci nie są w stanie zrozumieć, o co jej chodzi. Tłumacz przebywa gdzie indziej. Bobbo więc zostaje aresztowany.

Tłumacz, kiedy już się rano odnalazł, zapewnia, że działania policji nie są całkiem zgodne z prawem. Zrobimy co w naszej mocy - obiecują prawnicy i zabierają się do pracy. Można jednak odnieść wrażenie, że zdumiewająco niewiele robią. Występują o zwolnienie Bobba za kaucją, ale oprócz tej jednej sprawy przygotowują inną, pełną zawiłych kruczków prawnych - sprawę własnego azylu politycznego. Marzyłyby im się kraj pełen kobiet równie naiwnych i bogatych jak Mary Fisher!

Tymczasem ona wystawia jeden ze swoich domów na sprzedaż, mimo że czas temu nie sprzyja. Adwokaci utrzymują, że jeden dom nie wystarczy. Ile ich pani ma? Tylko trzy? O, kochana! No dobrze, pozwoli nam to przetrwać do procesu, którego przygotowanie zajmie około dziewięciu miesięcy. Opóźnienia są nieuniknione, wiadomo, jakie są czasy, a poza tym sędzią ma być sam Henry Bissop, człowiek nieobliczalny, bardzo popularny i w związku z tym niezwykle zajęty. Oczywiście, że zrobią wszystko, by udało się zwolnić Bobba za kaucją i zwrócić go w jej ramiona.

Garcia już nie odwiedza Mary nocami. Zupełnie stracił na nią apetyt. Przyjemnie jest słuchać jej płaczu. Czemu więc miałby ją pocieszać?

Mary Fisher nie może spać w nocy. Leży samotna i płacze za Bobbem. On jest jej dzieckiem, ojcem: jest dla niej wszystkim. Jediną pociechę znajduje w tym, że w więzieniu Bobbo nie może być niewierny.

Na niebie ponad Wysoką Wieżę nieodmiennie suną gwiazdne konstelacje, jak gdyby tu, na ziemi nie wydarzyło się nic godnego pożałowania. Mary Fisher zastanawia się, czy Bobbo ze swej więziennej celi widzi niebo i czy myśli wtedy o niej. Dziwne, że gdy go odwiedza, jakoś o tym nie rozmawiają.

Rozdział dwudziesty trzeci

Sędzia Bissop mieszkał w wielkim, luksusowym domu na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na miasto. Dom był nowy, pokryty odmianą czerwonego, chropowatego cementu, który polakierowany na wysoki połysk stwarzał imitację wilgotnej cegły. Otaczało go blisko pół hektara sianej murawy, wymagającej bardziej podlewania niż strzyżenia. Sędzia w obawie przed złodziejami, z którymi miał tak wiele do czynienia, uzbroił całą posiadłość w zamki, sztaby i okiennice. Wszystkie konieczne zabezpieczenia były dziełem artysty-rzemieślnika, który potrafił nadać kutemu żelazu finezyjnie wygięte kształty. Z jednej strony dom przypominał zamczysko, a z drugiej pawilon kempingowy.

Wnętrze zdobiły fioletowe dywany z najbardziej puszystej strzyżonej wełny, jaką można było zdobyć, liczne małe abażury z delikatnego atlasu obramowane złotymi galonami i przepastne sofy z najdroższej, jaką można sobie wyobrazić, pomarańczowej skóry. Ściany zostały wyłożone połyskliwą mahoniową boazerią lub obite szkarłatną, przypominającą zamsz tapetą, jaką widuje się w hinduskich restauracjach. Całość urządzono zgodnie ze wskazówkami i gustem pani Bissop, a nie sędziego, w tej sprawie bowiem, jak w żadnej innej, postanowił dać jej wolną rękę. Lubił podpatrywać wyraz twarzy gości, kiedy oprowadzał ich po salonie, starając się wówczas uchwycić moment ich szybko tłumionej konsternacji. W sądzie podobne obserwacje przelotnych drgnień twarzy i ich błyskawiczna interpretacja wyrobiły mu opinię człowieka przenikliwego i mądrego. Nigdy nie miał dość tych praktyk.

Jeśli ma się wrodzone zdolności do demaskowania kłamców, jak tu z nich nie korzystać - dywagował sędzia. Trzeba je rozwijać i udoskonalać: trzeba umieć dostrzec czyjeś zacerwienione uszy, zwilżane językiem wargi, umykający wzrok.

- Wygląda zupełnie jak dekoracja.
- Panie sędzio, jakie to fantastyczne!
- Wszystko jest pomysłem mojej żony. Ona ma niezwykły wrodzony talent, nie uważacie państwo?

- Oczywiście, panie sędzio.

- Czyż nie jest przemiłą dziewczyną?

- Naturalnie, że tak. Szczęśliwy z pana człowiek, panie sędzio.

Kłamstwa, same kłamstwa.

Pani Bissop, aczkolwiek sporo młodsza od męża, nie uchodziła za piękność. Wybrał ją jednak właśnie dlatego, trwożyła go bowiem zniewalająca siła piękna. Bał się ironii losu. Zbyt wiele się napatrywał i nasłuchiwał. Wystarczy, że człowiek wybierze się na koncert, a złodziej umyka ze skradzioną mu harfą. Każę namalować portret żony, a ona ucieka z artystą. Zbyt długo syci oczy pięknem kwiatu, a natychmiast słabnie jego kontrola nad światem i oszałamia go nagły wir przypadkowych zdarzeń. Gdyby sędzia Bissop miał własną wizję Boga, byłby to niewątpliwie wielki scenarzysta, tasujący w niebie fabuły podrzędnych filmów, pełne zbiegów okoliczności, nieprawdopodobnych wypadków i niewiarygodnych motywów.

Pani Bissop nie należała zatem do tego typu kobiet, które uciekają z malarzami, albo powodują upadek Troi: miała duży nos, cofnięty podbródek i rozczarowany wyraz twarzy. Urodziła sędziemu dwóch synów: obaj podobni do niej, odznaczali się cichym i poprawnym zachowaniem. Sędzia stosował wobec nich te same metody wychowawcze, jakie znał z własnego dzieciństwa. Jeśli irytowali go swoim marudzeniem, potrafił zatkać im buzie czymkolwiek, co się akurat znajdowało pod ręką: piaskiem, solą, ziemią. Nie należało to do przyjemności, ale też nie było niebezpieczne i co ważne: odnosiło natychmiastowy skutek. Gdy dzieci podrosły, same się pilnowały, aby się nie naprzykrzać i niczego nie niszczyć, on

zaś trwał w przekonaniu, że dobrze im się przysłużył, a nawet uszczęśliwił. Odmienne zdanie miała jego żona, lecz zachowywała je dla siebie.

Mimo sześćdziesiątki sędzia był zdumiewająco przystojnym mężczyzną. Wysoki, barczysty i opanowany, wyróżniał się prezencją. Miał gęstą śnieżnobiałą czuprynę, którą co tydzień przyszywał. Gdy fotografowano zespół sędziowski, właśnie Bissopa wypychano do przodu, bo wyglądał tak, jak sędzia powinien wyglądać: dystyngowany, mądry, stanowczy, a przy tym ujmująco uprzejmy.

Swoją pracę traktował bardzo poważnie. Wiedział, że musi się wybijać ponad przeciętność, strzec się popełniania błędów i chronić przed korupcją. Zdawał sobie sprawę, że nie jest zwyczajnym człowiekiem.

Niewielu ludzi było bowiem gotowych piastować w społeczeństwie funkcję tego, który z całą stanowczością wymierza jednostce sprawiedliwość. Wiedział, jak ciężko jest decydować o losie drugiego człowieka, gdy tamten nie wyrządził nam żadnej krzywdy, i poznał osobliwe uczucie okradania go z czasu, odmierzanego porcjami: dwanaście miesięcy za to, osiemnaście miesięcy za tamto, tuzin lat za jeszcze co innego. Głęboko niepokoił go fakt, iż jest jedynym człowiekiem, który ma orzec: to jest złe, to jest gorsze, a za tamto trzeba by zapłacić głową! Ale tak właśnie sprawy wyglądały. A do tego dochodziło powołanie: Henry Bissop był urodzonym sędzią.

Rodzina sędziego musiała grać przeznaczoną jej rolę. Był to rachunek wystawiony przez los za obcowanie i zażyłość z wyjątkowym człowiekiem. Jej członkowie trzymali się na baczności, aby go nie budzić w nocy, nie męczyć swoimi żądaniami czy irytować gadulstwem. Mieli obowiązek istnieć dla człowieka, który najlepiej funkcjonował, gdy mógł się wyrwać z domowego ogniska w świat, a wtedy jego niespożyta energia seksualna i siły witalne odzyskiwały wolność. Rodzina nie mogła mu się narzucać: nie miała prawa być ani zanadto widoczna, ani zbyt głośna.

Wiele nocy pani Bissop spędziła krążąc z płaczącymi dziećmi na rękach po najbardziej oddalonych od sypialni sędziego pokojach. Gdy chłopcy podrośli, upominała ich szeptem, aby swoim dziecięcym szczebiotem nie budzili go skoro świt. Czy nie powinna tak postępować? Czy los nieszczęsnych skazańców nie zależał od porannych nastrojów sędziego? Pięć lat więzienia czy piętnaście?

Sędzia Bissop nie znosił poczucia braku kontaktu z rzeczywistością, odcięcia od pulsującego rytmu normalnego życia. Przykładał do ziemi ucho, by wyławić odgłosy powszechnego niezadowolenia lub wzburzenia opinii publicznej. Służył ostatecznie obywatelom, musiał więc być przebiegły i dalekowzroczny. Odpowiednio surowo obchodząc się z gwałtocielami, można było odsunąć dzień, w którym masy zażądałyby przymusowej kastracji wszystkich przestępców na tle seksualnym. Natomiast łagodne potraktowanie bigamistów mogło odroczyć moment zakwestionowania całego prawa małżeńskiego. Głos opinii społecznej powinien być słyszalny, ale jak to osiągnąć, skoro ludzie sami nalegają, by przybrani w peruki sędziowie zasiadali na tronach, niedostępni i odcięci od świata, w sądach, przypominających bardziej teatr niż miejsce poważnych obrad?

Sędzia zatem, gdy tylko udawało mu się znaleźć nieco czasu, przeglądał popularną prasę i przy każdej nadarzającej się okazji wdawał się w swobodne pogawędki z tymi nielicznymi przedstawicielami społeczeństwa, których spotykał na swej drodze: z gazeciarzami, kelnerami, fryzjerem, sprzedawcami programów w operze i służbą we własnym domu.

Niedawno jego żona za pośrednictwem agencji w mieście zatrudniła kobietę: osobę wysoką, szpetną, nazwiskiem Polly Patch. Referencje miała znakomite, ponadto posiadała dwa dyplomy mówiące o poziomie jej wykształcenia ogólnego i kwalifikacjach opiekunki do dzieci. Przyjęto ją w charakterze stałej pomocy domowej.

Sędzia nie przypuszczał, aby miała na dłuższą grę zająć u nich miejsce. Pani Bissop, jeśli akurat dokuczała jej samotność, potrafiła zwierzać się służącej ze swoich kłopotów, a

następnego dnia, będąc już w lepszym nastroju, miała tamtej za złe, że wykorzystuje sytuację i spoufala się. Nieodmiennie kończyło się to żądaniem natychmiastowego odejścia. Nie mogło być mowy o równości: personel domowy zależał od tych, o których

dbał. Sędzia żywił jednak nadzieję, że Polly ostatecznie się chociaż przez miesiąc. Niedługo doszedł do wniosku, że ludzie, którym los poskąpił urody, bywają interesujący. Odnosił wrażenie, że mają większy kontakt z rzeczywistością i dysponują pewnym rodzajem wiedzy, jakiej on sam sobie odmawiał. Jego droga przez życie, którą ułatwiał dobry wygląd, pochodzenie i inteligencja, wiodła nazbyt prosto. Chłuba rodziców, triumf szkoły, duma nauczycieli, ale kim właściwie był? Pomyślał, że Polly, opiekunka do dziecka przekraczająca właśnie próg ich domu, ma zapewne w koniuszku jednego palca wszystkie sekrety codzienności i może będzie skłonna się nimi podzielić, a wtedy on wreszcie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Człowiek, nawet jeśli jest sędzią, musi mieć jakiś punkt odniesienia, kogoś, z kim może się porównać i zmierzyć, jeśli rzecz jasna sam już wie, kim jest. Wystarczyło, że sędzia pstryknął palcami, a żona i dzieci wtapiały się niemal w ścianę i rozpląwały w powietrzu. Niełatwo było sprawić, by zniknęła Polly Patch: jej powierzchowność przywodziła na myśl papier ścierny, i to raczej gruboziarnisty niż drobny i miałki.

Panna Patch ku wyraźnej uldze sędziego nie dawała żadnych podstaw, by sądzić, że nadużyje zaufania jego żony, i wyglądało na to, że nie grozi jej rychłe zwolnienie. Już prędzej można było odnieść wrażenie, że to pani Bissop jej się lekko obawia. W wylupiastych oczach Polly Patch od czasu do czasu pojawiały się różowawe błyski. Niewykluczone, że działa się tak za sprawą ulubionego przez panią domu różowego oświetlenia. W każdym razie nie stanowiło to przejawu braku szacunku. Polly w ocenie sędziego była dwakroć potężniejsza od jego żony i o tyleż przewyższała ją inteligencją. Jej wygląd jednak bez wątpienia przemawiał przeciwko niej. Ani na rynku pracy, ani na rynku małżeńskim nie mógł jej zapewnić wysokich notowań. Z tego zapewne powodu zniżyła się do niańczenia cudzych dzieci. A może, podobnie jak wiele innych kobiet, zwyczajnie zatęskniła za domem pełnym kanap i łóżek, za kominkiem i drzwiami zamykanymi na noc przed intruzami, za codziennym rytuałem pracy, odpoczynku i cichym pomrukiem pracującej zmywarki do naczyń? Skoro sama nie była w stanie tego osiągnąć - w niższych warstwach społecznych umożliwiały to jedynie pieniądze i wola męża - najlepsze, co mogła zrobić, to wejść do czyjegoś domu w charakterze służącej.

Z początku sędzia nieufnie odnosił się do nowego członka domowej społeczności. Mężczyźni i kobiety, jacy się przed nim przewijali w sądzie: kryminaliści, osobnicy nieprzystosowani i przegrani, najczęściej odstręczali wyglądem, a jeśli już prezentowali się przyzwoicie, pojawiała się przed nimi szansa na uniewinnienie. Ławnicy są, jacy są. Sędzia wiedział, że fałszywe jest założenie, iż skoro przestępcy bywają szpetni, to wszyscy ludzie szpetni są przestępcami, a jednak nie potrafił pozbyć się niepokojącego wrażenia, że jest to prawda. Kto wie, może Polly była związana z jakąś grupą złoczyńców i kazano jej przeprowadzić wizję lokalną, by potem określić go z wszystkich dóbr doczesnych? Niewykluczone, że pewnego dnia po powrocie do domu odkryje, że jego fioletowe dywany, pomarańczowe sofy i szokujące nowoczesnym kształtem srebra, a także surrealistyczne płótna zniknęły, padając łupem złodziejskiej szajki, dla której ona stanowiła parawan. Z czasem jednak zaczął w to powątpiewać. Polly miała bardzo dobry smak: narzuty na dziecięcych kołderkach przełożyła na drugą stronę, w odcieniu starego złota, i nie raziły go już więcej jaskrawą żółcią, gdy wchodził do pokoju chłopców, by ich ucałować na dobranoc. (Wypełniał skrupulatnie wieczorny rytuał, dobrze sobie zdając sprawę z tego, że dzieci tylko udają, że śpią. A niby dlaczego jego rodzina miałaby się różnić od reszty świata, czemu miałaby być mniej zakłamaną?) I chociaż dobry smak nie stanowił żadnej naturalnej przeszkody w działalności przestępczej, to również do niej nie predestynował. Przeciwnie. Ktoś wrażliwy, o

wyrobionym guście już prędzej mógł stać się ofiarą - obrabowanym, a nie złodziejem. Zaufanie sędziego do Polly rośnie. Podobał mu się sposób, w jaki ucinęła dziecięce sprzeczki: brała wtedy chłopców pod pachę i szybko unosiła poza zasięg jego uszu.

Aż wreszcie za sprawą masła orzechowego Polly Patch podbiła mu serce. Otóż sędzia Bissop wprowadził w swoim domu zgoła irracjonalny zakaz jedzenia tego przysmaku. Zawsze drażnił go i doprowadzał do szewskiej pasji brak inteligencji tych, z którymi los stykał go w pracy i w życiu, czyli faktycznie całej reszty świata. Ostatnio dość nierozważnie kilku statystyków zwróciło mu uwagę na wyniki badań dotyczących przyczyn zbrodni w społeczeństwie. Jasno z nich wynikało, że większość przestępców objada się masłem orzechowym.

Takie bzdurne statystyki irytowały go i rozwścieczały - dla sędziego było oczywiste, że wpłątane w całą historię masło konsumują więźniowie oczekujący w areszcie na proces, ponieważ stanowi ono podstawowy składnik więziennego jadłospisu.

W taki oto sposób sama istota przestępczości została przez autorów tego szczególnego studium całkowicie pominięta, skupiono się bowiem tylko na analizie przyczyn popełniania występków. Kiedy zespół obrońców przedkładał takie czy inne, zgodne z linią obrony, lecz urojone statystyki, by przedstawić swoich klientów w korzystnym świetle względnie przerzucić ich winę na społeczeństwo - adwokaci mieli bowiem w zwyczaju odpowiedzialnością za wszystko obarczać: bezrobocie, zatruwające mózg skażone środowisko, marne wyżywienie, brak wykształcenia, nadużycia władzy - sędzia przyglądał im się z uwagą i wypalał: - W moim domu nigdy nie jadamy masła orzechowego. Nie chcę, żeby moje dzieci wyrosły na kryminalistów. - Obrońcom na ogół wówczas głos zamierał, a cała misternie przemyślana konstrukcja rozsypywała się w pełnej zakłopotania ciszy. Ten ulubiony dowcip sędziego wcale nie wydawał się śmieszny.

Pan Bissop mógł żywić tylko nikłą nadzieję, że pewnego dnia jego żona Maureen zbuntuje się przeciw domowym sankcjom nałożonym na masło orzechowe i opowie się za tym dziecięcym przysmakiem: skrytykuje podsunięte jej statystyki i zmusi go do wysiłku argumentacji. Nigdy tego nie uczyniła, podobnie zresztą jak i adwokaci. Widocznie były to zbyt wygórowane żądania. Dlaczego niby miała się wykazać większą inteligencją niż doskonale wyszkoleni prawnicy? Pomimo tego on niedowierzająco kręcił głową, w głos ubolewał nad jej kompletnym brakiem pojęcia w tej sprawie i za karę pozbawił dom masła orzechowego.

Z biegiem lat pani Bissop stawała się coraz bardziej zgodna, uległa i wyraźnie unikała wszelkich dyskusji. Czuł, że z powrotem zamienia się w dziecko: podczas gdy inni dorośleli, ona dziecinniała. Dręczyły go obawy, że pewnego dnia sam posunie się do tego, że wetknie jej w buzię garść soli, jak gdyby była jego córką, nie żoną. Próbując utrzymać ją w kondycji prawidłowo funkcjonującej dorosłej kobiety, a nie istoty szybko cofającej się w rozwoju do stadium dziewczynki przed dojrzewaniem, nakłaniał ją do intensywnych praktyk seksualnych. Przynajmniej w ten sposób tłumaczył to później Polly. Tak długo, jak długo drażnił językiem jej sutki, piersi nie zanikały. Tak długo, jak długo skręcał, nawijał na palce i leciutko szarpał włosy na jej łonie, one wciąż rosły. Robił więc to wszystko dla jej dobra.

Innego rodzaju kłopotliwym obciążeniem, związanym z zawodem sędziego - objaśniał Polly - był szukający ujścia sadyzm. Ten sam przeszywający, połączony z przyjemnością ból, wywołany opisem gwałtownej śmierci lub jakiegoś paskudnego wypadku, przenikał lędźwie słuchaczy, jak i tych, którzy zostali upoważnieni czy wręcz zobowiązani, aby ferując wyroki, zadawać innym ból.

Sędziowie i ława przysięgłych byli na ogół ludźmi w podeszłym wieku i słabego zdrowia. A zatem napięcia seksualne, jak i konieczność ich rozładowania przechodziły nie zauważone. Sędzia Bissop należał jednak do mężczyzn pełnych temperamentu i aktywnych seksualnie, jego żona zaś była zdana na łaskę i niełaskę wykonywanego przezeń zawodu.

Podobnie jak żona lekarza jest zobowiązana do odbierania telefonów, a żeglarza powinna pogodzić się z jego stałą nieobecnością, tak żona sędziego musi znosić jego okrucieństwo.

Sędzia Bissop zarówno w jej, jak i we własnym interesie starał się w ciągu tygodnia uporać ze sprawami z całego miesiąca. Pod koniec takiego tygodnia pracy pani Bissop była w opłakanym stanie; liczne siniaki i skaleczenia nie pozwalały jej zejść na dół na śniadanie. Miała wszakże przed sobą trzy tygodnie na wyleczenie i rekonwalescencję. Pomysł sędziego, jak widać, nie był całkowicie niedorzeczny.

Skoro odpowiadał jej status i pieniądze, jakie niosła ze sobą pozycja małżonki przedstawiciela prawa, musiała również pogodzić się ze złymi stronami tej sytuacji.

Sędzia zwierał się z tych i wielu innych spraw Polly Patch. Nabrał do niej całkowitego zaufania po tym, jak zręcznie poradziła sobie z zagadnieniem masła orzechowego. Gdy dzieci były już w łóżkach, a pani Bissop szła na górę, aby wziąć długą gorącą kąpiel, oni rozsiadali się

na fioletowych kanapach przy migocącym gazowym płomieniu na kominku.

- Musisz się dziwić, dlaczego nie pozwałam jeść u nas w domu masła orzechowego - prawdopodobnie tak ją zagadnął. - Otóż powód jest taki, że większość osób oskarżonych o popełnienie brutalnych przestępstw jadała je w dużych ilościach.

Polly Patch zastanowiła się chwilę. - Być może - powiedziała - bierze się to stąd, iż ludzie, którzy stają przed sądem oskarżeni o szczególnie brutalne zbrodnie, niejednokrotnie spędzają najpierw długie tygodnie, miesiące, a nawet lata w areszcie. Wiadomo, jak bardzo przepełnione są więzienia, a tanie i bogate w białko masło orzechowe stanowi podstawę ich wyżywienia. Ani tu, w domu, ani tam, gdzie bierze się pod uwagę okoliczności zbrodni, nie odgrywa ono żadnej roli. Zapewniam, że można je spokojnie pozwolić jeść dzieciom!

Sędzia z serdeczną skwapliwością pochwyił jej dużą dłoń. Wiedział, że teraz może jej całkowicie zaufać. Zwracała uwagę na sedno sprawy, na istotę tego, co zostało powiedziane, a nie na pozycję rozmówcy. Takie zachowanie należało do rzadkości i za to ją cenił. Pomyślał nawet, że gdyby Maureen nie była jego żoną, mógłby równie dobrze zdecydować się na Polly Patch.

- Jak przyjemnie byłoby mieć u boku kogoś bliskiego, kto by nie czuł przede mną strachu - zaczął się zastanawiać. Odpowiadało mu również to, że byli jednakowego wzrostu. Znał siebie i wiedział, jaką satysfakcję przynosi mu zniecanie się nad słabszymi, a większość do nich należała, zwłaszcza kobiety. Teraz sędzia był gotów omawiać z Polly wszystkie sprawy sądowe. Odkrył, że ferowanie wyroków nie ciąży mu już tak bardzo i mniej go rozdrażnia seksualnie. Zaczął lepiej traktować żonę i pozbył się dręczącego niepokoju, popadając zarazem w łagodną melancholię, która była znacznie przyjemniejszą wersją napięcia emocjonalnego; usposabiała jednak bardziej do kontemplacji niż działania.

- Góra, dół. Wzloty i upadki - mówił ze smutkiem. - Suma ludzkiego nieszczęścia jest zawsze taka sama. A do sędziego należy, aby tam, gdzie jest najgorzej i sytuacja sięga dna, odmienić ją na lepsze. Czy to możliwe, żeby wszędzie było sprawiedliwie? Jeśli tu sprawiedliwość weźmie górę, gdzie indziej przegra, jest bowiem jak huśtawka, a ja stanowię jej podporę. Kiedy obiektywizm znajdzie się po jednej stronie, a pani Bissop po drugiej, czy opadnie ona w dół bez większego wstrząsu?

Opowiedział Polly historię kobiety, która przez trzy lata usiłowała zabić męża, podając mu truciznę o powolnym działaniu. Mąż swoim okrucieństwem zabijał ją znacznie dłużej: sześć czy nawet siedem lat. Po raz pierwszy podała mu truciznę w dniu, w którym rozpoznano u niej raka. Nowotwór się cofnął w dniu śmierci męża. Co Polly o tym sądzi? - pytał sędzia.

Oczy Polly dziwnie błyszczały, gdy odpowiadała, że śmierć przyjdzie w końcu po każdego i ważny jest jedynie sposób, w jaki się żyje.

- Gdyby zmieniła linię obrony i przyznała się do niepoczytalności, ostatecznie mógłbym ją odesłać pod opiekę szpitala dla nerwowo chorych stwierdził sędzia. Według Polly nie był

to dobry pomysł. Wdali się więc w żywą dyskusję, który z pary morderców powinien zostać skazany i na jak długo: siedem, pięć czy trzy lata więzienia (dziwnym trafem w przypadku morderstwa posługiwano się nieparzystymi liczbami przy określaniu wyroku). Premedytacja obciążała kobietę, prowokacja przemawiała na jej korzyść. To, że prawo pociąga za sobą egzekucję kary, musi być wyraźnie podkreślone, w przeciwnym razie kraj byłby pełen martwych mężów. Kara jednak nie powinna być zbyt surowa, wówczas bowiem zmarłe żony staną się większym niż dotychczas problemem.

Zapadł wyrok trzech lat więzienia. W komentarzach sędziego widać było jednak pewne oznaki sympatii kierowane pod adresem skazanej, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zapowiadało możliwość jej wcześniejszego zwolnienia warunkowego.

- Wydanie wyroku ma wiele wspólnego z oceną pracy pisemnej - zauważyła Polly Patch.
- Piątka, czwórka minus, trójka z dwoma plusami, trójka minus i tak dalej.

- No, prawie - zgodził się sędzia - jest jednak znacznie bardziej podniecające.

Już na samym początku pracy w domu sędziego Polly Patch poprosiła o czas wolny, aby mogła chodzić do dentysty. Z każdej wizyty wracała z wyrwanym albo spiłowanym do kości zębem.

- Mam nadzieję, że chodzisz do dobrego dentysty - mimochodem zauważyła pani Bissop, zastanawiając się przy tym, czy te wizyty w ogóle są konieczne, ponieważ duże zęby Polly sprawiały wrażenie zdrowych i mocnych. Nie mogła jednak dopytywać się o to zbyt natarczywie, aby jej nie spłoszyć i nie urazić. Tym razem pragnęła, aby nowa pomoc domowa została z nimi na zawsze, i to zarówno ze względu na męża, który ją najwyraźniej polubił, jak i na dzieci, szczęśliwe i zdrowo chowające się pod jej opiekuńczymi skrzydłami. Życie domu toczyło się teraz bez zakłóceń, a sędzia po rozmowach z Polly znacznie mniej denerwował się pracą. Poza tym pozostawiał wreszcie ją, panią Bissop, w nocy w spokoju, zapomniawszy o swych skłonnościach do używania przemocy. Widocznie też z tego powodu - gdy minęło upokorzenie związane z faktem, że mąż woli rozmawiać ze służącą niż z własną żoną - poczuła właściwie wdzięczność.

- To najlepszy dentysta w mieście - niezbyt wyraźnie odpowiedziała Polly - a z całą pewnością najdroższy.

- Co on ci właściwie robi? - ostrożnie zapytała pani Bissop.

- Z myślą o przyszłości kazałam sobie przemodelować szczękę - wyjaśniła.

Biedactwo - pomyślała żona sędziego - marny z tego będzie miała pożytek. Jeśli linia szczęki zostanie cofnięta, jej brwi wydadzą się jeszcze bardziej frankensteinowskie. - Mam nadzieję, że masz rację, próbując poprawić naturę - dodała wciąż pełna wątpliwości.

- Nie jest to sprawa racji - odparła gładko Polly. - Po prostu tak sobie postanowiłam. Irytuje mnie tylko, że wszystko tak długo trwa, ale staram się ten czas właściwie wykorzystać.

- Bóg nas zesłał na świat w pewnym z góry określonym celu - zauważyła pani Bissop. - Powinniśmy pogodzić się z tym, czym nas obdarzył, z kształtem naszego nosa, zębów i tak dalej.

- Zamiary Boga są dla mnie zbyt tajemnicze - odrzekła służąca - i już dłużej nie zamierzam się z tym godzić.

Pani Bissop została wychowana w przeświadczeniu, że obowiązkiem kobiety jest umiejętność przystosowania się do czasów, w jakich przyszło jej żyć, i do gospodarstwa domowego, jakie zamieszkuje. Bóg bowiem realizuje swoje zamiary poprzez zgodę i przyzwolenie pokornych ludzi głębokiej wiary, nie ma więc powodu, by się o tamte sprawy wyklócać. Przeżegnała się ze zgrozą, po części dlatego, że nie chciała utracić Polly. Dopóki dzieci nie będą się jej bały - powiedziała sobie w duchu - jestem w stanie znieść wszystko.

Chłopcy zaś wyglądali na bardzo szczęśliwych. Szczęśliwa szczeka opiekunki wzbudzała ich nieklamany entuzjazm: zaglądali w ciemną jamę jej ust piszcząc z uciechy. - Tam mieszkają demony - mówili. - Smoki i demony. - I brali się do malowania rozmaitych

straszydeł, a rysunki Polly wieszała na ścianach. Panią Bissop z pewnością martwiłyby ich koszmarne sny, ale nic złego się nie działo. Nocą cały dom pogrążony był w spokojnym śnie sędziego, jego żony, niani i dzieci.

Dzieci szły do łóżka o ósmej, pani Bissop podążała ich śladem około dziesiątej. Sędzia i Polly zostawali razem przy płonącym na kominku ogniu do północy. I doszło do tego, do czego dojść wreszcie musiało.

Do rąk sędziego trafiła właśnie szczególnie interesująca sprawa, którą zamierzał w całości przedyskutować z Polly. Ciągnęła się już miesiącami, w czasie których adwokaci usiłowali przygotować linię obrony, ale zupełnie im to nie szło. Żona pozwanego, jak tę osobę można określić według prawa zwyczajowego, nie przestając wściubiać swojego nosa, odprawiała nieudolnych adwokatów i wynajęła innych.

- Lojalność kobiet jest zdumiewająca - powiedział sędzia. - Im gorszy mężczyzna, tym bardziej zaślepiona kobieta. Zauważyłem to już wielokrotnie.

Sprawa dotyczyła księgowego oszukującego swoich klientów, co prawda na niewielką skalę, ale od lat. Nie płacił odsetek od powierzonych mu funduszy, które niewiarygodnie długo przetrzymywał. Wśród księgowych była to dość powszechnie stosowana praktyka. Wielka pokusa czyhała na nich zwłaszcza wtedy, gdy obracali dużymi sumami, choć cały proceder był oczywiście z punktu widzenia prawa nielegalny. Później nieuczciwy urzędnik posunął się do czegoś znacznie gorszego, mianowicie zainwestował powierzone mu sumy. Puszczając je w szybki obieg, spekulował na kursach walut. Wiele ryzykował, ale na szczęście miał przy tym pewną smykałkę - jakaś niesamowita intuicja podpowiadała mu, w jakim kierunku pójdą kursy. Klienci naturalnie nic z tego nie mieli: wszelkie zyski znikwały z ksiąg rachunkowych i przypuszczalnie przepadały w jego kieszeni.

Księgowy utrzymywał jednak, że jest całkowicie niewinny i że nie on dopuścił się tych wszystkich malwersacji. Twierdził, że ktoś sfałszował jego księgi. - Ci przestępcy w białych kołnierzykach - dodał sędzia - zawsze obstają przy tym, że są niewinni. Wierzą w swoje umiejętności mydlenia oczu całemu światu. Prości robotnicy przeciwnie, są zbyt skorzy do przyznawania się do winy: niekiedy nawet zupełnie niepotrzebnie zdają się na łaskę sądu.

Dom księgowego spłonął, a wraz z nim wiele kartotek i rejestrów, co rzecz jasna znacznie skomplikowało sprawę.

- Co za sprzyjający zbieg okoliczności - zauważyła Polly i oboje porozumiewawczo się uśmiechnęli.

- Bezczelność tego człowieka nie miała granic - opowiadał dalej. - Gdy jego wcześniejsze defraudacje przeszły nie zauważone, zaczął działać na większą skalę. W czasie kilku miesięcy przeniósł znaczne sumy, sięgające milionów dolarów, na własne konto, a stamtąd na rachunek w banku szwajcarskim pewnej młodej kobiety, z którą miał romans.

- Kochanki! - sprostowała Polly. - Domyślam się, że pod zmienionym nazwiskiem zamierzał rozpocząć z nią nowe życie?

- To oczywisty wniosek.

- A co się stało z jego nieszczęsną żoną? - dopytywała się służąca.

- Zniknęła w jakiś czas po pożarze domu.

- Co za sprzyjający zbieg okoliczności - powtórzyła. - Uważam, że facet i tak ma szczęście, że będzie odpowiadał tylko za nadużycia, a nie za podpalenie domu czy morderstwo.

- Mężczyzna o dużym temperamencie seksualnym... - zaczął sędzia. Wyciągnął przed siebie swoje mało używane kończyny, jednocześnie przyglądając się masywnym, pokrytym meszkiem nogom Polly. Nosila białe skarpetki i białe puszyste kapcie, ostro kontrastujące z jej ciemną skórą i ogólnym brakiem puszystości. Prowokowała go do rozważań nad granicą rzeczywistości i ułudy, faktu i sztuczności, utrzymując jego umysł w pełnym napięciu

zaciekawieniu, które mógł jedynie rozładować - zaczynał to wyraźnie widzieć - gwałtowny kontakt fizyczny, pewien rodzaj seksualnego zniewolenia.

- Kiedyś wreszcie opuścił żonę i przeniósł się do kochanki, autorki bulwarowych romansów. Muszę zapytać żonę, czy któregoś z nich nie czytała. Przez cały czas planował swój wspaniały odlot: nowe życie z kimś zupełnie innym za pieniądze swoich klientów.

- Nie przemawia to na jego korzyść - zauważyła.

- Oczywiście, że nie - potwierdził, wpatrując się w jej okazały biust.

- Czy coś mu nie wyszło?

- Musiało się stać coś nie przewidzianego. Prawdopodobnie jego szwajcarska panienska związała z pieniędzmi, a może zbyt długo czekał na jej telefon. Tego się nigdy nie dowiemy. W sprawę wdali się biegli księgowi, nabrali podejrzeń, zawiadomili policję. No i wyszło sztydło z worka.

- Nigdy nie wierz kobiecie - odezwała się Polly Patch.

Sędzia czuł pewien rodzaj zadowolenia, że Polly jest trochę staroświecka i cierpliwie znosi seksualne aluzje, które według niego ożywiały rozmowę i wywoływały miłe iskrzenie między płciami.

- Naturalnie jest to pole do popisu dla prokuratora - stwierdziła.

- Tak przypuszczam - powiedział sędzia. - Obrona zamierza jednak solidnie się napracować, aby znaleźć jakiś punkt zaczepienia w oskarżeniu i odeprzeć choćby część zarzutów.

- Mam nadzieję, że nie doprowadzi to do jego uwolnienia - zaniepokoiła się Polly. - Sprawia wrażenie niesympatycznego i bardzo niebezpiecznego osobnika.

Sędzia wpatrywał się w ciemny otwór w jej twarzy. Mówiła bardzo niewyraźnie. Żona zapewniła go, że gdy tylko Polly zagoją się dziąsła, będzie mogła wstawić sobie sztuczne zęby na czas oczekiwania na operację plastyczną, podczas której jej szczęka zostanie zmniejszona o siedem centymetrów. Sędzia miał nieodpartą chęć, aby o tym z nią pomówić.

- Czy to boli? - zadał w końcu pytanie.

- Oczywiście, że boli - odpowiedziała. - Musi boleć. Wszystko, co jest coś warte, ma swoją cenę. I wniosek z tego, taki, że jeśli człowiek jest gotów odpowiednio zapłacić, to wszystko może osiągnąć. W tym wypadku płacę własnym bólem. Mała syrenka Hansa Andersena, aby zdobyć miłość księcia, chciała pozbyć się rybiego ogona. Jej życzenie się spełniło, ale nie pasujące do tułowia nogi przy każdym kroku sprawiały jej ból, jakby stąpała po ostrzach noży. A czego się spodziewała? Taka była cena, jaką przyszło jej zapłacić. Przyjmuję więc wszystko spokojnie i nie narzekam.

- Czy księżę ją pokochał? - spytał.

- Na pewien czas - odparła. Blask ognia zamigotał w ciemnych włosach, nadając im czerwony odcień. Sędzia ujął jej rękę w swoją dłoń. Wydawało się, że powinna być ciepła, poczuł jednak chłód. Polly skierowała znów rozmowę na temat księgowego. - Ci najbardziej godni zaufania ludzie - powiedziała - mają najwięcej na sumieniu, grzeszą najciężej, zawodzą bowiem pokładane w nich zaufanie.

- Narażeni też są na większe pokusy - odezwał się. - Sprawiedliwość zawsze musi współbrzmieć z miłosierdziem i zrozumieniem.

- A jak wielkie miłosierdzie on okazał swoim klientom? - zapytała, a jej palce z zaskakującą delikatnością poruszały się wewnątrz jego stulonej dłoni. - To byli pisarze, artyści, ludzie nie umiejący zadbać o swoje interesy w tym okrutnym świecie.

Sędzia, który często widywał przed sobą pisarzy w roli plagiatorów lub osobników łamiących prawo autorskie, nie był pewien, czy zasługują na tak wielkie współczucie.

- Na ile go pan skaże? - chciała wiedzieć. Siedzieli teraz bliżej siebie i jego szczupłe, odziane w szarą flanelę udo przylegało ściśle do jej solidnego szerokiego boku. W każdej chwili jednak mogła wrócić z kąpieli pani Bissop.

- Na rok - odparł - lub coś koło tego.

- Rok lub coś koło tego! A tamtą nieszczęsną umierającą kobietę skazał pan na pełne trzy lata! Zasłużył sobie na znacznie więcej. Człowiek na stanowisku, jakie powierza się tylko wybranym, zaufanym i odpowiedzialnym osobom, z zimną krwią oszukuje, defrauduje, sprzeniewierza i do tego bezczelnie drwi sobie ze społeczeństwa, które nie uczyniło mu nic złego, a jedynie pomagało. Tym wyrokiem wywołał pan powszechne oburzenie! Nigdy nie doczeka się pan tytułu Najwyższego Sędziego, bo jest pan zbyt łagodny i wyrozumiały!

- No tak, ale - zająknął się sędzia - rok dla człowieka pochodzącego z klasy średniej, nawykłego do pełnego wygód życia i wysokiej pozycji społecznej, to jak pięć lat dla kogoś innego. Jego pamięć obciążyła go zawsze doznane upokorzenie, rozpad rodziny, utrata przyjaciół, zarobków, wszystkiego.

- Prości ludzie - argumentowała Polly - bywają porywczy i na ogół błędzą przez przypadek. To ci z klasy średniej grzeszą świadomie. Sankcje karne wobec nich powinny być podwójne, a nie zmniejszone o połowę.

Swoją drugą dłoń położył jej na ustach, aby powstrzymać ten potok słów. Uniósł się przy tym z fotela i pochylił nad nią. Kiedy miała zakryte usta, mniej był narażony na to, że pochłonie go owa czarna otchłań.

Chcąc się uwolnić, odepchnęła go delikatnie i stanęła tyłem do ognia. Jej ciemna sylwetka rysowała się na tle skaczących iskier. Ogień nagle buchnął za nią wielkim płomieniem i z trzaskiem się rozpałił.

- Musi pan słuchać, co mówię - napomniała go. - Jestem głosem ludu, jestem mu tak bliska, jak pan nigdy nie był.

- Ależ słucham - odpowiedział. A ona stała w świetle padającego od kominka blasku niczym Statua Wolności na nowojorskim wybrzeżu czy posąg Sprawiedliwości w londyńskich sądach. Ucieleśnione prawo ujęte w solidną formę. Zauważył ścisły związek pomiędzy nią a tym, o czym mówiła.

Weszła pani Bissop w granatowej frotowej podomce, której wprost nie znosił.

- Maureen - syknął sędzia - idź do łóżka!

Ona jednak spokojnie zapytała, czy nie mogłaby z nim pozostać przez chwilę sama na sam. Polly Patch uprzejmie opuściła pokój.

- Proszę, nie rób głupstw - powiedziała. - Polly może odejść i co ja wtedy pocznę? Tak bardzo mi na niej zależy.

- Moja droga - rzekł sędzia - to ja proszę, aby do mnie należała decyzja o tym, co jest dla ciebie najlepsze.

Uspokojona pani Bissop poszła położyć się do łóżka, a sędzia zabrał Polly do słuźbówki, gdzie spędził z nią dwie godziny. Był rozsądnym mężczyzną i tylko tyle czasu w ciągu nocy mógł przeznaczyć na zabawy erotyczne, bo rano musiał być przecież świeży i wypoczęty. Polly jak zwykle okazała się wyrozumiała i nie nalegała, by został.

Następnego ranka, niezmiennie stanowcza i pogodna, usługiwała podczas śniadania wycierając buzie i odnajdując zagubione sznurowadła. Pani Bissop zaś miała za sobą dobrze przespaną noc, nie zakłóconą przez mężowskie ekscesy, i jej liczne sińce, otarcia i potłuczenia miały szansę zacząć się goić. Wybrała się nawet do miasta, do fryzjera, co nieoczekiwanie podniosło ją na duchu.

Sędzia, który znalazł w Polly spolegliwą w sprawach seksu partnerkę, wyzbył się poczucia winy, ba, przestało mu się wydawać, że robi coś złego. Niemal był szczęśliwy. Nawet dał większą swobodę dzieciom, które mogły się teraz bez przeszkód bawić w ogrodzie, albowiem nie drżał już nerwowo w obawie o każdy krzak i o to, że grając w piłkę połamią kwiaty. Widział, że żona z powrotem popada w stan zdziecinnienia, ale za bardzo się tym nie przejmował. Postanowił natomiast równomierniej rozplanować w miesiącu swoje sesje sądowe. Personel, początkowo speszony zmianami, szybko się przystosował do nowych zasad

pracy. W nocy u boku Polly Patch sędzia spędzał godziny na ciężkich, ale przyjemnych zajęciach: przywiązywał ją za ręce i nogi do łóżka i bił starą bambusową trzepaczką.

- Czy sprawiam ci ból? - pytał.

- Oczywiście, że tak - uprzejmie odpowiadała.

- Nie jestem sadystą - oznajmił pewnego razu. - To jedynie efekt uboczny mojej pracy.

- Rozumiem - przytakiwała. - Doskonale rozumiem. Oczekuje się od pana rzeczy niemożliwych i to jest pańska odpowiedź.

Prawie ją kochał! Uważał, że jest niezwykle mądra.

Pani Bissop doszła do wniosku, że fiolet jest rzeczywiście zbyt jaskrawy i wymieniła wszystkie dywany na inne, z osiemdziesięciu pięć procentowej wełny w kolorze zgaszonej czerwieni. Nie upłynęło wiele czasu, a całe gospodarstwo przybrało bardziej zwyczajny wygląd i upodobiło się do innych domostw w sąsiedztwie. Pominąwszy naturalnie to, co nocą wyprawiało się w służbówce. Pani Bissop mogła nawet odnowić swoje kontakty towarzyskie, ponieważ podejrzliwość męża wobec jej przyjaciół wyraźnie zmalała. Nie był już w tak oczywisty sposób przekonany, że wszyscy się z niego wyśmiewają lub robią pamięciowe notatki na temat rozkładu domu, aby go potem swobodnie okraść.

W końcu wypłynęła kwestia zwolnienia księgowego za kaucją: Polly Patch ostro się temu sprzeciwiła.

- Ale on tkwi już w więzieniu od roku - zauważył sędzia. - I do tego bez procesu.

- Wszyscy wiemy, że jest winny - odparła. - I ciąży na nim znacznie poważniejsze zarzuty niż tylko nadużycia. Lepiej niech pan zachowa współczucie dla tych, którzy naprawdę na nie zasługują: dla przykładowych członków rodziny, prostych robotników działających pod wpływem impulsu, dla tych, którzy nie potrafią dotrzymać słowa i dlatego mało prawdopodobne, aby stawili się na procesie. Im wszystkim kaucja jest bardziej potrzebna. I czy w ogóle jest możliwe, aby ten człowiek wywiązał się ze swoich zobowiązań?

- Pieniądze mają zostać wpłacone przez jego kochankę, ta kobieta wydaje na niego fortunę. Jeśli więc on potrafi wywołać taką jej reakcję, nie może być całkiem zły.

- Jest dokładnie na odwrót - powiedziała: - Kochała go, a on ją zdradził. Zrobiłby to zresztą ponownie. Żył z nią, a sypiał z innymi kobietami. Postanowił ją porzucić. W jaki sposób może być jeszcze teraz dla niej wiarygodny? Nie! Powinien pan zaoszczędzić jej wydatków. Żadnej kaucji, to moje ostatnie słowo. Przecież on może zwyczajnie ująć sprawiedliwości.

Prośba o kaucję została przez sędziego oddalona. Bobbo wrócił do więzienia, by dalej czekać na proces.

Dentysta wstawił Polly rząd lśniących zębów, które miały jej służyć przez jakiś czas. Mówiła znacznie wyraźniej niż przedtem. Dokładna artykulacja Polly zasmuciła sędziego, zdążył już bowiem polubić głucho dudniący dźwięk, jaki od czasu do czasu dobywał się z ciemnej czeluści jej gardła. Niekłamaną przyjemność sprawiło mu wsuwanie języka w rozpadliny po wypilowanych koronach i przesuwanie go nad niewielkimi wypukłościami, do jakich zostały zredukowane jej zęby trzonowe. No cóż, postąpiła, jak chciała, a on musiał przyznać, że jej obecny, zwyczajny wygląd bardziej pasuje do reszty domowników i gospodarstwa.

Niekiedy zastanawiał się, skąd się wzięła i jakie są jej zamiary. Nadmiernie jednak sobie tym głowy nie zaprzętał. Był przyzwyczajony, że ludzie pojawiający się przed nim w ostrym świetle sądu wyłaniają się z nicości, po czym znów wtapiają się w szarość. Możliwe, że zwyczaj sędziego do stawiania tylko kilku pytań wiązał się z charakterem jego zawodu, ale równie dobrze mógł nie mieć z tym nic wspólnego. Nie miał dociekliwego umysłu, nie był mu potrzebny. Czekał, aż fakty przemówią same za siebie. Nie próbował ich szukać, bo robili to za niego inni.

Którejś nocy Polly powiedziała mu, że wszechświat iluminuje energia seksualna, która niczym pochodnia musi płonąć w jego najciemniejszych zakamarkach, aby nie było wstydu, winy i wojny. Oznajmiła mu również, że ból i przyjemność są jednym i tym samym, a podstawowym prawem każdego jest dążenie do urzeczywistniania swoich pragnień.

Chrapliwe, ostre w tonie słowa, jakie dobywały się z otchłani jej ust (zęby zostały zwrócone dentyście do poprawki), miały ogromną siłę. Przyszło mu na myśl, że to oracja z piekła rodem: z Hadesu, a nie z niebiańskiego Olimpu. We wzniosłych sferach Olimpu, gdzie dorastał, mówiło się o cierpieniu duszy, jeśli zmysły bywały zaspokojone. Polly Patch nigdy by się z tym nie zgodziła. Twierdziła, jakby zawarła pakt z samym diabłem, że zmysły i dusza stanowią nierozzerwalną całość, toteż sycąc jedno, zaspokajają się drugie.

Polly Patch zastosowała surową dietę, przewidującą jedynie osiemset kalorii dziennie. Na wadze jednak nic a nic jej nie ubywało. Nikt nie mógł tego pojąć. Pani Bissop przestrzegając tej samej diety w ciągu miesiąca straciła sześć i pół kilograma. Wychudła tak bardzo, że sędzia znów poczuł przyływ pożądania. Im gorzej wyglądała, tym bardziej go to podniecało. Jej krzyki były jednak tak głośne, że zdecydował się powrócić do służbówki i mającej więcej stoickiego spokoju, bardziej uległej mu Polly.

Wreszcie na wokandzie stała sprawa księgowego i rozpoczęły się wstępne przesłuchania. Atmosfera wokół niej nie była jednak najlepsza: postawa oskarżonego drażniła i budziła gniew, a o współpracy z nim nie było mowy. Nie chciał nawet policji udzielić podstawowych informacji na temat ewentualnego miejsca pobytu współniczki, co naturalnie uniemożliwiało odzyskanie skradzionych pieniędzy. A przecież było wiadomo, że przez pewien czas pracowała u niego w biurze, po czym została zwolniona, przypuszczalnie dlatego, aby zamydlić oczy personelowi. Opuściła męża i poleciała do Lucerny, gdzie ślad po niej zaginął.

- Jak on się prezentuje na ławie oskarżonych? - spytała Polly Patch.

- Nienadzwyczajnie - odparł sędzia Bissop. - Ma wygląd człowieka od lat przebywającego w więzieniu i ziemistą cerę.

- Biedaczysko. Zapewne niegdyś objadał się kawiozem i wędzonym łososem - zauważyła.

- Oszczędź mu swojego współczucia. To bezwzględny i pozbawiony skrupułów facet. Uczepił się tej swojej historii i trwa przy niej uparcie.

- Na ile zostanie skazany?

- Proces jeszcze się nie zaczął. Nie wiem, co powiedzą ławnicy. Myślę, że mógłbym zgodzić się na pięć lat.

- Za mało - stwierdziła. - To nie wystarczy.

- Na co nie wystarczy? - drażnił się z nią. Trzymał trzepaczkę tuż nad jej pośladkami.

Kiedy opuścił ją w dół i potem ponownie podniósł, zobaczył, że ciało Polly znaczy wzór równiutko odbitych pręg.

- Nie wystarczy dla moich planów - odpowiedziała.

- A co powiesz na siedem lat?

- To już jest coś! - powiedziała z aprobatą, a on z taką siłą opuścił trzepaczkę, że wreszcie poczuła ból i jej głośny krzyk rozniósł się po całym domu. Chłopcy poruszyli się przez sen, pani Bissop lekko westchnęła śniąc, że jest przyprawą do zupy grzybowej w puszcze, podczas gdy w ciemnościach na zewnątrz pohukuje sowa.

- To dźwięk, jaki wydaje diabeł, kiedy opuszcza piekło! - zawołał sędzia, sycąc oczy widokiem jej posiniaczonego ciała. Cokolwiek wtedy mówił: o niej czy o sobie, nie był pewien, kto wypowiada te słowa. Zaczynało mu się wydawać, że i on przynależy do Hadesu, nie zaś do Olimpu. Sędziowie, tak jak przestępcy, muszą wykorzystać każdą szansę. Ból jednego człowieka bywa źródłem przyjemności drugiego. Nocą wbijał sobie do głowy to

przesłanie, zacierając podziały pomiędzy tym, co święte, a tym, co świętości pozbawione, pomiędzy białym i czarnym; znęcał się nad jej ciałem i znaczył je bliznami.

- Oczywiście - zwrócił się którejś nocy do Polly, nawiązując do sprawy księgowego, która teraz stała się już i jego obsesją - mogą go namówić, aby powołał się na swoją niepoczytalność, a wtedy dostanie nieokreślony wyrok w jakimś dobrze strzeżonym zakładzie dla obłąkanych i prawdopodobnie już nigdy nie wyjdzie na wolność. Być może jest to najlepsze, co można zrobić z kimś, kto jest nie tylko malwersantem, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa podpalaczem i mordercą.

- Myślę, że słabością systemu sądowniczego jest przyzwolenie, aby choroba umysłowa stanowiła rodzaj usprawiedliwiającej wymówki. Sędziowie muszą się zmierzyć z całym ludzkim złem. Nie mogą robić uników i uważać, że przestępstwa popełniają wyłącznie ludzie niepoczytalni. Osądzona musi być zbrodnia, a nie jej motyw. Zadaniem sędziego jest karać, a nie leczyć, naprawiać czy wybaczać.

Od dawna już sędzia Bissop nie słyszał równie jasno i zdecydowanie wyłożonych opinii. Potraktował słowa Polly jako zapowiedź nadchodzących zmian. Przez wiele lat w społeczeństwie przeważały poglądy lewicowe i publiczność w sądach krzykliwie domagała się surowszego karanie wykroczeń przeciw jednostce niż przeciw własności. Teraz znów sympatie przechyliły się bardziej na prawo, co oznaczało, że to własność i pieniądze będą na pierwszym planie, a nie ludzki ból i cierpienie. Sędzia nie ukrywał zadowolenia z takiego obrotu rzeczy.

Kiedy więc wreszcie doszło do procesu księgowego, uznał za fakt oczywisty i racjonalnie uzasadniony, że człowiek ten zasługuje na kilka odrębnych wyroków. Podczas rozprawy pojawiło się w sądzie dwoje dzieci tego mężczyzny: znudzone, przez cały czas żuły gumę i nie sprawiały wrażenia, aby interesowało je, co się stanie z ich ojcem. A sędzia nie mógł skojarzyć, kogo przypominają mu te zanedbane dzieci. Pomyślał tylko, że powinny się znacznie lepiej prezentować przy takiej okazji: być starannie uczesane, umyte i porządnie ubrane. Ich zachowanie i wygląd równoznaczne były z zuchwalstwem i lekceważeniem urzędu.

Wobec powagi zarzutów obciążających - wyrachowane, z premedytacją popełnione oszustwo przez osobę, którą społeczeństwo obdarzyło szczególnym zaufaniem - sędzia nie mógł, jak to przedstawił obronie podsumowując przebieg rozprawy, uwzględnić wyroku z zawieszeniem, nawet jeśli wziąć pod uwagę wszystkie miesiące spędzone przez oskarżonego w areszcie. Proces zaś ciągnął się tak długo z jego powodu, bo uporczywie odmawiał przyjęcia na siebie odpowiedzialności za popełnione czyny, nie podjął też żadnej próby naprawienia zła, a co więcej, odmówił udzielenia policji jakichkolwiek informacji na temat współniczki. Sędzia robił wszystko, by obrona nawet przez moment nie myślała, że ma do czynienia z łagodnym przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości. Był stanowczy i nieugięty, bo przecież wyrokował o winie człowieka bezwzględnie, który opuścił żonę i żył z dwiema, a może nawet trzema kochankami, stając się przyczyną wielu zmartwień. Choć życie prywatne obywateli jest ich własną intymną sprawą, a nie domeną sądu, to jednak ława przysięgłych ustalając werdykt powinna pamiętać, że brak odpowiedzialności w jednej sferze życia rzutuje na inne. Ponadto - podkreślił sędzia - własność jest zasadniczym punktem, na którym wspiera się cała struktura moralna społeczeństwa. Po tym stwierdzeniu rozejrzał się dyskretnie wokół, aby sprawdzić, czy reporterzy sądowi zdążyli zanotować to, o czym właśnie mówił. Zorientowawszy się, że tak się stało, poczuł wyraźne zadowolenie.

Sędziowie przysięgli wymaszerowali rzędem i niemal natychmiast stawili się na swych miejscach z powrotem.

- Winny - orzekł przewodniczący ławy przysięgłych.
- Siedem lat - oznajmił sędzia.

W niedługi czas po procesie Polly Patch rzuciła posadę u pani Bissop. Kiedy sędzia powrócił do domu z posiedzenia komisji nowelizującej przepisy prawne dotyczące aborcji - na ten temat miał wyrobiony pogląd; uważał, że powinna pozostawać w gestii państwa, a nie jednostki, i należałoby wprowadzić jej zakaz choćby dlatego, że dzieci pochodzące z białej klasy średniej, najchętniej adoptowane, najczęściej ginęły pod nożem chirurga - zastał żonę we łzach.

- Odeszła - zdołała powiedzieć. - Polly Patch odeszła! Przyjechał po nią samochód z szoferem i gdzieś ją wywiózł. Nie odebrała nawet tygodniówki.

- Nie należała się jej - odruchowo skomentował - skoro odeszła od nas bez uprzedzenia. - Ale i jemu błysnęły w oczach łzy, a za nim pochlipywały dzieci. Pograżeni w smutku, zbili się w jedną przytuloną do siebie gromadkę. Dane im było zaznać uczucia wzajemnej bliskości, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyli i jaką mieli zapamiętać na całe życie.

- Myślałam, że niebo ją nam zesłało - westchnęła Maureen Bissop.

- Albo piekło - mruknął sędzia. - Zastanawiam się niekiedy, czy piekło nie bywa przychylniejsze od niebios. - W sposób oczywisty zaczynał powątpiewać w bezgraniczną dobroć Boga.

Sędzia był już wtedy przygotowany do porzucenia prawa karnego na rzecz spraw podatkowych. Wpłynęło to uspokajająco na jego pożycie małżeńskie, czyniąc je cichszym, wręcz zwyczajnym. Zrezygnował również z zatykania dzieciom piaskiem ust, gdy były szczególnie marudne, czuł bowiem, że nie podobałoby się to Polly. Po jej odejściu oboje przeżyli szok, a i życie bez służącej stało się znacznie uciążliwsze. Zatrudnili więc nową, młodą dziewczynę do pomocy. Sędzia nalegał, aby nazywać ją Polly. Los na szczęście obdarzył ją urodą, jakiej poskapił imiennicze. Radosna drobna istota najwyraźniej ożywiła domostwo. Na jej cześć pani Bissop porzuciła wreszcie swoje dawne upodobania do ostrych, jaskrawych kolorów i zwróciła się ku delikatnym wzorom roślinnym, które miały nieodparty wdzięk.

Rozdział dwudziesty czwarty

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży i zastanawia się nad tym, co utraciła i za czym tęskni. Wiecznie siebie okłamuje: taki już ma charakter. Wierzy w to, że deszcz pada z powodu jej smutków, nawałnice szaleją, bo dręczą ją nie zaspokojone żądze, plony zaś przepadają, gdy ona odczuwa samotność. Mówią, że było to najgorsze lato od pół wieku, a ją to wcale nie dziwi.

Moim zdaniem, Mary Fisher cierpi na swój własny sposób, nieporównywalny z cierpieniem innych ludzi. Teraz na przykład odczuwa pewnego rodzaju rozdrażnienie. Jest udęczona, bo na jej barkach spoczywa ciężar wielu spraw, o których istnieniu nawet wiedzieć nie chciała - jej własna matka i dwoje dzieci. A wciąż zbyt mało doświadczyła tego, czego pragnęła: Bobba, seksu, adoracji i rozrywek.

Mary Fisher żyje w Wysokiej Wieży i odkrywa, że jedzenie straciło smak, a słońce nie grzeje jak dawniej, i jest tym zaskoczona.

A przecież to właśnie ona powinna więcej wiedzieć o życiu. Poznała już jego ciemne strony, gdy za sprawą matki, zajmującej się dorywczo prostytutką, znalazła się na marginesie. Potrafiła jednak to wszystko dokładnie wymazać z pamięci. Zawsze żyła iluzją, udając, że w rzeczywistości świat jest pozbawiony wad. Niczego się już nie nauczy i niczego nie zapamięta. Zaczęła właśnie pisać nową powieść zatytułowaną "Bramy pożądania".

Bobbo układa sobie nowe życie w więziennej bibliotece. Cierpi z powodu depresji, utraty wolności i braku Mary Fisher, a raczej pewnego fragmentu jej ciała, tego kawałeczka, gdzie nogi się łączą z tułowiem. Czasami wyobrażam sobie, że próbuje przywołać w pamięci

wyraz jej twarzy. Rysy Mary Fisher są jednak tak bardzo regularne, że ich przypomnienie sprawia mu trudność. Jest tak w każdym calu doskonała, aż rodzi się podejrzenie, czy w ogóle jest kobietą.

Czas mija i sprawy krok za krokiem zmierzają ku wyznaczonemu przeze mnie końcu. Nie ufam losowi i nie pokładam wiary w Boga. Zostanę, kim zechcę, a nie kim Bóg mi być przykazał. Kształtuję swój nowy wizerunek na wymyślony przeze mnie obraz i podobieństwo. Zbuntuję się przeciw Stwórcy i sama siebie stworzę.

Zrywam krępujące mnie pęta przyzwyczajenia, nawyku i pragnień przynależnych mojej płci: posiadania domu, rodziny, przyjaciół; wszystkiego, ku czemu w sposób naturalny kierują się uczucia. Dopiero wtedy poczuję się wolna i będę w stanie rozpocząć moje dzieło.

Usunięcie własnych zębów było pierwszym krokiem ku Nowemu Wcieleniu. Dentysta nie wyrwał mi ich wszystkich, tylko spiłował co drugi ząb. Ból był przy tym dotkliwy, znacznie gorszy od tego, jaki zadawał mi swego czasu sędzia. Tamte dni zatarły się w mojej pamięci, pozostając jedynie niemiłym wspomnieniem. Dobrze, że już nigdy więcej nie będę miała do czynienia z sędzią Bissopem.

"Il faut souffrir" - powiedziała mu kiedyś. Trzeba cierpieć, by osiągnąć to, czego się pragnie. Im śmielsze są nasze pragnienia, tym większym trzeba je okupić cierpieniem. Jeśli się żąda wszystkiego, należy się na wszystko przygotować. Najbardziej godni pożałowania są oczywiście ludzie, którzy cierpią bez sensu i na darmo, jak na przykład pani Bissop.

Chciałam, aby Bobbo otrzymał długi wyrok, taki jak ja, i przetrwał w stanie hibernacji do czasu, aż będę gotowa.

Niekiedy sama się dziwię, jak to jest, że potrafię być tak bardzo nieczuła i obojętna wobec jego przeżyć - nie powiem: cierpienia, ponieważ Bobbo nie marznie; ma pełny brzuch i nie ponosi żadnej odpowiedzialności jako mężczyzna: ojciec dwojga dzieci i ten, który spędził tak wiele czasu wewnątrz mego ciała. Ze zdumieniem jednak odkrywam, że trochę się tym wszystkim przejmuję. Nie jestem jeszcze stuprocentową diablicą, bo ona nie miewa wspomnień z przeszłości: każdego dnia rodzi się na nowo i interesuje ją wyłącznie terażniejszość, nie dba zaś o to, co było wczoraj. Jest wolna. We mnie wciąż pozostaje drobna cząstka kobiety. Diablica może się czuć bezgranicznie szczęśliwa, ponieważ jest odporna na ból, jaki niesie ze sobą pamięć. W akcie przemiany z kobiety w nie kobietę sama na sobie dokonuje zabiegu. Długą ostrą igłę pamięci wkłuwa w żywe ciało, prowadzi aż do serca i tam ją wypala. Straszliwy ból trwa przez jakiś czas, ale rychło ustępuje.

Spiwam więc hymn na śmierć miłości i kres bólu.

Spójrzcie, jak Mary Fisher skręca się i wije przyszpilona wspomnieniem doznanych rozkoszy. Jak ją to rani! Wyraźnie, zbyt wyraźnie słyszy, co mówią o niej mieszkańcy wioski. Nie ma teraz nikogo, kto by jej zasłonił uszy, czułym słówkiem odwrócił uwagę, a pieszczotą ukoił ciało. Ona słyszy nawet więcej, niż zostało powiedziane.

A w wiosce mówią, przynajmniej tak się Mary Fisher wydaje, że świadomie i z egoizmu postanowiła być bezdzietna i kto wie, czy w ogóle jest kobietą. Powiadają, że nie ma serca dla własnej biednej matki, którą przetrzymuje w zamkniętym pokoju, i jest okrutna wobec dzieci, dla których stała się złośliwą macochą. Mówią, że rozbiła małżeństwo, a niektórzy nawet utrzymują, że doprowadziła do samobójstwa zdradzoną żonę, bo czyż ta nieszczęsna kobieta nie zniknęła? To ona, Mary Fisher, zachłanna i niegodziwa, nakłoniła Bobba do przestępstwa. A potem, płonąć namiętnością do własnego lokaja, wściekła na kochanka, który poznał się na niej i o ślubie ani myślał, zdradziła go i wtrąciła do więzienia.

Mówią też, że tacy jak ona, przenosząc się w ich okolice, podbijają ceny nieruchomości, a miejscowa ludność nie jest w stanie sprostać rosnącym kosztom utrzymania we własnej wiosce.

Mary Fisher czuła się winna i żyła w przeświadczeniu, że inni myślą o niej to samo. Myliła się: słowa potępienia, które słyszała, pochodziły w istocie z jej wewnętrznego dialogu z samą sobą.

Niekiedy Andy i Nicola również wygadywali rzeczy świadczące, że nie mają o niej najlepszego zdania.

- Jeśli nie potraficie powiedzieć czegoś miłego - prosiła Mary - lepiej nie odzywajcie się wcale. - Ale ani Andy, ani Nicola nie brali sobie tych uwag do serca. Zawsze robili na przekór. Wyraźnie jej nie lubili, a i ona nie darzyła ich sympatią. Pamiętała jednak, że są dziećmi, które utraciły ojca i matkę i nie mają dokąd pójść; krwią z krwi i ciałem z ciała Bobba, którego kochała, jak jej się zdawało, miłością tak czystą, doskonałą i duchową, że to, czy on jest przy niej obecnym ciałem, przestawało mieć większe znaczenie.

Nocą jednak, gdy kładła się spać, i rano, gdy się budziła, a nie zaspokojone ciało paliło - nie był to może ból nie do zniesienia, ale nieustępliwy i nieuleczalny - uświadamiała sobie, że najważniejsze, żeby Bobbo był przy niej, tu i teraz. Czyżby uczucie, jakie do niego żywiła, nie było miłością, lecz pożądaniem?

Garcia triumfuje. Zakochał się, i to nie w Mary Fisher! Obiektem miłości, względnie pożądania, uczynił ciężarną dziewczynę z wioski. Przyprowadził ją do Wysokiej Wieży, aby razem z nim zamieszkała. W tym samym czasie ktoś - prawdopodobnie ukochana Garcii - ukradł Mary biżuterię: wszystkie ukochane precjoza, pamiątki subtelnymi, pełnymi uczucia związków i relikty wspaniałych aktów seksualnego poddania, jeszcze sprzed epoki Bobba, zginęły. A dziewczyna o imieniu Joan bezczelnie panoszyła się w Wysokiej Wieży, obnosząc swój wyдутy brzuch. Myszkowała z Nicolą po kątach, irytując tym Mary, która w dodatku coraz mniej czuła się kobietą: nie miała przecież dziecka i zdała sobie sprawę, że już nigdy mieć nie będzie.

Dawniej sądziła, że bezduszność jest błogosławieństwem, że oszczędzone jej zostały ponizienie, pospolitość i banalność macierzyństwa. Teraz już jednak myślała o tym inaczej. Odczuwała w swoim życiu jakąś pustkę.

Jej ciało i dusza przyzywały Bobba. Mogła pisać do niego raz w miesiącu, podobnie jak on do niej. Pisała mu więc o miłości, angażując w to wszystkie talenty i praktyczne umiejętności pisarskie, jakimi dysponowała. Od niego dostawała dziwne, niezdecydowane listy o pogodzie, więziennym wyżywieniu, o tym, że martwi się o psa Harnessa, kotkę Marcy i bezpieczeństwo dzieci.

Mary Fisher próbowała zachęcić rodziców Bobba do opieki nad dziećmi. Angus i Brenda jednak nie mogli sobie na to pozwolić. Mieszkają w hotelu, a nie w domu - wyjaśniali - i nie mogą dzielić życia ani z domowymi zwierzętami, ani z dziećmi. Wystarczyło im zresztą jedno doświadczenie z własnym synem. Wiadomo, do czego to doprowadziło! Poza tym nieszczęście spadło na niego pod jej dachem, nie mają więc zamiaru przyjść jej teraz z pomocą.

Niekiedy wszakże, gdy nadarzała się okazja, zjawiali się z wizytą, a Mary Fisher z wdzięcznością ich przyjmowała. Kto by pomyślał, że do tego dojdzie!

- Cudowne miejsce dla dzieci - zachwycła się Brenda, ubrana na fiołkowo różowo z domieszką zieleni: nie były to już wyłącznie jedwabie, lecz delikatne, przejrzyste tkaniny, podkreślające jej brak praktycznego zmysłu i fantazyjną naturę.

- Cóż za przestrzeń! Żadna zbrodnia jej nie przyćmi. Nicola i Andy muszą tu być doprawdy szczęśliwi, zresztą i tak po tym, co przeszli, wyglądają znakomicie. - Miała oczywiście na myśli nieszczęście, jakie na nie spadło za sprawą Mary Fisher.

Brenda przywoziła dzieciom gumę do żucia, której różowe dmuchane balony pękały, pozostawiając ślady na nosach, policzkach i we włosach. Wyżutą do końca gumę, gdy była już mało elastycznym kawałkiem, przylepiały zazwyczaj od spodu do stołów i łóżek, nie przyjemnie zaskakując tych, którzy się na to paskudztwo natykali.

- Biedne małe kociątka - mówi Brenda, spoglądając w górę na parę wyrosniętych, niezgrabnych wnuków, które ucieszyły się z gumy do żucia trochę dlatego, że dostały ten prezent od niej, trochę aby dokuczyć Mary Fisher, a wreszcie dlatego, że choć zbliżały się do granicy dorosłości, wciąż były dużymi dziećmi. Zachowały wspomnienie rajów, złotego wieku przy Nocnego Ptaka 19, i to sprawiało, że były wiecznym nadętanym i ponurym. Nie lepiej czuły się w szkole.

Nicola nadmuchała balon z gumy do żucia wprost do ucha dobermana i wielkiej bestii nie pozostało nic innego, jak capnąć dziewczynkę za nos. Szesnaście szwów musiało połączyć rozdarte ciało i unieruchomić pogruchtaną kość. Nicola z płaczem przywoływała utraconą matkę. Zrobiła to po raz pierwszy i ostatni.

Mary Fisher zauważyła, że Andy czasami przygląda się jej zuchwałym, pożądanym wzrokiem. Jest zbyt młody, aby w ten sposób przyglądać się komukolwiek. Oto do czego prowadzi miłość do mężczyzny, który jest ojcem. No i co z tym zrobić? Właściwie mogłaby wysłać tę dwójkę do szkoły z internatem, ale wie, że dzieci niechybnie wróciłyby z powrotem, tak jak zrobiła jej matka, porzucając dom opieki. Zresztą same utwierdziły ją w przekonaniu, że tak właśnie by postąpiły, i nie ma powodu, żeby im nie wierzyć. Bobbo nie chce, aby Andy i Nicola odwiedzali go w więzieniu.

- Pozwól im o mnie zapomnieć - mówił.

Mary Fisher obawia się, że to oznacza, iż on sam chce o nich zapomnieć.

Złożona chorobą starsza pani Fisher nie panuje nad swoim organizmem i musi przyjmować coraz większe dawki valium. Od czasu do czasu podrywa się jednak z krzykiem: - Na co mi przyszło! Gniazdo kryminalistów! To ona powinna trafić do więzienia! - Mary Fisher jest bardzo przygnębiona swoją samotnością, płacze nad tym, że na całym świecie nie ma nikogo, żadnej życzliwej duszy.

- A co z nami? - pytają Andy i Nicola, wszędzie wiodąc za nią wzrokiem. Niekiedy odnosi więc wrażenie, że gra główną rolę w jakimś kiepskim horrorze.

Mary Fisher błaga Angusa i Brendę o zabranie Harnessa, żeby Bobbo przestał się wreszcie o niego niepokoić, ale i na to nie chcą się zgodzić.

- Najlepsze, co można zrobić, to skończyć z biedną bestią - doradzał Angus. - Psu jest źle bez swojego pana - stwierdził - zwłaszcza gdy byli ze sobą tak zżyci - i splatając palce pokazał, jak bardzo pan i pies byli ze sobą związani.

Ale Mary Fisher nie była w stanie w ten sposób potraktować zwierzęcia. Raz jej się nawet wydawało, że byłaby do tego zdolna, ale potem okazało się to absolutnie niemożliwe. Zbyt wielu rzeczy jest świadoma: wie, co czułby Harness. A ja z zimną krwią mogłabym zamordować i tuzin psów, gdyby tylko to leżało w moim interesie. Na początku nieźle mi poszło ze świnką morską i teraz patrzcie! Jestem diablicą! Nie mogło mnie zaskoczyć, że w drugim wcieleniu nie jestem kobietą; tego oczekiwał świat. Być może to, co w swoich czasach zrobił Jezus dla mężczyzn, ja uczynię dziś dla kobiet. Jezus wskazał kamienistą ścieżkę do nieba, ja zaś proponuję autostradę do piekieł. Przynoszę innym cierpienie i samopoznanie (idą ze sobą w parze), a zbawienie dla siebie. Każda kobieta ma prawo istnieć dla siebie samej, krzyczę. Gdyby przybito mnie do krzyża, zniosłabym to. Po prostu chcę żyć na własny rachunek i sam Szatan mi w tym pomoże.

Diablice miewają rozmaite imiona i nieograniczone możliwości ingerencji w życie innych ludzi.

Rozdział dwudziesty piąty

W domu sędziego Ruth osiągnęła swój cel i teraz, kiedy pozostał jej miesiąc na przeprowadzenie chirurgicznego zabiegu szczęki, poszukiwała dla siebie mieszkania w

Bradwell Park, miejscu, gdzie mogła zachować anonimowość. Żyły tam typy ludzkie najrozmaitszych kształtów i podobnej powierzchowności. Niewielu z nich zadawało sobie trud odwrócenia głowy, gdy obok przechodziła Ruth. Bradwell Park znajdował się na dalekim zachodnim przedmieściu i stanowił rozległą, przygnębiającą i wyzutą z jakiegokolwiek stylu część miasta. Mieszkała tu biedota.

Ruth, która w banku szwajcarskim miała na koncie 2563072 dolary i 45 centów, na razie wolała prowadzić proste i skromne życie. Bogactwo od razu rzuca się w oczy, podczas gdy ubóstwo pozostaje anonimowe, spowite szarą, nieprzezroczystą zasłoną. Ruth nie chciała przed czasem ściągać na siebie uwagi policji ani władz skarbowych. Poza tym było mało prawdopodobne, aby w Bradwell Park natknęła się na kogoś z Eden Grove, kto mógłby spytać: Czy pani przypadkiem nie jest żoną Bobba? Co za miłe spotkanie!

I Bradwell Park, i Eden Grove, gdzie Ruth mieszkała w swoim innym życiu, leżały na przedmieściach, ale oba miejsca różniły się od siebie całkowicie. W Bradwell Park ludzie żyli w kosmicznym bałaganie; w Eden Grove wszystko ujęto w schludne, otoczone parkanami kwadraty. W Bradwell Park było znacznie więcej kobiet niż mężczyzn, kilka zaledwie garaży dla kilku samochodów i tylko jeden miejski basen kąpielowy z tak mocno chlorowaną wodą, że kąpiel w nim groziła przejściową ślepotą.

Ludzie zarabiali tu znacznie mniej, niżby sobie życzyli. Kobiety schwyte przez życie w pułapkę nie dlatego w niej tkwiły, że chciały, lecz z konieczności. Pocięszała je jedynie świadomość, że ich wieczne niezadowolenie nie bierze się z chimerycznej natury ani z niewdzięczności wobec losu, ale ma swoje konkretne uzasadnienie.

Przez pewien czas Ruth stała pod biurem ubezpieczeń społecznych, czekając, aż wyjdzie stamtąd ktoś odpowiedni. Wreszcie zauważyła młodą ciężarną kobietę - najpewniej jeszcze nastolatkę, z dwójką uczepionych u jej kolan malców, pchającą dziecięcy wózek z zakupami. Miała ładną, lekko wymizerowaną bladą twarz z rysującym się na niej wyrazem roztargnienia. Zatrzymała się na przystanku autobusowym. Gdy nadjechał autobus, Ruth pomogła jej wsiąść razem z dziećmi, zakupami i wózek. Stojący obok konduktor ani drgnął. Ruth przysiadła się i wdała w pogawędkę.

Dziewczyna nosiła imię Vickie. Martha miała trzy lata, a Paul dwa. Nie, nie jest mężatką. Nigdy nie wyszła za mąż.

- Szukam mieszkania - powiedziała Ruth. - Może słyszałaś o czymś w pobliżu?

Vickie nie słyszała.

- Nie przypuszczam, żeby u ciebie znalazł się wolny kąt za opiekę nad dziećmi i niewielkie sprzątanie - głośno myślała Ruth. - Mogłabym też dołożyć parę centów do czynszu, oczywiście nie musiałabyś tego nigdzie zgłaszać.

Wizja dodatkowych pieniędzy i pewnej pomocy całkowicie stłumiła uzasadnioną obawę Vickie, że jej dom mógłby się okazać nieodpowiedni dla kogoś, kto ma do wyboru znacznie lepsze miejsca. Ruth więc szybko została ulokowana w pokoiku na tyłach. Łóżko polowe, na którym miała sypiać, odmówiło posłuszeństwa już przy pierwszej próbie położenia się, a pokój był tak ciemny, wilgotny i zimny, że w zasadzie dotąd go nikt nie używał. Ruth próbowała ocieplić go, rozwieszając na ścianach plakaty i heskie makatki, co zabezpieczało też przed osypującym się tynkiem.

- Jakie szczęście, że jesteś wysoka - zauważyła Vickie. - Nie musisz wchodzić na drabinę. Nic tu nie mogłam robić, bo nie mam drabiny, no i te heskie makatki są takie drogie. Zresztą nie widzę powodu, aby się tym wszystkim zajmować, skoro należy to do obowiązków właściciela.

Vickie w wieku szesnastu lat porzuciła szkołę. Zorientowała się jednak, że nie ma dla niej pracy, i poszła na zasiłek dla bezrobotnych. Wolny czas nudził ją w mniejszym stopniu niż jakakolwiek praca, której mogłaby się podjąć, ale był o wiele bardziej wyczerpujący. Pewnego razu zwierzyła się Ruth, że już od dziecka cierpiała na astmę. Bardzo wcześniej

zauważono, że ma słabe płuca, dlatego też perspektywy zatrudnienia, jakie w Bradwell Park otwierały się przed innymi - praca w wielkiej pralni albo w centrum czyszczenia chemicznego, obsługującego pokaźny obszar miasta - były dla niej zamknięte. Stały kontakt z parą wodną albo wyziewami chemicznymi szybko mógł zrujnować nawet młodsze i zdrowsze płuca. Szczęśliwie się jednak złożyło, że niezdolność Vickie do pracy odnotowano w kartotece i nie groziło jej, że wypłacany zasiłek będzie stopniowo zmniejszany. A tak właśnie postępowano z bezrobotnymi, by ich nakłonić do pracy, którą akurat oferowano na miejscu, bez względu na to, jak bardzo była nieciekawa i niewdzięczna.

- "Nil bastardi carborundum" - powiedziała Vickie, śmiejąc się gorzko. Nie daj się zgniebić bękartom. Powiedzenie to usłyszała od kolegi swojego kochanka.

W wieku lat osiemnastu użaliła się nad swym losem i stwierdziła, że sens jej życiu mogą nadać jedynie dzieci. Postanowiła sprostać tym ambicjom. Najważniejsze - równie ważne jak praca - to mieć kogoś do kochania. Kiedy się już postarała o dziecko, wydział opieki społecznej zaczął opłacać jej czynsz, a ze społecznej sekcji rozdzielnictwa otrzymywała czeki na pokrycie rachunków za elektryczność i jedzenie. Jeśli starczało jej siły, potrafiła i w innych miejscach wyklócać się o pomoc w opłacaniu rachunków za gaz, telewizję i konserwację zmywarki. Bieganie w kółko po tych wszystkich urzędach, od jednego wydziału do drugiego, z dwójkiem małych dzieci było jednak ciężką harówką.

W każdym razie, w ten czy inny sposób, dzieci zawsze miały coś do jedzenia na śniadanie, ale już nie zawsze wystarczało na kolację.

Państwo za swoją pomoc oczekiwało wdzięczności. Oczywiście duchowej, a nie wdzięczności ciała, której zwykle domagali się mężowie z Bradwell Park. Seks w Bradwell Park traktowany był w kategoriach transakcji handlowej. Rzadko widziano w nim źródło wzajemnej przyjemności i duchowego odrodzenia. Pojęcie partnerstwa kobiety i mężczyzny było tu przez obie płcie znienawidzone.

Vicky oszukiwała, ciskała zniewagi i drwiła z utrzymującego ją państwa, prawie tak samo jak żony obrażały i szydziły z łożących na utrzymanie, otaczających opieką i kochających mężów. Dobrze, że chociaż było wiadomo, kim jest ojciec, drugiego dziecka Vicky, Paula. Po przyjeździe chłopca na świat mieszkał nawet z nimi przez sześć miesięcy. Pewnego wieczoru wyszedł tylko po papierosy i nigdy więcej się nie pokazał.

- Nie martw się - uspokajała łkającą Vickie siostra w klinice. - Nie uciekł ani nie został porwany przez latający spodek, nic mu się nie stało. Nie minie miesiąc, a pojawi się znowu. Na pewno żyje tu z kimś w okolicy. Takie rzeczy zdarzają się często. Tu następuje rozpad społecznej substancji.

- Ale przecież mnie kochał! Na pewno mnie kochał. Sam mi o tym mówił!

- Nie chciał ci pewnie sprawiać przykrości. Paul nie jest łatwym dzieckiem, a poza tym mężczyźni czasami nie lubią odgrywać roli ojca wobec cudzego potomka. A propos, jak się czuje Martha? Czy liszaj już zszedł?

- Znowu się pojawił - westchnęła Vickie. - Wszystko to jego wina. Martha tak bardzo go kochała! Jak dorosły mężczyzna mógł tak potraktować małe dziecko? Ona jest teraz taka smutna! - narzekała dalej.

- Vickie - usłyszała poważny głos siostry - albo chowasz swoje potomstwo w zgodzie z systemem wymyślonym przez społeczeństwo dla ochrony kobiety i dziecka, to znaczy żyjesz w związku małżeńskim, albo jesteś niezależna i sama radzisz sobie z konsekwencjami tej sytuacji.

- "Nil bastardi carborundum" - wymamrotała w odpowiedzi.

Wkrótce inny mężczyzna zajął przestrzeń opuszczoną przez ojca Paula. Natura nienawidzi pustych łóżek! Po trzech miesiącach przeniósł się jednak do kobiety z mniejszą liczbą dzieci, pozostawiając Vickie w ciąży.

W tym właśnie czasie spotkała ją Ruth.

W Bradwell Park książki Mary Fisher sprzedawały się bardzo dobrze. Najczęściej kupowały je kobiety, bo mężczyźni zaczytywali się w komiksach w rodzaju "Wyszczerzonej czaszki" czy "Człowieka-Potwora" i wszyscy byli w ten sposób zadowoleni. Wideo było tu też bardzo popularne: wyświetlane w domowych pieleszach ociekające seksem i gwałtem filmy stanowiły świetną rozrywkę dla całych rodzin. Rzecz niepojęta dla mieszkańców Eden Grove!

- Dlaczego nie mogę spotkać prawdziwej miłości? - pytała Vickie, gdy Ruth sprzątała dom: wymiatając skórki pomarańczy, składając porządnie ubrania, piorąc zasłony, które nigdy dotąd nie były prane, odnajdując poupychane gdzieś nie używane narzuty na łóżka i kapy z dziecięcych łóżeczek. Usuwała brud, tłuszcz i czarne myśli, rzeczy idące ze sobą w parze.

- Bo stale jesteś w ciąży - odparła Ruth.

- Masz ci los! Niektóre kobiety rodzą się po to, aby być brzemiennie, na przekór wszystkim pigułkom, spiralom, kapturkom i kalendarzykom małżeńskim. Dlaczego mężczyźni mieliby starać się płodnym kobietom pokrzyżować plany, skoro ciąża jest tym, czego one chcą najbardziej i nad czym czuwa państwo? Ktoś dla kochania i jakieś zajęcie - oto pragnienie wielu z nas.

Ruth i Vickie mogły się z tego śmiać do woli, siedząc w zimowe noce przy gazowym piecyku. Dookoła unosił się zapach wilgotnych pieluszek: wciąż brakowało pieniędzy na suszarkę, ale niebawem miały się znaleźć dzięki Ruth. Co to za życie! Niekiedy Vickie pocieszała się nadzieją, że Martha lub Paul wyrosną z pieluszek przed narodzinami kolejnego dziecka, lecz doprawdy niewiele robiła, aby urzeczywistnić swe marzenia.

No cóż, niewiele można poradzić na sprawnie funkcjonujące nerki niemowlaka lub pęcherz raczkującego berbecia. Dzieci rozwijają się w przewidzianym na to czasie. Lekarze przestrzegają przed zbyt wczesną nauką korzystania z nocnika, gdyż nie tylko mija się to z celem, ale może wywołać u dziecka uraz psychiczny. Następnym problemem był przejmujący chłód w mieszkaniu. Ruth czasami była zmuszona nakładać trzy pary skarpet po ojcu Paula, który odchodząc zostawił wszystko, aby oszczędzić Vickie przykrego widoku pakowania swoich rzeczy. Niedawno widziano go, jak w sobotnie popołudnie wytaczał ze sklepu wózek mleczarski.

Siostra wytłumaczyła to następująco:

- Niektórzy mężczyźni, moja droga, uwielbiają cały okres ciąży, sam moment narodzin i niemowlęta, ale później, gdy dzieci dorastają, przestają się nimi interesować. Podobnie zresztą dzieje się z niektórymi kobietami, bo niby dlaczego miałyby być bardziej uprzywilejowane? Nie można mieć wszystkiego!

Vickie żyła w stanie ciągłego niezadowolenia i ogólnego zaskoczenia tym, że garnki są nietrwałe, łóżka się psują i poważnie rośnie zadłużenie, a także faktem, że gardła dziecięce są nie tylko skłonne do zaziębień, ale i do wrzasku. Nie o to jej chodziło! Nie było to macierzyństwo, o jakim marzyła! Znosiła to jednak mężnie i nie zamierzała się poddawać. Pieniądze z czynszu za pokój Ruth szły na zakup nutelli i vegemity do smarowania chleba dla dzieci, a także skondensowanego mleka do kawy, nie wspominając już o paczce marlboro dziennie i opłacie za przejazd autobusem do kliniki, gdzie Vickie mogła otrzymać duchowe wsparcie i wskazówki na temat zapobiegania ciąży, co miało ją zabezpieczyć przed wydaniem na świat jednego dziecka po drugim. A przecież czwarte mogło okazać się geniuszem, dzieckiem doskonałym, na które czekała, dla którego byłaby wspaniałą matką! (Właśnie dokuczały jej poranne nudności zwiastujące trzecią ciążę.) Czy Ruth zastanowiła się nad tym? - pytała na wpuł z płaczem. Czyż antykoncepcja nie jest równie zła jak aborcja? Przynajmniej ona tak uważa. A poza tym co oprócz uczuć mogłoby ją utrzymać przy życiu?

- Tak, myślałam i o tym - odparła Ruth. - Można stracić geniusza, ale to bardzo mało prawdopodobne. Urodzić genialne dziecko to jak zgarnąć całą pulę na irlandzkiej loterii, no nie? Nieprawdopodobne.

Naprzeciw biura ubezpieczeń społecznych znajdowały się pomieszczenia misji katolickiej, w której pracował niezawodny ojciec Ferguson. Oferował on - jak zauważyła Ruth - darmowy żłobek dla dzieci i bufet dla młodych matek. Niekiedy Vickie wpadała tam na filiżankę kawy i małą pogawędkę, a gdy rozsiadała się na dłużej, zajmował się nią sam ojciec Ferguson. Vickie bardzo go lubiła. To właśnie on powiedział jej, że jest mądrą kobietą i córką Boga. Przestrzegał natomiast przed personelem kliniki, który doradzając zapobieganie ciąży nie tylko błądzi, ale i grzeszy. Spełnienie kobiet i ich szczęście wiąże się bowiem ze stale powiększającą się gromadką dzieci bożych. Pewnego dnia ojciec Ferguson zawitał do domu Vickie, lecz jej nie zastał. Ruth zaprosiła go do środka. Zwrócił uwagę na czystość i ład panujące w skromnie umeblowanym pokoju.

- Bardzo się tu zmieniło. Domyślam się, że to twoje dzieło?

- Tak jest - odrzekła.

- Potrzebuję gospodyni - powiedział.

- Podobnie Vickie - zauważyła.

- Vickie da sobie radę - odparł. - Ma tylko dzieci na głowie. A poza tym zapłacę.

Ruth przyrzekła, że się zastanowi.

Był szczupłym, zwinnym ascetycznym mężczyzną, żyjącym w celibacie. Przedzierał się przez morze wybujałych ciał kobiecych, piersi i brzuchów, wszędzie unosił się zapach potu, a on nigdy nie zawrócił ani nawet nie spojrzął ku wybrzeżu. Choć jego uszy wolałyby słyszeć muzykę sfer niebieskich, a nie krzyk mew, śmiech i histerię kobiet, nigdy ich nie zasłaniał.

Pewnego czwartkowego poranka, gdy silny mróz ściał ziemię przy gruncie, Ruth wyszła z domu udając się na wizytę do dentysty, pana Firtha. Jako jego pacjentka występowała pod nazwiskiem Georgiana Tilling. Podróż trwała dwie i pół godziny. Cechą zachodnich przedmieść jest brak publicznego transportu i wysokie ceny, jeśli się chce korzystać z połączeń lokalnej komunikacji. Ruth musiała przejść pod górę około ośmiuset metrów do najbliższego przystanku autobusowego, przejechać dwa i pół kilometra do najbliższej stacji kolejowej, po czym dwukrotnie się przesiadać, zanim dotarła do celu: przystanku na dworcu, w centrum miasta, gdzie praktykowali najślawniejsi dentyści.

Tropikalne rybki pływały w akwarium wbudowanym w ścianę gabinetu Firtha: płaszące wzory na wprost oczu pacjentów. Firth do uśmierzania bólu stosował hipnozę i akupunkturę. Był dobrotliwie wyglądającym człowiekiem o lekko zapadniętych policzkach; wszystkich pacjentów otaczał pierwszorzędną opieką.

Ruth usadowiła się w fotelu dentystycznym i skonstatowała, że nie jest dostatecznie długi, aby mogła się wygodnie wyciągnąć. Doktor Firth tymczasem z uwagą oglądał jej szczękę.

- Wspaniale, panno Tilling - powiedział. - Goi się znakomicie. Co za szczególna zdolność do regeneracji! Szczęka musi zostać przycięta o dobre siedem centymetrów, a na ogół przy takich zabiegach nie tniemy więcej niż dwa i pół. Dzięki technice laserowej i mikrochirurgii to, co było dotąd nieosiągalne, teraz stało się możliwe. Współtworzy pani historię chirurgii plastycznej twarzy! Musimy usunąć jednak trzykrotnie więcej zębów, niż się robi zazwyczaj, bo należy proporcjonalnie zredukować łuk szczęki. Przypuszczam, że ja nad tym bardziej boleję niż pani; rwanie mocnych, zdrowych, dobrze osadzonych zębów ze względu na urodę, a nie zdrowie, nie jest tym, co dentyści lubią najbardziej. Świat jednak idzie naprzód, czy nam się to podoba, czy nie. Mam nadzieję usłyszeć chociaż od pani, że akupunktura ma znakomite efekty w uśmierzaniu bólu.

- Na mnie nic nie działa - wymamrotała Ruth i delikatnie splunęła do wirującej w metalowej misie fiołkowo różowej wody, po czym dodała: - O czym panu doskonale wiadomo.

Pan Firth pozwolił sobie na kilka dalszych uwag na temat społecznych skutków chirurgii plastycznej. Zauważył, że niepotrzebnie pochłania ona czas i umiejętności wysoko wykwalifikowanych lekarzy, chyba tylko po to, aby zaspokoić próżność i pustotę kobiet. Po czym zawołał długonogą jasnowłosą recepcjonistkę, aby zainkasowała należność. Ruth zapłaciła dentyście 1761 dolarów, w tym 11 dolarów dla drobnej, promiennej asystentki, która dokonała końcowego wygładzenia ostrych krawędzi pieńków i założyła tymczasowe korony. Przed wyjściem Ruth oświadczyła panu Firthowi, że korony na stałe założy sobie gdzie indziej.

- A to już pani sprawa - powiedział. - Nie mogę pani odwieść od tego zamiaru, ale ostrzegam, że nie znajdzie pani nikogo uczciwego, kto z czystym sumieniem mógłby się tego podjąć. Wezmą od pani duże pieniądze i wstawią maleńkie perełki, zupełnie nieodpowiednie do pani charakteru, i będzie to bardzo śmiesznie wyglądało.

- Wobec tego zmienię swój charakter i zęby będą pasowały jak ulał - odpowiedziała Ruth. - Żegnam!

Potem udała się na umówione spotkanie z najlepszym chirurgiem w mieście - doktorem Roche'em który specjalizował się w przemodelowywaniu nosów. Zaczynał jako ginekolog, ale uznał, że brzemień odpowiedzialności za dawanie i odbieranie życia jest dla niego zbyt ciężkie. W porównaniu z tym chirurgia plastyczna była samą przyjemnością. Przynajmniej tak sądził do czasu, kiedy pojawiła się Ruth ze swoimi rozbudowanymi, skomplikowanymi, a nawet ryzykownymi żądaniami. Zwrócił się przeto o pomoc do swojego protegowanego, doktora Carla Ghengisa, i oto obaj czekali na nią w pokoju przeznaczonym na konsultacje.

Mimo że Ghengis, mający koło pięćdziesiątki, był o całą dekadę młodszy od Roche'a, to jednak osiągnął dużo więcej od niego. Życie zawodowe rozpoczął jako mechanik samochodowy. Był około dwudziestopięcioletnim młodzieńcem, gdy usunięto mu wyrostek robaczkowy. Uzmysłował sobie wówczas, że ciało ludzkie nie jest bardziej skomplikowane od maszyny. Zajął się więc medycyną, rozpoczynając karierę ze sfalszowanym dyplomem nie istniejącego uniwersytetu. Jako lekarz tak błyskotliwie dowiódł swoich umiejętności, że nawet na pewne jego potknięcia, odkryte na samym początku przez złośliwą pielęgniarkę, przymknięto oczy.

Przez kilka lat pracował jako asystent doktora Roche'a, a następnie przeniósł się do Kalifornii, gdzie właśnie rozpoczął się boom w inżynierii genetycznej. Od czasu do czasu odwiedzał Roche'a i brał pod opiekę pacjentów, którzy sprawiali mistrzowi trudności albo kłopoty. Miało to naturalnie rozsądny wymiar finansowy, co dla tych, którzy mieli do czynienia z multimilionerami, w istocie oznaczało wielkie bogactwo. Carl Ghengis był energicznym, szczupłym mężczyzną o wrażliwej skórze i równie subtelnym obejściu. Odznaczał się łagodnym, delikatnym spojrzeniem i ciemną karnacją. Jego ojciec był Amerykaninem, a matka pochodziła z Goan. Poruszał się ze zręcznością młodego człowieka, niemal na czubkach palców, sprawiając wrażenie, że unosi się w powietrzu. Miał blade wysmukłe palce ze spiłowanymi ostro jak lancet paznokciami.

Ujął duże dłonie Ruth, pogładził i przyjrzał im się z taką uwagą, z jaką tylko matka może przypatrywać się dziecku, po czym spojrzął do góry. - Możemy zmienić wszystko, ale ręce powiedział. - Zawsze będą świadczyły o naszej przeszłości i dziedzictwie.

- Będę nosić rękawiczki - prychnęła zniecierpliwiona.

Posiadanie dużych pieniędzy uczyniło Ruth energiczną, zuchwałą i łatwo ulegającą irytacji.

- Niech mi pani powie - poprosił, wierząc nadal w siłę perswazji - czego pani naprawdę chce?

- Chcę w górę spoglądać na mężczyzn - odpowiedziała już w lepszym humorze i roześmiała się z ironią. - Tak, tego właśnie chcę.

Można by podwiązać struny głosowe - pomyślał - przestroić brzmienie aparatu mowy i zmienić ten śmiech. Sposób jego myślenia miał uzasadnienie. Ghengis uważał bowiem, że ciało ludzkie jest instrumentem niedoskonałym, wymagającym zestrojenia i dopasowania do duszy każdego człowieka. Sam kiedyś cierpiał z powodu wykoślawionego palca. Obecnie wzdłuż kości miał wstawioną niewielką plastikową szynę, która palec prostowała. Na basenie jego zgrabnym stopom nie można było nic zarzucić; świetnie się prezentowały, a przede wszystkim pasowały do harmonijnej reszty: ciała i ducha. Matka była biedna, musiał więc nosić buty po starszym bracie, co nie należało do przyjemności.

Później poproszono Ruth, aby się rozebrała, zważono ją, obfotografowano i obejrzano ze wszystkich stron.

- Lepiej zrobić za dużo niż za mało - zażartował pan Ghengis. - Łatwiej ująć niż dodać. Czy myślisz, że sprawi nam to jakieś trudności?

- Nie ma powodu, aby tak przypuszczać. Działają goją się znakomicie, widzisz? Zglądali jej do ust, jak gdyby była koniem, a nawet próbowali ustalić jej wiek.

- Chciałbym spróbować to samo zrobić z nosem - rzekł Roche.

- W sprawie nosa mogę cię wysłać samolotem - uprzejmie poinformował Ghengis.

- Nie można tego zrobić tutaj? - Roche sprawiał wrażenie zaskoczonego. Musi być za granicą?

- W mojej klinice na pustyni kalifornijskiej - wyjaśnił Ghengis.

- Mógłbym się z tym jakoś uwinąć w czasie świąt - powiedział doktor Roche, wyglądając przez okno na zasne deszczem miasto, po czym znów skierował uwagę ku pacjentce. - Serce bije bardzo wolno, poniżej wszelkich norm.

- Lepiej zbyt wolno niż za szybko.

- I ciśnienie krwi jest zastanawiająco niskie - dodał Roche.

- Wszystko to działa na jej korzyść. Martwią mnie tylko te zwały tłuszczu.

- Czy nie możesz po prostu tego wyciąć?

- Nie na tak dużej powierzchni - odpowiedział Ghengis. - Lepiej, jeśli sama się w naturalny sposób odchudzi.

- Ile musi schudnąć?

Doktor Ghengis obrócił się do Ruth, która za parawanem, sięgającym jej zaledwie do ramion, właśnie wciągała na siebie ubranie.

- Kiedy straci na wadze dwadzieścia pięć kilogramów, wtedy zaczniemy - powiedział.

Wspólne życie z Vickie sprawiało, że z każdym dniem Ruth stawała się grubsza. Żywność, na której kupienie można było sobie w tym gospodarstwie domowym pozwolić, była bogata w węglowodany, nuda zaś, wywołana biedą, skazywała je na wieczne pojadanie drobnego "co nieco", a nawet na porywanie kąsków z dziecięcych talerzy. Całymi rankami raczyły się słodką kawą z herbatnikami, ponure popołudnia spędzały przy osłodzonej herbacie i bułeczkach z rodzynkami.

Ruth wróciła do domu i oznajmiła Vickie, że pokój nie będzie jej już więcej potrzebny.

- Ale ja jestem w ciąży - podniosła lament Vickie, jak gdyby to dawało jej jakieś specjalne uprawnienia.

- Zawsze będziesz - ponuro odpowiedziała Ruth, pakując swoje nie tak liczne, choć pokaźnych rozmiarów bagaże. Łóżko było tu dla niej za krótkie, a czy kiedykolwiek miała inne? Pościel wytarta, smutna i choćby nie wiadomo jak często prana, zawsze z plamami po dziecięcych flamastrach.

- Co się ze mną stanie? - jęknęła Vickie. Martha i Paul uczepili się masywnych kostek Ruth, ale uwolniła się od nich z łatwością; Nicola i Andy wczepiali się w nią przecież znacznie ostrzejszymi pazurkami. Niekiedy miewała sny, w których dzieci wyciągały ku niej

swoje drobne ramionka, lecz budząc się, dobrze wiedziała, że wyrosły im dostatecznie długie ręce, aby mogły ją nimi objąć.

- Gdybym była na twoim miejscu - powiedziała - przeznaczyłabym nie narodzone jeszcze dziecko do adopcji za odpowiednio duże pieniądze. Oczywiście Martha i Paul też mogą zostać sprzedani. Jest wielu bogatych ludzi, którzy bardzo zabiegają o to, żeby zaadoptować ładne, zdrowe białe dzieci. W ten sposób zapewnisz im lepszy start, zabezpieczysz przyszłość, podarujesz interesujących przyjaciół, piękniejszych partnerów życiowych i los o wiele bardziej satysfakcjonujący niż ten, na jaki je skazujesz szarpiąc się tu, na dnie tej beczki z pomyjami całego świata. Sprzedaj je!

- Kocham swoje dzieci! - wykrzyknęła z rozpaczą Vickie.

- Tak samo będą je kochać adoptowani rodzice. Małe istotki z dużymi oczami niemalże we wszystkim co żywe wywołują instynkty opiekuńcze. Wiedzą o tym małe krokodylatka i plemiona ludożerców. A poza tym, pomyśl tylko, mogłabyś pojechać na wakacje.

- Tęskniłyby za mną. Cierpiały. A co z więzią rodzinną?

W klinice wiele rozmów toczyło się właśnie wokół tego pojęcia. Wiele też czyniono dla jej podtrzymania: fundusze opieki społecznej przeznaczone dla matek samotnie wychowujących dzieci, a nie podrzucających państwu własne potomstwo, miały znaczne ulgi podatkowe.

- A co z ich liszajami? - zapytała Ruth. - Co z odmrożeniami i wiecznie siąkającymi nosami?

Tego nie można już było dłużej tolerować. Zdenerwowana Vickie oświadczyła, że będzie lepiej, jeśli Ruth odejdzie natychmiast, ponieważ i tak zawsze więcej jadła, niż dokładała do wspólnego garnka, i wcale tak bardzo dokładnie nie sprzątała, ale Vickie starała się dotąd trzymać język za zębami.

- A co z siostrzaną solidarnością? - domagała się odpowiedzi. - Zawsze mówiłaś, że kobiety powinny się trzymać razem. A teraz spójrz na siebie!

Ruth wzruszyła ramionami. Vickie poszła za nią aż do drzwi.

- Jesteś odrażająca. Niemoralna, bez serca i odrażająca. Dzięki Bogu, nie jestem do ciebie podobna. Myślisz, że pieniądze dają szczęście, ale to nieprawda! Jak mogłabym zamienić własne dzieci, sens mojego życia, na pieniądze? - mówiła, biegnąc za Ruth do furtki. - Ale powiedzmy, że mogłabym zrobić coś równie haniebnego - ciągnęła - powiedzmy, że chciałabym sprzedać własne dzieci... Jak się do tego zabrać?

Ruth, która do tej pory zdążyła poznać w mieście rozmaite wejścia i dojścia, chytre drogi żyjącego na samym dnie pospólstwa, powiedziała jej, co należy uczynić. Potem udała się do ojca Fergusona. Wiedziała, że jest mężczyzną wstrzemięźliwym, a skoro ona ma stracić dwadzieścia pięć kilogramów, musi znaleźć się w domu, w którym życie i jedzenie są równie postne.

Rozdział dwudziesty szósty

Mary Fisher ma już niewiele pieniędzy w banku: jedynym majątkiem, jakim dysponuje, jest zapisana na nią Wysoka Wieża. Inne domy sprzedała, żeby pokryć koszty sądowe. Władze skarbowe rozeżłone na Bobba, a pośrednio i na nią, ostatnio zawiadomiły ją, że jest winna znaczne sumy z tytułu zaległych za poprzednie lata podatków. Nie kto inny, jak właśnie sędzia Bissop zatwierdził te roszczenia, odrzucając odwołanie zdumionej Mary Fisher. Teraz będzie musiała ponieść dodatkowe koszty, a tymczasem zajęto jej honoraria, które od lat stanowiły źródło utrzymania. "Bramy pożądania" są już na ukończeniu, z czym wiąże pewne nadzieje. Musi mieć nadzieję. Zawsze to pociecha.

Samotna Mary Fisher budzi się szlochając w swojej jedwabnej pościeli. Nie chce nikogo innego oprócz Bobba. Co prawda w pobliżu i tak nie ma nikogo, kto mógłby stać się obiektem jej pragnień. Garcia wykorzystuje co ciemniejsze kąty domu, aby kochać się ze swoją wieśniaczką, Joan. Mary Fisher to się nie podoba.

- Robię to, na co mam ochotę - hardo odpowiada. - A ty kim jesteś, żeby mi zwracać uwagę? Jeszcze nie tak dawno robiłaś to samo i nie chciało ci się nawet odebrać telefonu. Nie obchodziło cię, kto się o wszystkim dowie!

Mary Fisher obawia się Garcii, który rzeczywiście dużo o niej wie i w każdej chwili może zdradzić jej tajemnice, chociaż nie bardzo ma komu i kiedy to zrobić. Jednego jest pewna: nie powinna go drażnić.

Popada w otępienie; już tak bardzo nie dręczy jej nie zaspokojone ciało lub po prostu do tego przywykła.

Jada teraz ravioli z puszki, gotowe desery z torebki i tyje. Nie pamięta już wyraźnie twarzy Bobba, podobnie jak i on nie może sobie przypomnieć jej twarzy. Pamięta jednak o miłości i stale o niej pisze. Ku zadowoleniu wydawców kończy "Bramy pożądania". Może wkrótce znowu będzie bogata? Wszystko jest możliwe!

Mary Fisher rzuca losy, tęskni i czeka na spełnienie. Pisze o miłości. Jej kłamstwa są teraz jeszcze gorsze, ponieważ już sama wie, że kłamie. Pamięta przeszłość i orientuje się w swojej obecnej sytuacji.

Mary Fisher postąpiła nikczemnie: usadowiła się na samej górze wysokiej budowli na najwyższej krawędzi wybrzeża i stamtąd słała w mrok sygnały. Zwodnicze smugi światła zapowiadały spokojną wodę, wiarę i życie, a tymczasem na ciemnym, najeżonym skałami morzu szalały nawałnice i czyhała śmierć. Nie wolno jej było usypiać czujności marynarzy, powinna ich ostrzec. Szukam zatem zemsty nie tylko we własnym imieniu.

Przypuszczam, że w imię miłości mogłabym jej wiele wybaczyć. Mary Fisher wyrządziła bowiem sporo zła, zanim zdołałam jej uświadomić, co to znaczy być kobietą opuszczoną przez męża i skazaną za życia na śmierć z upokorzenia, strachu, rozpacz. Mam odwagę przyznać, że na jej miejscu, gdybym stanęła w tych jej maleńkich bucikach, pewnie postąpiłabym podobnie. Nigdy jednak nie wybaczę jej tych wszystkich powieści!

Diablice mają prawo do irytacji.

Zatelefonował Garcia z pytaniem, czy może uśpić psa. Od Mary Fisher nie mógł uzyskać jasnej odpowiedzi, bo była równie niepokieszona z powodu nieobecności Bobba jak jego pies. Harness stał się bardzo uciążliwy - mówił - nieposłuszny, ucieka na ulicy, wyjada z talerza Mary Fisher. Uśpienie, zdaniem weterynarza, jest jedynym rozsądnym i miłosiernym rozwiązaniem. Co ja o tym myślę?

- Sądzę, że powinieneś posłuchać rady weterynarza - mówię. - Nie mogę przecież pozwolić, aby Harness wyjadał z talerza Mary Fisher, skoro chcę, żeby utyla. Jest to więc jakieś wyjście.

Harness poszedł do weterynarza i już nigdy stamtąd nie powrócił.

- Czy ty wierzysz w Boga? - zapytała Garcie Mary Fisher.

- Oczywiście, że wierzę! - odpowiedział.

Kiedyś i ja wierzyłam. Gdybym mogła odzyskać wiarę, byłaby dla mnie wielkim pocieszeniem.

Rozdział dwudziesty siódmy

Ojciec Ferguson mieszkał w domu koło kościoła w centrum miasta, gdzie niskie kamienne budynki dawnej zabudowy nie zostały jeszcze całkowicie wyparte przez nowe wieżowce. Od pewnego czasu bezskutecznie poszukiwał gospodyni do starego, dużego i

zimnego domu, o którym chodziły słuchy, że w nim straszy. Nie było tam ani ogrzewania na zimę, ani klimatyzacji na lato. Ojciec Ferguson nie należał do osób przyzwyczajonych do wygód; było mu nawet lżej na duchu, gdy odczuwał lekki głód, cierpiał z powodu zimna lub gorąca, albo wręcz bólu zęba.

Szczupła postać o siwych włosach, przebiegająca rano i wieczorem dystans ośmiu kilometrów, jakie dzieliły kościół od misji katolickiej w Bradwell Park, była dobrze znana w mieście.

- Oto i on! Co za dziwak - szemrali parafianie. - Nie zachowuje się, jak księdzu przystoi, choć nim przecież jest, a kto wie, może nawet i świętym?

Miał trzydzieści pięć lat. Posiwiął, gdy jako dwudziestopięcioletek musiał w jakiejś opuszczonej ruderze pomóc narkomance przy porodzie. Ku radości matki dziecko urodziło się martwe. Zdawało mu się wtedy, że szatan zerwał się z uwięzi i panoszy się na świecie.

Pracował wśród ludzi. Nie cieszył się uznaniem przełożonych, i to nie tylko dlatego, że mieszał się do polityki, ale również ze względu na trudne do przewidzenia zachowanie.

Znane były jego publiczne wystąpienia, podczas których głosił, że najpierw należy nakarmić ciało, a dopiero potem duszę. Grzechem pragnął obciążyć państwo: w kazaniach nawoływał do rewolucji, choć jego życie osobiste cechował niemal skrajny brak aktywności i pobożne zdanie się na bieg wydarzeń. Z wina mszalnego chciał usunąć alkohol, podpisywał petycje żądające zakazu używania broni jądrowej. Jego trzódka niezbyt go lubiła, mimo to czuła się zobowiązana szanować osobę duchowną. Osobom stanu wolnego zalecał celibat, a małżeństwom nie decydującym się na potomstwo - wstrzemięźliwość. Wierni sądzili, że postradał rozum. W dobie powszechnie dostępnych antybiotyków, skutecznie leczących rozmaite choroby społeczne, antykoncepcji, a w najgorszym razie, jeśli to absolutnie konieczne, aborcji - o co mu właściwie chodziło? Organizacje pomocy społecznej uznawały go za beznadziejnie i w szkodliwy sposób staroświeckiego.

Kościół ojca Fergusona chylił się ku upadkowi i nie było nikogo, kto zechciałby mu pomóc w odbudowie. Nie tylko o domostwie, ale i o kościele mówiono, że jest nawiedzony. Powiadano, że wystarczy w głuchą, ciemną noc pchnąć jego drzwi, by usłyszeć dźwięki muzyki, poczuć zapach kadzidła, ujrzeć ostre, migocące światła. Na zewnątrz dzień i noc, bez przerwy narastał zgiełk nowoczesnego miasta, a w starej świątyni trwała odwieczna pamięć innego świata, który kiedyś przyczynił się do powstania nowej rzeczywistości i wzbogacił ją swoją poezją i zwyczajami. Ludziom ciarki przechodziły po plecach na wzmiankę o tym, że "nawiedzenie" ma boski, a nie diabelski rodowód. Obstawali przy tym, że w domu obok kościoła pojawiają się zagadkowe postacie mnichów, choć przecież wszystkim doskonale było wiadomo, że mnisi nigdy tam nie mieszkali.

Ojciec Ferguson osobiście nigdy nie natknął się na żadnego ducha w kościele ani w domu i okropnie złościli go ci, którzy takie historie rozpowiadali.

- Wierzę w Boga - mówił - i nie mam zamiaru wierzyć w duchy. To obraza boska!

Wydział eksploatacji gruntów i rozwoju miasta był zainteresowany kupnem terenu, na którym stały kościół i probostwo. Miejsce to zamierzano przeznaczyć pod budowę jeszcze jednego biurowego kompleksu. Przełożonemu ojca Fergusona, który znalazł się w trudnej sytuacji finansowej, zależało na tej transakcji, ale sam Ferguson był nieugięty.

Lokalna prasa obszernie cytowała jego wypowiedzi na temat żądań, aby Kościół zrezygnował z działalności, wyniósł się z centrum miasta, porzucając je na pastwę diabła i feministek (kobiety zarządzały wydziałem rozwoju miasta), i pozwolił, aby wszystko znów stoczyło się na dno. Ojciec Ferguson nie utożsamiał diabła z komunizmem, lecz z kapitalizmem, co było dość niefortunnym porównaniem. Sprawa odbiła się nawet pewnym echem w prasie centralnej. Na czołówkach gazet ojciec Ferguson pojawił się jako orędownik zawierania przez księży związków małżeńskich i wolnego wyboru w sprawie celibatu. Nie

można - jego zdaniem - postępować według bożych przykazań chodząc po ziemskim padole, skoro nie jest się w pełni człowiekiem. "Półczłowiek" to było jego określenie.

- Ojciec Ferguson - zwracali się doń przełożeni. - Czy dobrze słyszymy, że owieczkom zalecasz małżeństwo bez seksu, a pasterzom seks małżeński? Czyż nie jest to niekonsekwentne?

- Tak samo niekonsekwentny był Jezus - odpowiadał nie stropiony ojciec Ferguson. - Nieurodzajne drzewko figowe albo nadstawianie drugiego policzka...

Co tydzień zamieszczał w lokalnej prasie ogłoszenie, że poszukuje gospodyni. Bardzo jej potrzebował, bo zupełnie nie potrafił sobie poradzić z utrzymaniem w porządku własnej garderoby. Choćby nie wiadomo ile razy i jak starannie prał koszule, nigdy z prania nie wychodziły czyste. Cienki materiał na kołnierzykach tarł bardzo mocno, a i tak brud zwyciężał, czego zupełnie nie mógł zrozumieć. Ilekroć otwierał przepastną, splekaną ze starości szafę, niegdyś należącą do jego matki (dostała ją w prezencie ślubnym od swojej babki), i wyjmował spodnie, dostrzegał na nich plamy, których - mógłby przysiąc - nie było tam poprzedniego dnia. A może wkładał spodnie do szafy, gdy było już ciemno, a wyjmował przy jasnym świetle dziennym? W całym domu nie było dobrego oświetlenia. Dawniej dom i kościół otaczały pola, drzewa, kwiaty, przez okna bez przeszkód wpadały słoneczne promienie. Było jasno, nawet za jasno. Teraz stłoczone obok siebie wieżowce i garaże przesłaniały światło boże, dając półmrok i dymy.

Niekiedy miał wrażenie, że mieszka w piekle. Nie mógł zrozumieć, dlaczego żywność psuje się w lodówce. Chłód powinien przecież temu zapobiegać, tymczasem wewnątrz lodówki pokrywała szarawa, nakrapiana plamkami pleśń. Niewykluczone, że zapomniawszy o upływającym czasie, zbyt długo coś w niej przechowywał. Jedzenie nigdy nie sprawiało mu wielkiej przyjemności i nie miał też w tej materii zbyt wygórowanych żądań. Ot, wystarczył byle kawałek sera lub jajko na kolację.

Kiedy Molly Wishant zgłosiła się do pracy w charakterze gospodyni, ojcu Fergusonowi zdawało się, że wreszcie jego problemy zostaną rozwiązane. Różniła się od innych kobiet tak bardzo, że należało wykluczyć, aby parafianie dostrzegli w niej zagrażające mu źródło erotycznych podnieć. Była silną, inteligentną i poprawnie się wysławiającą osobą. Pojawiła się nagle, a powód, dla którego pragnęła podjąć pracę - chęć pożytecznego wykorzystania czasu podczas zalecanej przez lekarza kuracji odchudzającej - choć wydał mu się nieco dziwny, był przecież możliwy do przyjęcia.

Nie wpadła w histerię na wiadomość, że w domu straszny. Była zresztą dość posepna i nieskora do porannych świergotów przy śniadaniu. Nie nosiła na szyi złotego krzyżyka przypominającego śmierć Zbawiciela, jak to było zwyczajem wielu innych kobiet. Z brodawek na twarzy wyrastały jej włosy. Widać nie należała do próżnych kobiet, spędzających całe ranki i wieczory przed lustrem w łazience. Z jej powodu nie powinny też wzrosnąć rachunki. Nie sądził, aby zwykła utrata wagi mogła w czymś pomóc temu biednemu stworzeniu, które zawsze pozostanie niezgrabne, ale nie zamierzał jej tego uświadamiać.

- Czy nie spotkaliśmy się już gdzieś? - zapytał.

- Pomagałam w domu Vickie, tej ciężarnej dziewczynie z dwojgiem dzieci, bez męża, w Bradwell Park.

- Nie jestem pewien, czy wiem, o kogo chodzi. Tam mieszka bardzo wiele osób w podobnej sytuacji.

- I będzie ich znacznie więcej - zauważyła Molly - jeśli nadal będą słuchać takich rzeczy z ambony.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga - odparł zaskoczony.

Miał nadzieję, że nie jest zbyt wrażliwa na zimno i nie zacznie niepotrzebnie włączać grzejników i marnować energii elektrycznej. Zapewniła go, że praca dostatecznie ją rozgrzeje. To wszystko działo się pierwszego dnia. Sypiała w jednym z wydzielonych ze strychu pokoi,

z opadającymi z sufitu płatkami tynku, ilekroć na dole przejeżdżała ciężarówka. Łóżko składało się z drucianej, rozpiętej na żelaznej ramie siatki, na której leżał stary materac z końskiego włosia.

Po tygodniu Molly wspomniała ojcu Fergusonowi, że przydałoby się kupić parę nowych koszul. Odparł, że stare mają dopiero dziesięć lat. Według niej było to wystarczająco dużo, ale on zaczął dowodzić, że jego ojcu koszule służyły przez dwadzieścia lat. Wobec tego postanowiła je naprawić: z dołu wycięła kawałki materiału i wszyła zgrabne łaty w najbardziej przetartych miejscach pod pachami. Koloratki, które wkładało się oddzielnie (dodatkowy tuzin pozostawił mu wuj w testamencie), przetrwały w lepszym stanie niż koszule.

- Bóg widzi wszystko po swojemu - powiedział ojciec Ferguson.

Wkrótce potem Molly poprosiła o mydło i możliwość korzystania z gorącej wody, co ułatwiłoby jej znacznie pranie. Ojciec Ferguson opowiedział kolejną historyjkę, jak to za jego studenckich czasów w seminarium we Włoszech mycie odbywało się w zimnym strumieniu bez mydła. Molly zauważyła, że pewnie woda tam była wystarczająco miękka, podczas gdy w mieście jest nadzwyczaj twarda. Zgodziła się jednak na używanie do prania nowych detergentów, które działały równie dobrze w ciepłej, jak i w zimnej wodzie. Odkryła również przyczynę wciąż pojawiających się plam na jego spodniach, znalazłszy w górnej części szafy lizaj grzybni, z której od czasu do czasu kapąły krople kleistego płynu. Wytępiła to paskudztwo dokładnie.

W miejsce czterdziestu watowych żarówek, które ojciec Ferguson dostawał za darmo, powkręcała stu watowe i dzięki temu rzekome widma mnichów zostały sprowadzone do tego, czym były w istocie: poruszane przeciągiem w holu długie zasłony, oświetlone padającym z jadalni światłem, rzucały na ścianę ponad górnym podestem schodów ogromne cienie, co stwarzało wrażenie, jakby ze strychu zstępowały nieokreślonego kształtu postaci. Ojciec Ferguson martwił się wydatkami poniesionymi na zakup mocniejszych żarówek, lecz Molly zapewniła go, że różnica w cenie jest minimalna.

Wierzył w to, co mówiła. Wzbudzała jego zaufanie. Podczas pierwszego miesiąca pracy u niego straciła siedem kilogramów. Wyglądała na osobę, która doskonale wie, o co jej chodzi. Było mu przykro, że jest tak bardzo samotna. Dziwne, że nie chciała sprzątać kościoła. Śmiała się i twierdziła, że nie jest to zajęcie dla niej, niewierzącej. Powiedziała mu wprost, że nie wierzy w Boga, tylko w Szatana, i niedawno miała z nim całkiem przyjemny bliski kontakt. Pomyślał wówczas, że może prędzej by się porozumiał z kimś, kto zna samego diabła, niż z tą całą czeredą wiernych, którzy trywializowali Boga, przypisując mu czysto ludzkie cechy.

Opowiedział Molly o krążących pogłoskach, że kościół jest miejscem nawiedzonym. Odparła, że są to plotki, bez wątplenia podsycane przez ludzi z wydziału zainteresowanego kupnem tej ziemi.

Mniej więcej w ciągu sześciu tygodni doszedł do wniosku, że ma do czynienia z prawdziwym, drogocennym skarbem: perłą wśród kobiet. Jak na osobę o całkiem pokaźnych rozmiarach poruszała się bezszelestnie. Chował w sercu nadzieję, że go nigdy nie opuści. Zaczął ją kusić maleńkimi kąskami jedzenia - z początku kawałkami sera, jabłka, ale wkrótce posunął się do tego, że ze sklepu na rogu przynosił pączki z konfiturami i zapiekane w cieście jabłuszka. Trochę go to kosztowało, nie mógł jednak dopuścić, aby zbyt gwałtownie chudła, ponieważ wtedy szybciej by go opuściła.

Doszedł do wniosku, że życie, nawet jeśli jest pozbawione frywolnych uciech, może być całkiem przyjemne. Niedawno przyjął w prezencie od jednej z parafianek butelkę sherry. Dowiedział się, że ta kobieta oddała do adopcji trójkę własnych dzieci: dwóch maluchów i jedno jeszcze nie narodzone. Trafiły w dobre ręce chrześcijańskiej rodziny, tyle że dosyć daleko, bo aż w Libanie. Przywołał ze strychu Molly, aby pomogła mu uporać się z sherry.

Łagodny blask rozświetlał głęboko osadzone oczy ojca Fergusona, jej oczy lśniły czerwono. Na zewnątrz coś zadudniło; zadźwięczała chińska porcelana i rozkołysały się lampy, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi. W tym domu nigdy nie panowały zupełne ciemności ani kompletna cisza, bez względu na to, jak wiekowe duchy okupowały to miejsce.

- Jak się nazywała ta kobieta? - spytała Molly.

- Wydaje mi się, że Vickie - odpowiedział, a ona uniosła swoją szklaneczkę.

- Ile za nie dostała?

- Nawet w Bradwell Park kobiety nie sprzedają dzieci za pieniądze - odparł urażony.

- A więc czas najwyższy, by zaczęły - stwierdziła.

We dwójkę wysączyli całą butelkę sherry.

- Jezus przemienił wodę w wino, nie mógł zatem źle o nim myśleć - rozważała Molly na głos.

- To prawda - przytaknął jej, otwierając następną butelkę, którą u siebie przechowywała. Nie chciała wypić już więcej ani kropli, wymawiając się swoją dietą, wobec czego musiał wszystko wypić sam.

- Inaczej - tłumaczyła - nic z tego nie wyjdzie.

Ojciec Ferguson otrzymał właśnie list od biskupa z prośbą, by zechciał zaniechać udzielania wywiadów prasie bez wcześniejszego uzgodnienia z przełożonymi, z jednoczesną sugestią, aby się zastanowił, czy nie popełnił grzechu pychy i arogancji.

- Jak można być pokornym i zarazem udoskonalać świat? - pytał.

- Nie można - odparła, przyzwalając mu tym samym grzeszyć. - Poza tym co znaczy arogancja? To tylko słowa. Jestem przekonana, że to on jest arogancki.

- Jak człowiek może zachowywać celibat i jednocześnie rozumieć własną naturę?

- Nie może - odparła, usprawiedliwiając w ten sposób jego płochość.

Przypatrywał się jej z namysłem. Dwa rzędy nie wypolerowanych, wstawionych na jakiś czas białych zębów błyszcząły zachęcająco.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej tą propozycją.

- Chodzi mi o ślub cywilny. Niech mnie ekskomunikują, jeśli się odważą. - Kiedy wypowiadał te słowa, kątem oka dostrzegł jakiś ruch na górnym podejściu schodów: tam i z powrotem przesunęła się zakapturzona postać. Zdawał sobie naturalnie sprawę, że może to być jedynie przywidzenie lub wpływ alkoholu, do którego nie był przyzwyczajony.

- Czy zauważyłaś coś tam na górze? - spytał.

- Nie, niczego nie widziałam - skłamała i dodała: - Tylko ludziom o nieczystym sumieniu pokazują się duchy. - Pomyślał ze strachem, że to może być prawda.

Odmówiła mu. Powiedziała, że nie może go poślubić, ponieważ jest już mężatką i podobnie jak on małżeństwo traktuje poważnie, jako jedyny związek na całe życie. Niewykluczone, że znajdą inne rozwiązanie, żeby ułożyć sobie wspólne życie: czy to dla obopólnej korzyści, czy dla lepszego samopoczucia lub z chęci uczynienia go doskonalszym pasterzem. Trzeba jednak jeszcze trochę poczekać i zobaczyć, co z tego wszystkiego wyniknie.

Ojciec Ferguson nie przypuszczał, że napotka opór. To, że duchowni powinni posiadać pewną wiedzę na temat cielesności płci przeciwnej, było dla niego równoznaczne z tym, że muszą się żenić. Tymczasem przekonał się, że ślub a znalezienie partnerki do łóżka to dwie zupełnie odrębne sprawy. Wreszcie zaczynał dostrzegać złożoność doczesnego świata.

- Musisz zrozumieć - mówił - że dla mężczyzny mojego pokroju utrata niewinności z kobietą taką jak ty w żaden sposób nie może być interpretowana jako uleganie popędowi, pomińmy więc zmysłowość tego aktu, który można uznać za kryształowo czysty i wreszcie wprowadzić go w czyn. Jeśli ktoś decyduje się połączyć z takim ciałem jak twoje, może to jedynie oznaczać wspólnotę dusz i być wyrazem najwyższego poświęcenia.

- Jesteś bardzo wymowny - powiedziała, pozwalając się przekonywać.

Pośród nieproszonych gości na pięterku dało się zauważyć gwałtowne poruszenie, ale piorunujący wzrok Molly sprawił, że bractwo rozpląnęło się w powietrzu. Ojciec Ferguson wprowadził ją do swojego pokoju.

W łóżku było mu przy niej ciepło i bezpiecznie. Zupełnie nie odnosił wrażenia, że Molly pozbawia go sił, co jak przypuszczał, następuje podczas erotycznych zbliżeń. Przeciwnie, czuł, że to z niej emanuje jakaś moc i weń przenika.

Na śniadanie mieli jajka na bekonie, grzanki z dżemem cytrynowym i kawę, ale wcale nie narzekał na jej ekstrawaganckie zachcianki. Nawet prawie był gotów zrezygnować ze swoich biegów do Bradwell Park, lecz powstrzymywała go obawa przed komentarzami.

- Jesteś dla mnie albo za dobra, albo zbyt zła - powiedział do Molly, która ze względu na niego porzuciła dietę i kilogram przytyła.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo się ostatnio zmienił. Niedawno podczas spowiedzi pewna kobieta przyznała się do stosowania środków antykoncepcyjnych i powiedziała, że mąż ją opuścił. Nie potrafił postawić znaku równości między grzechem a jego konsekwencjami.

Dawniej w podobnych okolicznościach mawiał: - Moje dziecko, kara już cię spotkała, tu, na ziemi; grzechy są ci odpuszczone. Dziś odpowiadał z ożywieniem: - Jestem pewien, moje dziecko, że Nasz Ojciec w niebie odwołałby się do twojego zdrowego rozsądku. Masz wystarczająco dużo rozumu w głowie, by pojąć, że twój mąż odszedł i wziął na siebie odpowiedzialność za to, by nie dostarczać światu dodatkowych gęb do nakarmienia. Pokój z tobą!

Kobiecie obciążonej piątką dzieci (dwoje było opóźnionych w rozwoju), której mąż, nałogowy pijak, nieustępliwie egzekwował prawa małżeńskie, polecił wizytę w klinice planowania rodziny. Zapomniał o swoim zwykłym stwierdzeniu, że takie skomplikowane przypadki tworzą złe prawo, co mogło się odnosić zarówno do spraw przyziemnych, jak i duchowych.

Chciał to oczywiście podać do publicznej wiadomości, już taką miał naturę. Pragnął oznajmić światu, że przestał być "półczłowiekiem", i domagać się prawa do pozostawania w związku z własną gospodynią, jeśli taka by była jego wola; jednak Molly się temu sprzeciwiła.

- Zaczną nas fotografować - powiedziała. - Nienawidzę, jak mnie ktoś fotografuje.

No cóż, to akurat rozumiał bardzo dobrze.

W trzecim miesiącu swojej pracy Molly odważyła się kupić mu z funduszy parafialnych kilka nowych koszul i parę spodni. Całymi latami prawie nic nie wydawał na osobiste potrzeby. Mieszkali teraz razem w pokoju Molly i gdy bywało zimno, włączali grzejnik elektryczny. Czekał, aż zapadnie noc i będzie można iść do łóżka, zaczynał rozumieć, czemu jego owieczkom tak bardzo zależało na seksualnych przyjemnościach.

Molly pracowała już czwarty miesiąc, gdy pewnej nocy stwierdziła, że na zachodnich przedmieściach problemu nie stanowi seks, o którym każdy wie, że jest sakramentem, lecz miłość. Czy przyglądał się ostatnio półkom księgarskim? Czy rozumie, że prawie wszystkie kobiety, które potrafią czytać, kupują tanie romansidła? Jakże więc mogą być dojrzałe uczuciowo, skoro w poszukiwaniu moralnego sensu życia zdane są na siebie i literacką tandetę?

- Ziemska miłość jest cieniem miłości boskiej - odparł ojciec Ferguson i trudno mi uwierzyć, że jest to tak niebezpieczne, jak mówisz. - Zapamiętał jednak, co powiedziała, i podczas następnej konferencji prasowej - odkąd otrzymał list biskupa błagający o rozwagę, przeprowadzał je regularnie co tydzień - stwierdził, że w dzisiejszych czasach, pozbawionych moralnego przewodnictwa ze strony oderwanego od życia Kościoła, dostarczyciele fikcji są najbardziej znaczącą siłą moralną w kraju i w związku z tym powinni znaleźć się pod kontrolą

tej instytucji. Pisarze, w większym stopniu niż ich dzieła, muszą zostać poddani próbie społecznej odpowiedzialności. Jeśli wyjdą z niej zwycięsko, będą mogli pisać, co tylko zapragną. Nie miało to nic wspólnego z cenzurą, było tylko autokontrolą.

Wokół całej sprawy wybuchła obiecująca wrzawa. Różne organizacje pisarskie wystosowały rozmaite protesty, utwierdzając ojca Fergusona w słuszności jego działań. Jeśli uderzysz w stół, a nożyce się odezwą, to kryje się za tym coś paskudnego. Przełożony zganił go za wkraczanie w sprawy nie mające żadnego związku z Kościołem, wobec czego pozwolił, by wszystko ucichło.

- Za bardzo się z nimi liczysz - protestowała Molly.

- Musisz wziąć pod uwagę, że wciąż jestem księdzem - odpowiadał.

- Dobrze wiesz, że cała biurokracja kościelna jest przekupna. Mówiłeś mi o tym wystarczająco wiele razy. To politycy, a ty jesteś natchniony przez Boga!

- Moja kochana, sądzę, że trochę przesadzasz. - Było mu jednak przyjemnie. Zresztą wszystko jedno, porzucił sprawy pisarzy i zaczynało ogarniać go senne rozleniwienie.

W ciągu pięciu miesięcy Molly straciła osiem kilogramów, lecz zarazem przybyło jej dwanaście i pół kilograma. Bywał teraz zmęczony do tego stopnia, że przestał biegać do Bradwell Park. W misji wywiesił zawiadomienie, że porady i konsultacje będą udzielane tylko trzy razy w tygodniu. Jeździł tam taksówką i z tego powodu czuł się winny.

Molly kazała w domu zainstalować centralne ogrzewanie. Miał wrażenie, że ciepło przepala go do kości: jego umysł przestał systematycznie i wnikliwie pracować, lecz męczył się gwałtownymi zrywami, a zmysły przez większość czasu trwały w przyjemnym otępieniu. W gorącym i suchym powietrzu niszczało drewno i paczyły się ramy stojących w ciemnych kątach i pokrytych patyną czasu starych dębowych mebli: komód, biurków i stołów. Goście z zaświatów wynieśli się raz na zawsze przepłoszeni ciepłem, winem, jadłem i seksem. Nie widziano ich już nigdy więcej.

Po pół roku Molly oświadczyła ojcu Fergusonowi, że jej zdaniem ma naturę bardziej administratora niż wojownika i w związku z tym mógłby dać sobie spokój z wyprawami do misji w Bradwell Park.

- Ależ to by oznaczało koniec misji!

- Twoją rolę, kochanie, jest tkwić jak cierań w boku Kościoła, dla jego dobra. Pamiętasz przypowieść o talentach? Misja została zamknięta, a ojciec Ferguson uporał się jakoś z dręczącym go poczuciem winy. Zaczął nawet rozglądać się za jakimś nowym zajęciem.

- A co tam słyhać z "Rozprawą o odpowiedzialności literatury"? - pytała.

- Zbyt drażliwa, kłująca sprawa!

- Ale, mój drogi, czyż nie jesteś Królem Cierni?!

Napisał więc listy do sześciu najbardziej znanych autorów popularnych romansów według spisu dostarczonego mu przez Molly. Czterech odpowiedziało, dwóch pominęło sprawę milczeniem; do tych ostatnich należała Mary Fisher.

- Sądzę, że powinieneś ją odwiedzić - powiedziała Molly. - Taka prowokacja nie może jej ująć na sucho. Zignorować list od osoby duchownej! Co za zuchwalstwo! Niemal bluźnierstwo! To obraza wymierzona nie tylko w ciebie, ale i w Kościół!

- Jestem wdzięczny, że zawsze stoisz po mojej stronie. Dotąd byłem przyzwyczajony, że ludzie się wiecznie ze mną kłócą. To bardzo miłe mieć koło siebie kogoś, kto przyznaje rację.

Ojciec Ferguson włożył sutannę, wsiadł do swojego nowego samochodu i odjechał do Wysokiej Wieży. Molly pomachała mu na pożegnanie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Mary Fisher mieszka w Wysokiej Wieży i rozmyśla nad istotą winy i odpowiedzialności. Ciągłe płacze. Wiele czasu upłynęło odkąd po raz ostatni była z mężczyzną w łóżku. Całą miłość kieruje ku Bogu, ponieważ nie ma nikogo innego do kochania. Przypisuje Mu te wszystkie przymioty, o jakich mówił ojciec Ferguson.

W zasadzie mogłaby pokochać ojca Ferguson, ale jest księdzem i przypuszczalnie zachowuje celibat. Nie przyszło jej do głowy, że też jest człowiekiem z krwi i kości, mającym swoje potrzeby seksualne. Dzięki niemu zbliżyła się do Boga i to wszystko.

Starsza pani Fisher co jakiś czas podrywa się z łóżka i wykrzykuje: "Zabierz stąd tego czarnego kruka. Księża przynoszą nieszczęście."

A czy od chwili, gdy Bobbo opuścił żonę i zamieszkał z Mary Fisher, wszystko wokół niej nie pogrążyło się w nieszczęściu niczym w falach zatapiających brzeg u stóp Wysokiej Wieży? Ojciec Ferguson twierdzi, że nie może być mowy o nieszczęściu; to kara za grzechy. Wygląda na to, że Bóg karze swoich ulubieńców nie w przyszłym życiu, ale na tym świecie.

Ojciec Ferguson zaczął trochę popijać, wybierając z piwnicy Mary Fisher co przedniejsze trunki. Nie było tam teraz okazałych zapasów, bo ich właścicielka sprawę zaopatrzenia w alkohol pozostawiała zawsze mężczyznom, a ci zniknęli z jej życia.

Czy to nie znak czasów, że wszystko chyli się ku upadkowi? Klęska dotyka nie tylko ludzi, ale i rzeczy.

Mary Fisher gdziekolwiek spojrzy, widzi to samo. Dziecko Garcii i Joan urodziło się z wadą serca. Zrozumiałe, że nie mogła mu dobrze życzyć pozostawiała to matce, złodziejce - ale drażnił ją spektakl, jaki uczynili ze swego nieszczęścia.

Ojciec Ferguson, starając się ją ukoić, wyjaśniał istotę miłości Boga, który w jakiś sposób sprawiał - nigdy nie potrafiła dokładnie zapamiętać w jaki - że ból i cierpienie stawały się pożądane i celowe. Mary Fisher zwierza mu się z krzywdy, którą wyrządziła żonie Bobba i jego dzieciom. Rozumie teraz, jakie to było nikczemne. Nie widzi usprawiedliwienia dla swoich złych postępów. Pragnie wiedzieć, jak być dobrą.

- Wypisujesz jakieś zgubne nonsensy - bez ogródek mówi duchowny. - Musisz przestać, wtedy zaczniesz być dobra.

Jeszcze tego brakowało! Ojciec Ferguson stara się jej wytłumaczyć, w jaki sposób Mary niszczy życie milionom czytelniczek. Przedstawiając fałszywy obraz świata rozbudza ich złudne nadzieje, a tym samym osobiście odpowiada za nieszczęścia całych rzesz kobiet. Obarcza ją nawet winą za ich skłonność do nadużywania valium. Ręka pisarki Mary Fisher zadrżała i znieruchomiała.

Ojciec Ferguson mówi też o wielkim bożym miłosierdziu: prawdziwie skruszonemu, pełnemu wiary człowiekowi Bóg zawsze wybaczy. Mary Fisher rozpaczliwie pragnie wybaczenia. Chce prawdziwie, szczerze wierzyć, nawrócić się na katolicyzm. I nawraca się.

Szczęśliwa w swojej nowej wierze Mary Fisher nabiera ciała i znowu pięknieje. Dwa razy w tygodniu modlą się razem z ojcem Fergusonem, który przychodzi do niej we wtorki i czwartki na obiad, a w czwartki zostaje na noc. Mary Fisher postanawia zrobić użytek ze swojego nazwiska, sławy, pozycji. Chce ocalić świat i już nigdy sama nie przysparzać mu kłopotów.

Rozpoczęła właśnie swoją nową powieść "Perłowe bramy miłości". Wydawcy wpadli w zachwyt.

Mniejsze zadowolenie okazał ojciec Ferguson i próbował jej wyjaśnić, że obie miłości: duchowa i ta bardziej przyziemna, wzajemnie się nie wykluczają.

- Istnieje jednak prawda literacka - mówi Mary, która w sprawach zawodowych czuje się pewniej niż w jakichkolwiek innych. - Ta prawda musi się znaleźć w powieści. Może za zarobione pieniądze wybudują pośród tego bagna nową kaplicę.

Oburzyła go, ale nie zamierzał robić jej wyrzutów. Jest czwartkowy wieczór. Mary Fisher idzie do swojego pokoju, by się wypłakać do woli, i pozostawia ojca Fergusona samego. Garcia nasłuchuje, czy nie dojdzie go odgłos kroków duchownego wspinającego się po kamiennych schodach do jej srebrzystobiałej sypialni. Niczego jednak nie słyszy. Odczuwa miłe zadowolenie, ponieważ znowu bywa o nią zazdrosny i jej pożąda. Rozczarował się do tej złodziejki Joan, która urodziła mu ułomne dziecko. Sam więc idzie do pokoju Mary.

Wygląda na to, że czas, znieruchomiały w długim zimowym śnie, ocknął się i gwałtownie ruszył naprzód, a ona znów znalazła się w punkcie wyjścia. Kto wie, może nawet w końcu wyleczyła się z miłości do Bobba?

Wtedy w jej pokoju pojawia się ojciec Ferguson i Garcia zostaje przepędzony. Mary Fisher jest przerażona.

- Bądź moim pocieszeniem - prosi ojciec Ferguson, niby przypadkiem siadając na brzegu jej łóżka. - To całkiem niewielki grzech powszedni, który z pewnością będzie nam odpuszczony.

Ale ona mu już nie wierzy. Teraz dopiero wszystko widzi wyraźnie. Wierzy w miłość, lecz nie potrafi oprzeć się swojej żądzy. Czci Boga, a pozwala się zwodzić diabłu. Nie umie nawet zachować w sobie miłości Bobba; wyobraża go sobie jako trytona z ogonem, nogami i pustką pomiędzy nimi. Jest upokorzona. Ona, przed którą ojciec Ferguson otworzył swoją duszę, okazała się zwierzęciem nie lepszym niż doberman, kiedy przeży ciało i pomrukuje z rozkoszy.

Mary Fisher widzi, jak Bóg znika z jej życia: staje się mały, coraz mniejszy i ginie w nieskończoności, pozostawiając ją bez przebaczenia, z poczuciem winy.

- Musimy ogłosić rozejm - rzecze duchowny - pomiędzy dobrem i złem, duszą i ciałem. Musimy przyjąć dobro na równi ze złem. Nowy Bóg nie przybywa po to, by wytykać nam grzechy, ale by się im przyjrzeć. Tylko mając pełną wiedzę o tym, kim jesteśmy, możemy oczekiwać zbawienia.

I teraz on zamierza ją uwolnić od poczucia winy! A przecież tylko to jej jeszcze zostało: jedyny porządek, jaki może narzucić chaosowi własnego życia.

- Wszystko musi się zmienić, nawet grzech. - Kiedy to mówił, wyglądał jak Przekupień relikwii z opowieści Chaucera, gruby, pazerny i zadowolony z siebie zakonnik sprzedający odpusty, gotowy targować się tak długo, aż postawi na swoim. Objął silnymi rękami jej małą postać i zawinął w swoją brązową sutannę, uszytą nie z szorstkiej tkaniny, lecz z bardzo delikatnego jedwabiu. - Nie możemy walczyć z naszym instynktem i popędem - dowodzi. - Jesteśmy dziełem Boga, każda, nawet najmniejsza część naszego ciała, które zatem musimy traktować na równi z duszą.

To ja go tego wszystkiego nauczyłam. Dobrze więc życzę księdzu, przeklinając w myślach Mary Fisher. Garcia odwraca wzrok od dziurki od klucza i traci szansę oglądania tamtej sceny. Wiem jedno, że jeśli ona będzie z Garcia, to rzeczywiście będą razem, a jeśli on będzie ze mną, to i tak myślamy pozostanie przy niej. Dlaczego miałyby być inaczej? A jednak żałuję jej nawet dziesięciu minut szczęścia, bo tylko tyle mógłby jej dać.

Lubię się z nią drażnić: podsuwać małą gwiazdkę nadziei po to, by ją sprzątnąć jej sprzed nosa. Pamiętam przygotowanie zupy grzybowej w oczekiwaniu na uśmiech Bobba, kurczaka "vol-au-vent", by zdobyć jego aprobatę, i musu czekoladowego w nadziei, że ją porzuci i wróci do mnie. Nie zrobił tego. Pozwólmy więc Mary Fisher doświadczyć tego, co ma się stać za chwilę. Tak czy owak, ona nie ma już wyboru.

Zauważyłam agenta ubezpieczeniowego, jak kopał koło probostwa. To ten sam, który był u nas po pożarze przy Nocnego Ptaka 19. Mało prawdopodobne, żeby rozpoznał we mnie tamtą łagodną, roztargnioną, niezgrabną kobietę, której życiowy dorobek poszedł z ogniem.

Jestem szczupła, silna i zwinna. Rozwaga jednak nakazuje opuścić mi to miejsce. Sępy mają ostry wzrok.

Inna rzecz, że wciąż mam do zrzucenia siedem kilogramów. Wywierając wpływ na życie ojca Fergusona, by pomóc mu w przemianie z ascety w hedonistę, musiałam zapłacić swoją cenę. To mężczyźni sprawiają, że kobiety tyją. To oczywiste!

Muszę zaszyć się w miejscu, gdzie nie ma mężczyzn. W każdym razie już dłużej nie chcę tu przebywać. Ojciec Ferguson sprzedał wszystko miastu: jest teraz ulubieńcem swoich przełożonych. Od czasu do czasu pokazują się robotnicy, aby wymierzyć dom, tak jak przedsiębiorcy pogrzebowi biorą miarę zwłok na trumnę. Widziałam ten dom w dniach jego umierania i wszystko - nieważne zresztą, w jakim stopniu - co przyczyniło się do jego śmierci. Dom pozbawiłam duszy w momencie, gdy przepędziłam duchy w nim mieszkające.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ruth przyłączyła się do komuny feministek, które nie utrzymywały żadnych kontaktów ze światem mężczyzn i bez trudu zaakceptowały ją jako jedną z nich. Tym razem występowała pod nazwiskiem Millie Mason i nosiła tak jak one dżinsy, bawełniane koszulki, wysokie buty i obszerne marynarki. Nie pytały, skąd przyszła. Była kobietą, cierpiała z tego powodu i to wystarczało. Nowe towarzyszki Ruth nie jadały mięsa ani produktów mlecznych, a zaspokojenie seksualne znajdowały we wzajemnych związkach. Nie pragnęły być atrakcyjne dla mężczyzn, choć wiele z nich mogło pochwalić się urodą. Kobiety - jak same siebie nazywały - mieszkały w grupie za miastem w przyczepach kempingowych, ustawionych kręgiem wokół starego domu na farmie. Pracowały na dwuhektarowym polu, uprawiając rośliny strączkowe, żywakost i krwawnik pospolity. Z zebranych plonów robiły przetwory i sprzedawały je w sklepach ze zdrową żywnością na terenie całego kraju. Miały córki, nie miały synów: tych ostatnich pozbywały się w sposób, który dla zewnętrznego świata mógł się wydać okrutny, a dla nich nie był pozbawiony sensu.

Ruth nie brakowało siły, potrafiła wiele rzeczy, a przy tym nie miała tych wszystkich cech, które określane są jako kobiece. Robiła co mogła na rzecz wspólnoty, a jednocześnie cieszyła się, że jej pobyt ma charakter tymczasowy, bo nie chciała na stałe żyć w tym świecie. Brakowało mu blasku, był wyszarzały, praktyczny i rozmokły. Grzął w błocie leżących odłogiem nieużytków. Nie było tu żadnych iskrzeń czy budzących dreszcz grozy ogni piekielnych.

Życie było twarde, a niskotłuszczowa dieta składała się głównie z łykowatych włókien. Z każdym dniem pracy na roli, gracowania motyką, dojenia dżinsy Ruth stawały się luźniejsze. Nie było jednak wagi, na której mogłaby sprawdzić, ile jej ubyło kilogramów, i nigdzie też nie udało jej się znaleźć lustra.

- Nie ma znaczenia, jak wyglądasz - mówiły kobiety. - Ważne, jak się czujesz.

Wiedziała, że nie mają racji. Pragnęła się znaleźć w samym środku tętniącego życiem miasta, nie wegetować w jakiejś zapadłej dziurze, choćby panowała w niej sama prawość i uczciwość. Nie zdradzała się jednak ze swoimi myślami, nie chciała zostać bezdomną. Kobiety szybko rozprawały się ze swoimi oponentkami, obwołując je zdrajczyniami stanu kobiecego.

Kiedy Ruth już prawie nie mogła się doszukać różnicy pomiędzy swą talią a biodrami, zatelefonowała z budki do doktora Roche'a. W komunie nie było telefonu: takie urządzenia - wymysły męskiej technologii - były kontrolowane. A poza tym kobiety nie miały potrzeby komunikowania się ze światem zewnętrznym.

- Schudła pani dwadzieścia kilo?

- Może nawet więcej.

Umówił Ruth na spotkanie w przyszłym tygodniu z doktorem Ghengisem, który miał specjalnie przylecieć aż z dalekiego Los Angeles - jak nie omieszkał dodać.

- Stanowi pani bardzo interesujący przypadek - powiedział.

- Tak? A dlaczego?

- Co za wyzwanie!

- Chcę wyglądać tak, jak to sobie obmyśliłam, a nie jak on chce, żebym wyglądała - ostrzegła.

W słuchawce zapadła cisza. - Sprawa może okazać się bardzo kosztowna - rzekł w końcu Roche.

Ruth przeniosła swoje pieniądze ze Szwajcarii do banku w Los Angeles; cała operacja finansowa poszła gładko.

Wybrała się do księgarni i kupiła egzemplarz "Perłowych bram miłości".

- Jak to się sprzedaje? - zapytała.

- Bardzo kiepsko. Ot, religijne głędzenie - odpowiedziała kierowniczka i zawołała: - Alicjo, usuń książki Fisher z półek. Pamiętaj, że nie ma na nich miejsca na coś, co nie przynosi żadnego dochodu.

Ruth wycięła z obwoluty zdjęcie autorki, a książkę wyrzuciła do śmieci. Mary Fisher spoglądała w niebo, jakby łączyła ją z Bogiem bezpośrednia "gorąca linia". Wyglądała na osobę czarującą i szczęśliwą. Ruth przeszukiwała księgarnie, chcąc znaleźć inne jej powieści, które mogły być opatrzone zdjęciem całej sylwetki. Miała dość szczęścia, aby na jedną trafić.

- No tak! - powiedział doktor Ghengis spoglądając na fotografię. - I mamy kłopot!

- A to dlaczego? - ponuro spytała Ruth.

- Włosy to drobiazg, twarz też możemy zrobić, bo to rysy klasyczne. Z ustami będzie gorzej, ale jest możliwe. Kiedy szczęka zostanie przycięta, linia ust wypadnie na właściwym miejscu. Oczywiście w miarę możliwości postaramy się wszystko zoperować od wewnątrz. Możemy wyraźnie zmienić kształt ciała. Bardzo pani schudła, prawda? Jak tego pani dokonała?

- Trzymając się z dala od mężczyzn - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Taki sposób nie zyskałby aprobaty większości moich pacjentów, którzy już raczej woleliby dać sobie wyciąć kawał tłuszczu. Obawiam się jednak, moja droga, że proporcje będą dziwne. Ta pani jest w końcu niższa o przeszło piętnaście centymetrów.

- Wobec tego trzeba o tyle skrócić moje nogi - odparła. - Wiem, że można to zrobić.

Chwilę potrwało, zanim się odezwał.

- Nikomu nie skrócono kości udowej o więcej niż siedem centymetrów. Stosunkowo łatwo jest usunąć kość, można ją po prostu odrąbać. Ale mięśnie, żyły, ścięgna muszą zostać odpowiednio podwiązane i skrócone. To już nie jest ani proste, ani bezpieczne.

- Ja ponoszę całkowitą odpowiedzialność - oznajmiła Ruth. - Daje pan ludziom nowe serca, nerki, wątroby, a ja proszę o zabranie czegoś zbytecznego.

- Ale w jakiej ilości!

- Z roku na rok rozwijają się nowoczesne techniki chirurgiczne. Można więc zastosować tradycyjne metody, mikrochirurgię, lasery...

- Ciało pozostaje ciałem i ciało czuje lęk, gdy się je rozcina. Można doznać trwałego urazu: ciało się pofałduje, pomarszczy, a wtedy strach pomyśleć! Niczego się już nie da zrobić. Nie umiemy skrócić kości udowej o więcej niż siedem centymetrów. To naprawdę szczyt naszych możliwości!

- Wobec tego możecie mi trochę ująć z goleni.

- Nigdy się tego nie robiło.

- A zatem będzie to pierwszy raz. A może by pan wolał usunąć jakąś część stosu pacierzowego?

Rozległo się paniczne: "Nie!"

Uśmiechnęła się zadowolona z siebie. Czuła, że wygrała, i jemu też się tak zdawało. Spróbował jednak jeszcze postawić wszystko na jedną kartę.

- Inny problem, jaki nurtuje chirurga plastycznego - zaczął - tkwi w tym, że można zmienić ciało, ale nie zmieni się konkretnej osoby. Doświadczenie nasze co prawda wskazuje, choć to może zabrzmieć odrobinę zbyt mistycznie, że ciało stopniowo dopasowuje się do osobowości. Ci, którzy mają odwagę poddać się zabiegowi, może są bogaci, ale nie piękni. Prosi pani, aby uczynić ją piękną. Pani wybaczy, ale to po prostu banalne.

Posunął się za daleko. Zamilkł.

- Mam wyjątkowo elastyczną osobowość - zauważyła Ruth. - Na wiele sposobów usiłowałam dopasować się do mojego "normalnego" wyglądu i do świata, w którym się urodziłam, ale nie powiodło mi się. Nie jestem rewolucjonistką. Skoro tamtego nie mogę zmienić, sama się muszę zmienić. Jestem pewna, że szczęśliwie odnajdę się w swoim nowym wcieleniu.

- Będzie to kosztowało miliony dolarów, czy więc warto?

- Mam je. Warto.

- Może trwać latami.

- Mam czas.

- Mogę sprawić, że nie będzie pani wyglądała staro, ale przecież nie ujmę pani lat z metryki.

- Myli się pan. Wiek to jest to, co widzą inni, a nie to, co im się wydaje.

Zrezygnował i zgodził się ją przyjąć do swojej kliniki w celu, jak to sam określił, intensywnej odnowy. Jego asystentem miał być doktor Black, który w miarę potrzeby zajmie się angażowaniem innych specjalistów. Napisze do niej później, a tymczasem Ruth powinna wrócić do normalnego życia.

Ruth powróciła więc i do komuny, i do orki na ćwierć hektarowej działce. Czuła, jak pracują mięśnie jej mocnych nóg i pot spływa między łopatkami jej silnych ramion pod męską drelichową koszulą. Dostrzegła wzbijającego się coraz wyżej skowronka: delikatne, kruche, przepelnione świergotliwą pieśnią stworzenie na wąskim skrawku błękitu, przez który przeświecało południowe słońce. Ale wtedy niższe warstwy chmur skłębiły się, przesłaniając kawałek czystego nieba, i nagle pociemniało. Błyskawice zygzakiem przecięły niebo w miejscu, gdzie ostatnio widziała ptaka.

Ruth wystawiła twarz na uderzenia wielkich bębniących kropli, które właśnie zaczęły spadać; ziemia pod gumowcami natychmiast zmieniła się w błoto. Zaciągnęła z powrotem do szopy ciężką maszynę.

W domu zebrały się już inne kobiety. Śmiejąc się, z radością zdejmowały kaptury i gumki. Obejmowały się i przytulały - uściski były dla nich czymś ważnym, a jednocześnie nie budzącym zdziwienia. Ruth coraz częściej wahała się, myśląc o wyjeździe, już prawie chciała się do nich przyłączyć na stałe, tak miłe było to, że wzajemnie wspierały się i dodawały sobie otuchy. Ale nie mogła, należała bowiem do innego środowiska. Zdawała sobie sprawę, że nadchodząca noc pograży kogoś we łzach: w ciągu tych kilku zabłoconych, roześmianych minut ktoś się w kimś zakochał, a ktoś pozostał samotny. Ładne kobiety cierpiały mniej, brzydsze bardziej: działo się tu podobnie jak wszędzie.

W jakieś dziesięć dni później otrzymała list od doktora Ghengisa z opisem poszczególnych etapów procesu, jaki będzie musiała przejść, i z przybliżonymi kosztami całej operacji. Dokładne kalkulacje nie były ani potrzebne, ani prawdziwe, ponieważ rekonwalescencja zawsze zależała od indywidualnych predyspozycji danej osoby. W ten sposób pośrednio dawano jej do zrozumienia, że chirurg nigdy nie wie, co może odkryć w ludzkim ciele, dopóki nie zajrzy do środka.

Papeteria w bladofiołkoworóżowym kolorze z tłoczonymi w złocie literami z nazwą kliniki i białym szerokim eleganckim pasem u dołu przypominała do złudzenia jedną z

okładek książek Mary Fisher, tyle że była opatrzona lekarskimi pieczęciami. Ten rodzaj papieru, równie romantyczny, jak poważny, stwarzał nadzieje i budził zaufanie.

W klinice "Harmione" zamierzano przyciąć szczękę Ruth o siedem centymetrów, podnieść i wyregulować łuki brwi, obniżyć linię włosów za pomocą przeszczepu skóry, napiąć zwiotczałe pod skórą mięśnie, zlikwidować mongolską fałdę nad okiem, zmniejszyć wielkość i grubość płatków uszu i sprawić, aby bardziej przylegały.

Ruth miała też wybrać się samolotem do doktora Roche'a, "najlepszego na świecie specjalisty od chirurgii plastycznej nosa", aby zmniejszył i wyprostował jej nos, który - jak podejrzewała - stanowił jego prowizję.

Co do ciała, to zostanie zebrana luźno zwisająca pod pachami skóra, a z ramion, pleców, pośladków, bioder i brzucha usunięty tłuszcz. Gdyby należała na skrócenie nóg, ramiona musiałyby zostać ściągnięte do tyłu, aby zachować właściwe proporcje rąk w stosunku do całej reszty. Ruth zmarszczyła brwi czytając list.

Musi przeznaczyć na przeprowadzenie wszystkich zabiegów około dwóch lat, a około czterech, gdyby chciała zmienić wzrost. Proponowane zmiany mają na tyle radykalny charakter, że zarówno ciało, jak i psychika muszą mieć dość czasu na osiągnięcie stanu równowagi. Naturalnie należy się liczyć z pewnymi dolegliwościami. (Ruth już wiedziała, że to, co czują pacjenci przed operacją, chirurdzy nazywają bólem, a po operacji dolegliwościami.) W każdej chwili może przyjść do kliniki i w każdej chwili ją opuścić, zgodnie ze swoim życzeniem. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że przed i po operacjach czekają ją długie okresy leżenia w łóżku. Bardziej szczegółowy program zabiegów zostanie nakreślony wkrótce po jej przybyciu, po kolejnych konsultacjach i badaniach lekarskich.

Klinika załączyła kalkulację kosztów z wyszczególnieniem: 110 tysięcy dolarów za chirurgię plastyczną twarzy, 300 tysięcy za ciało i milion za nogi. Specjaliści, powinna sobie to uświadomić, zostaną sprowadzeni z różnych krajów. Niewykluczone, że możliwe będzie uzyskanie pewnej dotacji finansowej z fundacji naukowych na pokrycie ostatniej kwoty.

"Tworzenie historii medycyny - pisał doktor Ghengis atramentem na dole trzeciej strony listu - nie jest tanie. Zdecydowaliśmy się w końcu na operację nóg, aby dać medycynie skromną szansę nadażenia za ludzkimi aspiracjami. Z pewnością mile zaskoczy Panią wiadomość, że ostatnio pojawiła się nowa udoskonalona technika skracania i zasklepiania żył, polegająca na przypalaniu ich krawędzi. Przeprowadzono już próby na zwierzętach i dało to znakomite rezultaty".

Ruth czytała list przy śniadaniu, siedząc sama w jadalni na końcu stołu przykrytego poplamionym obrusem. Chrupała płatki, które miała w miseczce: ich mieszankę codziennie przygotowywała inna osoba pełniąca dyżur. Tego ranka była to rudowłosa Sue.

- Smakują ci płatki? - zapytała Sue. Miała ładną, choć strapioną buzię i jasne proste brwi, które zdawały się dzielić na pół nie tylko jej twarz, ale i charakter.

- Są pyszne - odpowiedziała Ruth.

- To dobrze - mówiła Sue - ponieważ w tym tygodniu staram się nas odzwyczaić nie tylko od cukru, ale i od suszonych owoców. To, co jesz, to prawie same płatki. A więc, jak widzisz, można! Możemy polubić to, co jest dla nas dobre. To po prostu kwestia edukacji!

- Doskonale rozumiem - odezwała się Ruth. - Któż chciałby pić mleko, jeśli woda jest równie dobra!

- Jakież ciekawe wieści? - zainteresowała się Sue. Bładofiołkoworóżowa papeteria, tak kusząca i elegancka, wydała jej się jawną prowokacją.

- To list od matki - wyjaśniła Ruth. Było to pierwsze kłamstwo, jakie przyszło jej na myśl, ale zaraz przypomniała sobie, jak dawno temu matka dziękowała komuś za życzenia noworoczne, pisząc na podobnym fiołkoworóżowym papierze o lekkim zapachu bzu.

Ruth zadzwoniła do Agencji "Vesta Rose" prosząc, aby ją połączono z siostrą Hopkins. Agencja posiadała obecnie własną centralę telefoniczną, którą obsługiwała młoda, energiczna i uprzejma kobieta.

- Jak się masz, kochanie?

- Tęskniłam bardzo za tobą, ale jestem tak zajęta, że nie mam nawet czasu, żeby zebrać myśli.

Mówi jak mężczyzna, pomyślała Ruth. - Jak się miewa mały? - zapytała o autystycznego synka Olgi.

- To już duży chłopak i jaki silny! - zawołała z dumą siostra Hopkins.

- Podobny do ciebie - pochwaliła ją Ruth.

- Wiem, i myślę, że się wreszcie uporam z moimi problemami. W Lucas Hill testują obecnie nowy środek uspokajający. Mogę mieć do niego dostęp przez kogoś z naszego personelu. Dziecko na pewno poczuje, że się zmieniłam, jestem tego pewna.

- Czy mamy kogoś w Greenways? - Była to nazwa więzienia, w którym przebywał Bobbo.

- Jedną terapeutkę prowadzącą zajęcia artystyczne i sekretarkę komendanta. A dlaczego pytasz?

- Bardzo bym chciała z którąś z nich się spotkać.

- Spróbowałabym z terapeutką - swobodnie odpowiedziała siostra Hopkins. - Jej dziecko jest w naszym złobku. Zawsze przyprowadza je bardzo wcześnie. Dość zdolna malarka, przygotowuje się właśnie do udziału we wspólnej wystawie, na imię ma Sara.

Ruth umówiła się z nią na kawę w pewnej ustronnej kawiarence i zaczęła wypytywać o Bobba.

- W końcu się ustatkował - powiedziała Sara.

- W końcu?

- Przez jakiś czas po wyroku wpadał w niepohamowaną wściekłość. To paranoik.

Obstawał przy tym, że ktoś przekupił sędziego. Jestem przekonana, że powinien znaleźć się w Lucas Hill. Granica pomiędzy szaleństwem i zbrodnią jest zawsze bardzo subtelna.

- W końcu ludzie opuszczają Greenways - powiedziała Ruth.

- No tak - przyznała Sara. Była smagłą pięknoscią o krągłej twarzy. Piła tylko czarną kawę i w obawie przed utyciem odmówiła zjedzenia drożdżówki. Ostatnio zaobserwowała, że Bobbo popadł w depresję. Zorientowała się w stanie jego ducha po kolorach rafii, jakie wybierał do wyplatanych koszyków. Zachęcała go do żywych barw z podstawowej gamy, ale jemu bardziej odpowiadały ciemne brązy i wszelkie odcienie khaki. Przygnębiały go również wizyty.

- Czy dużo osób go odwiedza?

- Niekiedy przychodzi drobna blondynka.

- A dzieci?

- Nie, przypuszczalnie z tego samego powodu. Wystarczająco źle się dzieje, kiedy zjawia się tamta kobieta. Po każdej jej wizycie Bobbo przez wiele dni uparcie wpatruje się w pustą przestrzeń.

- Więc nie powinna przychodzić! Dlaczego do niej nie napisze i nie poprosi, aby tego nie robiła? Podobnie jest z dziećmi w szpitalu, które znacznie szybciej wracają do zdrowia, jeśli rodzice ich nie odwiedzają.

Sara przyznała, że to dobry pomysł i podsunie go swojemu podopiecznemu. Stali się sobie bardzo bliscy, a w czwartek wspólnie będą mogli popracować podczas sesji odnowy moralnej.

- Zdaje się, że to całkiem przyjemne więzienie - zauważyła Ruth.

- Bo tak jest - potwierdziła Sara. - Nie rozumiem tylko, dlaczego tyle mamy samobójstw.

Ruth napisała list do kliniki "Hermione" i zaakceptowała podane jej terminy, zarazem prosząc, aby powzięto odpowiednie kroki w sprawie udzielenia ewentualnej pomocy finansowej ze strony jednej z fundacji naukowych.

Potem zaczęła się żegnać z własnym ciałem. W korytarzu, gdzie przechowywane były buty i kapcie, zdjęła z siebie ubranie i w jedynym lustrze, jakie udało jej się znaleźć, studiowała swe odbicie. Oparte o ścianę wielkie gregoriańskie zwierciadło w połączonych ramach było matowe, zaśniedziałe i łuszczyło się w tych miejscach, w które przypadkiem trafiły niedbale zdejmowane buty. Wąska rysa biegła z jednej strony na drugą, ale środkowa część powierzchni była dostatecznie gładka, aby się w nim przejrzeć. Przyglądała się ciału, które tak niewiele wspólnego miało z jej prawdziwą naturą. Wiedziała, że będzie zadowolona, gdy wreszcie się od niego uwolni.

- W porządku - powiedziała mała Sue o strapionej twarzy, specjalistka od owsianych mieszanek. Właśnie przyszła, aby ściąć kielkujące pędy z ziaren hodowanych na półce w ciemnym kącie korytarza. - To cudowne uczucie zdjąć czasami z siebie wszystko. Masz dorodne, wspaniałe kobiece ciało!

- Myślę, że nadszedł już czas, abym opuściła komunę - oświadczyła Ruth.

- Ale dlaczego?

- Potrzebuję trochę prywatności.

- Dlaczego? Czy masz coś do ukrycia? Lepiej mi powiedz, a zaraz poczujesz się inaczej. Wszystkie jesteśmy przyjaciółkami, pomagamy sobie. Nie musisz się wcale przeglądać w lustrze, dobrze o tym wiesz. Prawdziwy swój obraz znajdziesz w oczach innych kobiet. W lustrze może się tylko odbić ciało, lecz nie dusza, nie dusza kobiety. Tyle razy już prosiłam, aby wyrzucić stąd to przeklęte stare zwierciadło, które wodzi nas na pokuszenie, ale nikt nie chciał mnie posłuchać.

- Ma dużą wartość, to antyk - zauważyła Ruth.

Wtedy Sue podniosła łopatę i cisnęła nią w lustro, rozbijając je w drobny mak. Posypały się odłamki, z lekkim brzękiem odbijając się od podłogi, a potem zaległa cisza.

- Naprawdę nie chcemy go tutaj - rzekła. - Kobiety zbyt długo były w niewoli przedmiotów i męskich wzorców wartości, za długo.

Zaraz zebrał się tłumek ciekawskich, które zwabił dźwięk tłuczonego szkła. W komunie nie było telewizji i każde niefortunne wydarzenie miało swoją stałą publiczność. Sue podzieliła się z nimi wiadomością o wyjeździe Ruth; bardzo je to dotknęło i zmartwiło.

- Jak możesz odwracać się od nas: od miłości, pokoju, twórczej, prawdziwej kobiecości?

Ruth pomyślała, że przyjdzie jej to bardzo łatwo. Kazały jej zapłacić 27 dolarów za pranie i skonfiskowały kilka drobnych należących do niej przedmiotów, włączając w to budzik i parę skórzanych ogrodowych rękawic. Odmówiły też podwiezienia na odległą o prawie pięć kilometrów stację, musiała więc pójść pieszo, odprowadzana wrogimi spojrzeniami. Kupiła bilet pierwszej klasy do Los Angeles, skąd najbliższym samolotem zamierzała udać się do kliniki "Hermione". Nie miała żadnego bagażu poza kilkoma kupionymi na lotnisku książkami. Niczego z przeszłości nie chciała zabrać. Kilka potrzebnych telefonów знаła na pamięć.

Rozdział trzydziesty

Mary Fisher żyje w Wysokiej Wieży i czeka, żeby wreszcie się to skończyło. Wolałaby tu nie mieszkać. Nigdzie już nie chce mieszkać. Mówiąc szczerze, odechciewa jej się żyć. Pragnie stopić się w jedno z gwiazdami i spienionym morzem. Marzy, aby płomień jej życia przygasł i było już po wszystkim. Jest romantyczką, nawet gdy nachodzą ją myśli samobójcze.

- Tak dłużej nie można żyć - mówi ojciec Ferguson. - To grzech.
- Wiem - odpowiada Mary Fisher. Wierzy teraz, znowu w niebo. Prawie sobie nań zasłużyła: miała stosunek płciowy z księdzem!
- Kusisz mnie.
- Wiem - przytakuje, a on pakuje brezentowe torby i jedzie do Alice Appleby, której powieści odnoszą teraz sukcesy, a jej miła, inteligentna twarz spogląda ze wszystkich półek z książkami. Nie jest dobrym kochankiem. Niewiele miał w życiu tego typu doświadczeń, może więc Alice nauczy go czegoś nowego.

Mary Fisher otrzymuje list od Bobba z prośbą, aby go nie odwiedzała - "Twoje wizyty wytrącają mnie z równowagi". Mary Fisher zastanawia się, kto mu powiedział, co się stało z Harnessem. Zadręcza się tymi myślami i obwinia, ale przestaje odwiedzać Bobba.

Stoi w oknie Wysokiej Wieży iomalże nie skacze w przepaść. Ale czy może sobie na to pozwolić? Tkwi w pułapce własnej świadomości, nowego rozumienia świata i co więcej, dobroci serca. Czy matka mogłaby się bez niej obejść teraz, u kresu życia? A co z Andym i Nicolą, jak bez jej pomocy wkroczą w dorosłość? Mary Fisher musi być przy nich i ich kochać, ponieważ nikt inny tego teraz - a może i nigdy? - nie robi. I jakież byłby to przykład, gdyby odtrąciła dar życia? To jak pałeczka w sztafecie: trzeba ją dobrze przejąć, inaczej bieg zostanie przerwany. Jej końcem będzie miłość, jedyna i niepowtarzalna, która na pewno kiedyś nadejdzie.

Mary Fisher nie ma dobrego samopoczucia. Spogląda w lustro i widzi, że jej włosy są cienkie, a cera matowa. Schudła. Kiedy idzie do wioski, jest tylko jedną z wiecznie śpieszących się, starzejących kobiet, kurczowo trzymających się tego, co im w życiu pozostało. Nie przyciąga już wzroku innych. Bank zawiadamia, że jest poważnie zadłużona. Musi wystawić na sprzedaż Wysoką Wieżę, ale nie sprawia jej to większej przykrości. Uprzedza tylko Garcie i Joan - jedynych służących, jacy pozostali - że nie będzie im już więcej płacić pensji.

- Nie możesz nam tego zrobić - oburza się Garcia.

- Mogę - odpowiada, patrząc mu prosto w oczy. Garcia spuszcza wzrok, a ona zastanawia się, dlaczego nie zrobiła tego dużo wcześniej. Czy kiedykolwiek istniało coś, czego się obawiała, poza tym, by stanąć twarzą w twarz z własną winą?

- Ale gdzie będziemy mieszkać? - pytają dzieci i starsza pani Fisher. Nagle stali się łagodni, uprzejmi niemal sympatyczni. - Jak będziemy żyć?

- Tak jak inni ludzie - mówi - w jakimś małym, praktycznie urządzonym domku. Na to jeszcze nas stać.

Wszystko przyszło za późno, a ona czuje potworne zmęczenie. Sukces był początkiem klęski. Jej ciało zapamiętało wcześniejsze złe chwile i przy pierwszej nadarzającej się okazji odmówiło posłuszeństwa, pogrążając się w chaosie. To, co było w nim stałe i niezmienne, straciło swą wyrazistość. Komórki zaczęły się rozmnażać bez celu, puszczone samopas niczym dzieci wybiegające ze szkoły.

Mary Fisher ma przykry powracający ból w plecach. Idzie do lekarza, a ten wysyła ją do szpitala na badania. Nie spodziewa się dobrych prognoz.

Mary Fisher idzie do szpitala, protestując jak wszyscy: - Naprawdę nie mam teraz czasu, aby zająć się sobą. Jest zbyt wiele do zrobienia. Jak oni sobie beze mnie poradzą?

Mary Fisher, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, czuje się niemal szczęśliwa. Bo czyż szczęściem nie jest świadomość, że ktoś nas naprawdę potrzebuje?

Zjawiają się potencjalni kupcy i oglądają Wysoką Wieżę. Ceny nieruchomości spadły, a benzyna jest droga. Nikt tak naprawdę nie chce mieszkać w tym miejscu, skąd wszędzie jest bardzo daleko. Urwisko osypuje się i wkrótce całe domostwo może runąć do morza.

Koszt zabezpieczenia skarpy będzie nieprawdopodobnie wysoki, chyba że sama natura pomoże: zwiąże, podtrzyma, umocni. Jeśli życie ma być znowu znośne.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Doktor Ghengis lubił swoją pracę. Wydawała mu się jednym z nielicznych zajęć, którym nic nie można zarzucić. Praca w służbie społeczeństwa mogła być uznawana za stwarzanie systemu prowizorycznych zabezpieczeń, leczenie ludzi widziane jako interes, na którym żerują wielkie firmy farmaceutyczne, nauczanie jako niewolenie młodych umysłów, sztuka - próżniacze pięknoduchostwo, a biznes, nieważne jaki - miażdżenie biedoty obcasem kapitalizmu, i tak dalej. Chirurgia plastyczna była zajęciem czystym. Brzydotę przemieniała w piękno. Przeobrażanie ludzkiego ciała, naczynia duszy, mogło najbardziej - czuł Ghengis - zbliżyć mężczyznę do macierzyństwa: modelowania, kształtowania, wydawania na świat w bólu i cierpieniu. Prawda, że ból i cierpienia nie były jego udziałem, lecz pacjentów, niemniej on je odczuwał. Nie ma nic za darmo.

Wyobrażał sobie, że praca z Marleną Hunter będzie sprawiała mu przyjemność. Przywodziła na myśl gigantyczną paczkę, którą należało rozpakować; pakunek podobny do tych, jakie na dziecięcych przyjęciach urodzinowych krążą z rąk do rąk, delikatnie tylko owinięte przez dobrą mamę w warstwy marszczonej bibułki, łatwej do usunięcia dla niewprawnych małych palców. I kiedy muzyka na przyjęciu cichła po raz ostatni, skarb zostawał odkryty! Prezent, niespodzianka! Tego oczekiwał w przyszłości i liczył na wdzięczność.

Osobiście pokazał pani Hunter jej pokój: w pomieszczeniu utrzymanym w delikatnym odcieniu bzu unosił się lekki zapach, podobny do tego, jakim przesycony był firmowy papier kliniki. Kroplówki, respiratory i biała lśniąca, nowoczesna aparatura medyczna stały dyskretnie zasłonięte w kącie. Szerokie duże okna wychodziły na czerwoną pustynię; w pewnej odległości wyrastała ściana urwistej skarpy. Bliżej, na pierwszym planie, krzewiła się bogata, bujna roślinność, widocznie obficie zaopatrywana w wodę, co w tym klimacie nie było ani proste, ani łatwe.

- Czy tu się pani podoba? - zapytał.

- Moja matka byłaby zachwycona - odparła.

Pomyślał, że mógłby pozostawić jej struny głosowe nie naciągnięte. Niski, chrapliwy głos, który wydobywał się teraz z gardła tej potężnej kobiety, brzmiałby matowo i seksownie, gdyby należał do filigranowej osóbkki. W ludzkim organizmie istniała, jak zaobserwował, pewna pociągająca równowaga pomiędzy pierwiastkami męskimi i żeńskimi. Męskie pożądanie w kruchym ciele, głęboki, niski głos w połączeniu z wytwornymi gestami i tak dalej: fałsz i obłuda i ani trochę prostoty.

Pani Hunter nie zamierzała udzielać się towarzysko w klinice. Na ogół przebywała w swoim pokoju, oglądając telewizję i przerzucając ilustrowane magazyny.

- Może się pani uczyć jakiegoś języka - zasugerował Ghengis, troszcząc się o jej stan psychiczny.

- A czy powinnam?

- Może później będzie pani chciała podróżować. Kiedy jest już po wszystkim, ludzie często tak robią. Lubią pokazywać światu swoje nowe "ja".

- Niech inni nauczą się mojego języka.

- No cóż, na pewno znajdzie się jakieś zajęcie - powtórzył. Czuł się beznadziejnie, jakby był tu służącym mającym spełniać jej zachcianki, a nie gospodarzem. - W całej tej sprawie należy się liczyć z długimi okresami oczekiwania. A poza tym dla własnego dobra warto zachować sprawny umysł.

- Jestem tu po to, żeby udoskonalić ciało, a nie umysł, któremu nic nie dolega - brzmiała riposta.

Był jej Pigmalionem, lecz ona nie chciała ani mu zaufać, ani go podziwiać, o wdzięczności nawet nie wspominając. A przecież był przyzwyczajony do tego, że kobiety go kochały, zwłaszcza te, które tworzył na nowo swoimi rękami. Pełne podziwu delikatne westchnienia

- jakie rozlegały się za nim po korytarzach, które przemierzał dostojnym krokiem: tu zachodząc z wizytą, tam błogosławiąc, dodając otuchy na przyszłość lub ubolewając nad przeszłością - ścieliły mu się do nóg i przekonywały o własnej wyjątkowości i znaczeniu.

Żadne, choćby najłżejsze westchnienie nie doszło go ze strony pani Hunter. Będzie musiał nad nią popracować.

Najpierw zajął się jej twarzą. Usunął niewielki kawałeczek tkanki spod oczu, fałdę nad nimi podciągnął: mniej było teraz widać białka poniżej tęczówki, a więcej ponad nią. Dzięki temu jej oczy nagle stały się duże, szczerze i niewinne, zbyt duże w stosunku do twarzy. Były jednak tak czarujące, jak tylko mogą być oczy kociąt albo innych młodych stworzeń, nawet krokodyli.

Asystent Ghengisa, młody doktor Black, śmiały i pełen wigoru na boisku baseballowym, delikatny i precyzyjny przy stole operacyjnym, mocno się zdziwił, gdy zobaczył, jaką twarz zapragnęła mieć pani Hunter. W operacyjnym teatrze, w jakim pracowali, wyświetlono na ścianie w dużym powiększeniu fotografię Mary Fisher, jedną z dostarczonych przez panią Hunter.

- Twarz wydaje mi się znajoma - powiedział i przypomniał sobie, gdzie ją mógł widzieć: na okładkach książek w szpitalnej bibliotece. Trudno uznać pacjentów za namiętnych czytelników. Kartkowali tylko ilustrowane magazyny i narzekali, gdy były nieaktualne, a czasami ktoś podczytywał jakiś romans lub powieść sensacyjną. Ale sama świadomość, że są tu książki, sprawiała im przyjemność; byliby urażeni, gdyby ich zabrakło. W głębi ducha każdy z nich uważał się za wielkiego miłośnika książek, który czasowo, z powodu stresu, odpoczywa od lektury.

Kiedy miejsca wokół oczu pani Hunter się wygoiły, złamano jej kości policzkowe, aby wyrównać ich nadmierne wypukłości. Gdy posiniaczenia nieco ustąpiły, poprawiono linię szczęki. Potem przeszczepiono poniżej linii włosów wycięty z pośladków płat pozbawionej włosów skóry, powiększając czoło, które stało się wysokie i gładkie. Zwiotczałą skórę podbródka podciągnięto wzdłuż policzków, a delikatne zmarszczki wokół ust i nosa wypełniono silikonem. Przecięte żyły zasklepiono wiązkami promienia laserowego. Powycinano brodawki. Usunięto nadmierne owłosienie, wszystko, co zbyteczne, a przy okazji uniesiono nieco kąciki ust ku górze, nadając twarzy miły i sympatyczny wygląd.

W szczęce jeden po drugim implantowano zęby. Technik dentystyczny, który wykonał tę pracę wzorując się na fotografii Mary Fisher, odkrył pewną nieregularność w jej uzębieniu. Doszedł jednak do wniosku, że ten drobny brak przydaje wdzięku. Mocne, duże zęby budzą strach: są po to, by gryźć, a nie słodko seplenić.

Po tych zabiegach pośrodku słodkiej twarzyczki pani Hunter sterczał teraz wielki, haczykowaty, okropny nos, a cała głowa wyglądała na nieproporcjonalnie małą w stosunku do ciała, ale tego należało się spodziewać.

Pani Hunter regularnie co miesiąc wystawiała czeki za swój pobyt w klinice; bez mrugnięcia własnoręcznie wpisywała odpowiednie sumy, mimo że czasami nawet najdrobniejszy ruch sprawiał jej potworny ból. Odnosiło się wrażenie, że zależy jej na tym, aby pieniądze stanowiły podstawę ich umowy. Nie chciała dzielić z chirurgami ani kłopotów, ani radości zewspólnie podjętego wysiłku. Doktor Ghengis czuł się tym urażony.

Zgodziła się polecić z powrotem do swojego stanu, aby doktor Roche miał możliwość obejrzenia jej nosa. Co prawda zaproponował, że to on się pofatyguje, ale odmówiła, uzasadniając, że ma w domu pilne sprawy do załatwienia. Zabrano ją więc do samolotu na noszach w otoczeniu służby medycznej.

Opowiadano później Ghengisowi, że mimo dręczącego ją bólu umówiła się na spotkanie z agentami w celu obejrzenia nieruchomości: zrujnowanej latarni morskiej stojącej na urwistym brzegu w jakiejś zapadłej dziurze, gdzieś na końcu świata.

- Mam nadzieję - zasepił się doktor Black - że gdy będzie już po wszystkim, nie ukryje się przed ludźmi w jakiejś mysiej norze.

- Zrobi, jak zechce - powiedział Ghengis. - I będzie miała to, czego pragnie. To nadzwyczajna kobieta.

Musieli otwarcie przyznać, że obaj w niej byli trochę zakochani i tęsknili do jej powrotu. Nie ufali Roche'owi, że dobrze wykona swą pracę. Obawiali się, że może się na niej odegrać w sposób, w jaki mężczyźni mający pełnię władzy medycznej biorą odwet na całkowicie od nich zależnych kobietach; a przynajmniej dość często słyszy się takie skargi. Naturalnie siebie jako lekarzy uwalniali od podobnych zarzutów.

Żona doktora Blacka, energiczna i drobna, zajmowała się gromadzeniem funduszy na ochronę zagrożonych terenów przyrodniczych na całym świecie. Była osobą stanowczą, szczerą i bezpośrednią. Przed nią nie mógł się popisywać siłą, a nawet gdyby chciał, i tak by nic nie wskórał, bo jak wyznał Ghengisowi - bardziej obchodziły ją zwierzęta niż ludzie. Pełne wyrzutu spojrzenie jej małego pieska o krótkich nóżkach i lisiej mordce bardziej ją martwiło niż któryś z jej mężów, a miała ich dwóch. Zresztą oni, wciąż odsuwani na dalszy plan, i tak nie bardzo wiedzieli, co o niej sądzić. Ghengis oczywiście nie był żonaty, pytany dlaczego, zwykł podawać następujący powód: zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później uległby chęci fizycznego udoskonalenia własnej żony, a gdyby do tego doszło, niewykluczone, że przestałby się nią interesować. Historie z kobietami są jak przynosząca satysfakcję podróż: przybycie na miejsce zawsze rozczarowuje.

Kiedy tak rozmawiali, mieli przed sobą postać pani Hunter wykonaną z przezroczystej substancji, zwanej woskiem plastycznym, z widniejącymi w środku ścięgnami, żyłami i kośćmi. Nieźle się przy tym bawili: tu

uszczykli kawałeczek, tam dodali odrobinę, doprowadzając swój model do perfekcji. Zastanawiali się nad możliwością innego usytuowania nerek, mianowicie nie obok siebie, ale jedna nad drugą, co było dość łatwe do zrobienia. Funkcjonujące części organizmu muszą być przede wszystkim prawidłowo ze sobą połączone, a ich umiejscowienie nie ma właściwie większego znaczenia.

Marlena Hunter powróciła na pustynię na noszach, ale z małym, lekko zadartym noskiem i rasowo wygiętymi nozdrzami. Mimo twarzy pokrytej siniakami i głęboko zapadniętych, podkrążonych oczu, już można było ją uznać za uderzająco piękną.

- Zastanawiam się, czy jej nowy wygląd nie jest zbyt banalny - wyjął swe wątpliwości doktor Black.

- Jeśli przez całe życie człowiek się wyróżniał negatywnie - myślał głośno Ghengis - to normalny wygląd musi być błogosławieństwem.

- Ale przecież nie chcemy potraktować jej tak samo jak wszystkich, którzy tu przychodzą.

- A niby dlaczego nie? - zapytał Ghengis, dumny z własnej spostrzegawczości. - Skoro ona właśnie tego chce: wyglądać jak inne kobiety.

W czerwcu rozpoczęli pracę nad tułowiem. Zwężili łopatki, zmniejszyli biust. Usunęli nadmiar ciała z ramion i podciągnęli luźno zwisającą pod pachami skórę. W uformowany u podstawy karku garb wstrzyknęli płyn, aby rozpuścić i odessać tłuszcz, po czym skierowali się ku niższym partiom ciała. Napięli i podnieśli brzuch, ściągali pośladki. Nerki zdecydowali się pozostawić na dawnym miejscu, mimo iż znajdowały się niebezpiecznie blisko powierzchni ciała. Teraz jednak zagrożone było funkcjonowanie całego organizmu: serce raz biło słabo, to znów waliło jak oszalałe, zdarzało się to nawet podczas przerw między operacjami. Konieczne okazało się zaaplikowanie hormonów, aby utrzymać prawidłowy cykl

menstruacyjny; dlatego też lekarzom wydało się oczywiste, że im mniej wewnętrznych ingerencji chirurgicznych będą zmuszeni przeprowadzić, tym lepiej. To przeważało w sprawie ewentualnego zagrożenia jej zdrowia w przyszłości z powodu nieodpowiednio chronionych nerek. Jeśli jednak pod koniec wszystkich operacji znajdzie dość siły na jeszcze jedną, nerki będą mogły zostać przesunięte.

Ghengis zwęził pani Hunter pochwę i naciągnął lechtaczkę, zapewniając w ten sposób swojej pacjentce możliwość odczuwania większej przyjemności seksualnej. Doktor Black poczuł się zażenowany.

- Wydaje mi się, że to ingerencja w najistotniejszą część jej natury - dzielił się zastrzeżeniami.

- Nie ma czegoś takiego jak niezmienna natura - odparł doktor Ghengis. Wszystko jest względne i podlega zmianie, najczęściej na lepsze.

Pani Hunter potrzebne były do uśmierzenia bólu coraz większe dawki heroiny. Ciało uzależniło się od narkotyku, ale pobudzony umysł zdawał się teraz wytwarzać niewiarygodnie dużo hormonów sprzyjających jej ogólnemu wyzdrowieniu. Zaczną ją leczyć z uzależnienia dopiero wówczas, gdy się okaże to absolutnie konieczne, nie wcześniej. A tymczasem wykazywała wręcz fenomenalną wolę powrotu do zdrowia.

Tylko raz się załamała: nadszedł list z domu, wydarzenie samo w sobie niezwykle. Płakała. Leżała w łóżku zupełnie pozbawiona sił, z zamglonym, nieobecny spojrzeniem i omdlałymi rękami, jeśli można tak nazwać coś, co wyłaniało się spod bandażu (ostatnio zrobiono jej serię nacięć pomiędzy palcami i naciągnięto skórę).

- O co chodzi? - zapytał Ghengis.

- Ktoś, kogo znam, ma raka - odpowiedziała. - Umiera w szpitalu.

- Czy to ktoś bliski?

- Spotkałam ją na przyjęciu, wracałyśmy razem do domu samochodem. I kiedyś byłam u niej na obiedzie. To wszystko.

- Musiała zrobić na pani wielkie wrażenie, skoro tak to panią przygnębiło.

- O tak, to prawda.

Powiadomił panią Hunter, że jeśli sobie życzy, może na pewien czas pojechać do domu, aby przed śmiercią przyjaciółki jeszcze się z nią zobaczyć. Jej również dobrze by zrobił długi wypoczynek przed operacją nóg, jeśli rzecz jasna zdrowy rozsądek nie zwycięży i pani Hunter nie zmieni zamiaru, jakoś godząc się z wyglądem własnych kończyn i myślą, że należy do przeciętnie ładnych kobiet. Ona jednak stanowczo oznajmiła, że nie może marnować swojego czasu i życia na odwiedziny w szpitalach. Operacja nóg powinna się rozpocząć natychmiast, zwłaszcza gdy okazało się, że ma mniej czasu, niż myślała. Poza tym nie tylko nogi mają zostać skrócone, ale i proporcjonalnie do nich ręce, nie chce bowiem wyglądać jak goryl.

W rzeczywistości skrócenie ręki samo w sobie było dość proste w porównaniu do podobnego zabiegu przeprowadzonego na nodze. Ręce nigdy nie musiały dźwigać ciężaru całego ciała.

- Powiedz o kosztach - sugerował doktor Black. - Udowodnij jej, że to się po prostu nie opłaca.

Pani Hunter nie dbała jednak o pieniądze i lekceważyła je. Służyły jej jako narzędzie do osiągnięcia konkretnych celów. Dobrze je inwestowała, żeby nie powiedzieć, że spekulowała nimi. Miała swojego maklera w Nowym Jorku, z którym regularnie konferowała przez telefon: dokonywała spustoszeń na giełdzie. Któraś z pracujących w recepcji dziewcząt podsłuchiwała jedną z takich rozmów i własne oszczędności, jakieś marne kilkaset dolarów, ulokowała według wskazówek pani Hunter. Teraz miała wypchany portfel i setki tysięcy dolarów na koncie.

Pani Hunter wierzyła, jak wiele innych osób, które urodziły się biedne i dopiero później osiągnęły bogactwo, że im więcej się wydaje, tym większy jest dochód. Doktor Ghengis i doktor Black sprowadzili do swojego zespołu medycznego specjalistów z odległych krańców świata. Za wszystko bez mrugnięcia, płaciła pani Hunter. Im więcej płaciła, tym była szczęśliwsza. Wśród pielęgniarek i personelu stale rosła jej popularność, podziwiano jej odwagę i wygląd. Była czarująca; na to nic już nie mogła poradzić. Na pełnej słodyczy twarzy nie było śladu opuchlizny ani siniaków, błyszczały jej oczy, a długie rzęsy (przeszczepione) łagodziły nawet najsroźsze spojrzenie. Zewsząd zbiegali się mężczyźni i kobiety, ci pierwsi gotowi na jej wszystkie rozkazy.

W przeddzień operacji rąk doktor Black zaprosił panią Hunter na przyjęcie dobroczynne na rzecz funduszu ochrony przyrody, wydawane przez jego żonę. Nie uczynił tego bez powodu: on i doktor Ghengis mieli nadzieję, że wrażenie, jakie pani Hunter wywoła na przyjęciu, będzie tak duże, że zadowolona ze swojego nowego wyglądu zrezygnuje z dalszych zabiegów.

- Nie jestem osobą towarzyską - próbowała się wymówić. - Nigdy nie wiem, co powiedzieć.

- Na miły Bóg - odparł doktor. - Osoba taka jak pani nie musi się odzywać, wystarczy jej obecność.

Wciąż jednak miała pewne wątpliwości, ale rozwiął jej telefon od pani Black.

- Koniecznie musi pani przyjść - powiedziała. - To nie jest zwykłe przyjęcie, uczestnictwo w nim to nasz moralny obowiązek, bo zorganizowano je w słusznej sprawie. Chodzi mianowicie o niedźwiedzie polarne. Ludzie wyobrażają sobie, że duże zwierzęta nie potrzebują ochrony, ale to nieprawda. Pani jest osobą, która powinna dobrze o tym wiedzieć. Mąż mi wiele o pani opowiadał.

Nastąpiła krótka cisza, po czym pani Hunter odpowiedziała: - Przyjdę z największą przyjemnością.

Przez kilka godzin fryzjer pracował nad jej włosami, wreszcie modne fale i luźno zwisające kosmyki tworzyły bujną złotą fryzurę. Skręcone i podwinięte włosy zasłaniały ślady po przebytych operacjach. Blizny pokrywały całe ciało, ale był to jedynie delikatny ornament białych linii. I lekarze, i pielęgniarki byli zgodni co do tego, że wszystko goiło się niewiarygodnie szybko i dobrze, jak gdyby jej pocięte ciało ożywiało gorączkowe pragnienie odrodzenia się w nowym kształcie. U większości pacjentów, którzy poddawali się takim zabiegom, obserwowano tendencję odwrotną: rany goiły się i zasklepiały w dawnym kształcie, a odbudowująca się tkanka usiłowała odtworzyć poprzedni stan rzeczy. Czerwone obwódki wokół jej oczu zbladły i były teraz ledwie widoczne. Poruszała się wciąż bardzo ostrożnie, tak samo mówiła: otaczała ją jakaś cudowna aura ponownych narodzin.

- Wygląda jak Wenus - powiedział do żony Black. - Świeżo wyłoniona z muszli. Czarująca!

Pani Black zdziwiła się, że mężczyźni potrafią być tak wrażliwi, nawet jeśli są tylko lekarzami. Umieli godzinami wpatrywać się w gwiazdy przez nich stworzone, całkiem jak producenci z show-biznesu. W tym samym czasie pani Black pomagała w skomplikowanej operacji umieszczenia w ogrodzie ogromnej klatki z głęboko uśpionym, przyjacielskim misiem polarnym, maskotką Towarzystwa Przyjaciół Niedźwiedzi Polarnych, przywiezionym właśnie z Dalekiej Północy na jej trawnik.

Pani Hunter dość późno zjawiła się na przyjęciu. Kierowca fiołkoworóżowej limuzyny z kliniki, młody Kalifornijczyk, wybrał dłuższą drogę, wiodącą przez piękne krajobrazowo okolice, aby pokazać jej urodę tutejszej przyrody. Doktor Ghengis poczuł nieokreśloną zazdrość, nie był też pewien, czy intymne części ciała jego pacjentki już się wygoiły. Wypił za dużo szampana i rzucał się w objęcia gościom, wywodzącym się przeważnie z wyższych

sfer lekarskich. Tym regionem kraju zawładnęły bowiem prywatne kliniki medyczne; ziemia była tu tania, a widoki wspaniałe.

- Jestem jej Pigmalionem - krzyczał. - Stworzyłem ją, a ona jest zimna, zimna! Gdzie Afrodyta, aby tchnęła w nią życie? - Rozglądał się przy tym za kimś piękniejszym od niej, ale nikogo takiego nie znalazł poza wielkim polarnym niedźwiedziem, który właśnie wdzierał się do kuchni. Zaczął więc robić pani Black gorzkie wyrzuty, że pozwoliła zwierzęciu wyjść z klatki, nie bacząc na jej zapewnienia, że niedźwiedź nie wyrządzi nikomu krzywdy.

- Tylko ludzie są podli - zdenerwowała się wreszcie. - Jeśli nie drażni się bestii, to i ona pozostawi nas w spokoju.

Pani Hunter i niedźwiedź mieli pełnić rolę gwiazd na przyjęciu, ale pani Hunter wciąż jeszcze nie było. Po tym, co pani Black usłyszała o przeprowadzanych w klinice operacjach, mogła się właściwie spodziewać, że zobaczy damską wersję frankensteinowskiego potwora z płytami czaszki spiętymi żelaznymi sworzniami. Rano przy śniadaniu często nazywała męża Frankensteinem, czasem były to też ostatnie słowa, jakie słyszał od niej, gdy szykował się do snu: "Dobranoc, Frankensteinie". Pobrali się w radosnej euforii: ona chroniła dziką przyrodę, on leczył ludzkie dolegliwości i schorzenia. A teraz, mieszkając w domu z zasłonami w kolorze bzu i oknami na pustynię, prowadzili życie niezgodne z rytmem natury: ich dzieci wyjątkowo niezdrowo się odżywiały, a wszystkie ideały diabli wzięli.

Weszła pani Hunter. Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku, a gospodyni przyjęcia wystąpiła naprzód, aby ją przywitać. Odziany w złotą lamę gość ubrany był w stylu, jaki pani Black, która na przyjęcia wkładała dzinsy od dobrego projektanta i białe przejrzyste koszule, osobiście wydawał się pozbawiony smaku. Suknia opinała ciało od góry do bioder, a potem opadała szerokim kloszem w dół ku wyraźnie zbyt dużym stopom. Małe futrzane bolerko i jeden czy dwa złote paseczki zakrywały blizny na ramionach, ale pewnie mogli to zauważyć tylko ci, którzy znali jej historię.

Pani Hunter przypominała żonie lekarza ilustrację przedstawiającą kobietę - ucieleśnienie męskiej fantazji w jednym ze starych numerów "Esquires".

Pani Hunter stwierdziła, że jest jej chłodno i pozostanie w futrze. Jej głos miał przyjemne, matowe brzmienie. Głęboki rowek między piersiami wypadał mniej więcej na poziomie oczu niższych osób. Mężczyźni ją obserwowali, wymieniali uwagi w swoim gronie i ponownie wbijali w nią wzrok. Odważniejsi szukali okazji, aby znaleźć się z nią sam na sam i umówić na spotkanie. Odmawiała, słodko tłumacząc, że nie chce im sprawić przykrości, ale na pewien czas wyłączyła się z życia towarzyskiego. Ale im było przykro i zżerała ich zazdrość.

Pani Black powiedziała do męża: - Jest obrazą dla nas, kobiet. Co więcej, wygląda tak jak wszyscy, tyle że jest wyższa, ale według wszelkich rachub to już nie potrwa długo. Ty i twoi przyjaciele nie jesteście lekarzami, nie leczycie, wy redukujecie!

- Ale ona właśnie tego od nas oczekuje.

- Domyślam się, co mogła mieć na myśli - zauważyła. - Jeśli nie umiesz ich pokonać, przyłącz się do nich.

- Wolałbym raczej o tym nie mówić - chłodno odrzekł Black. - Jesteś świadkiem powstawania historii medycyny, ale oczywiście nie robi to na tobie wrażenia. Chciałbym, żebyś zamknęła niedźwiedzia w klatce.

- Jeśli zostawisz go w spokoju, nie zrobi ci nic złego - odparła.

Ghengis krążył wokół pani Hunter niczym rzeźbiarz wokół skończonego właśnie dzieła. Wszystko się zgadzało: oczy promieniały i lśniły, usta były wilgotne. Uniosła kieliszek i delikatnie sączyła szampana. Wiedział, że przy najmniejszym ruchu boli ją jeszcze szczeka, była jednak zbyt uparta i dumna, aby dać coś po sobie poznać. Niekiedy tylko, jak to było w jej zwyczaju, wydawała leciutki dźwięk: na pół westchnienie, na pół jęk, podobny do oddechu

zmęczonej miłosnym aktem kobiety. Było to połączenie i bólu, i ulgi, wywołane być może jakimś nieprzyjemnym wspomnieniem z przeszłości lub przecuciem przyszłych rozkoszy.

Szerokie okna stały otworem, zasłony poruszały się w gorącym nocnym powietrzu. Kochał ją. Ale ona nigdy nie okaże mu wdzięczności; już na to nie liczył. Stworzył ją jak matka dziecko: aby istniało samo dla siebie, a ona, tak jak większość szczęśliwie wydanych na świat dzieci, była obojętna wobec rodziców.

- Musisz mnie posłubić - zwrócił się do niej. - Musimy mieć dzieci.

- Ale ja nie chcę mieć dzieci - odpowiedziała. - Jestem zbyt pochłonięta teraźniejszością, aby myśleć o przyszłości.

Doktor Black słysząc to uznał, że kolega w sposób nieuczciwy, korzystając z tego, że jest kawalerem, dąży do osiągnięcia własnego celu. Poczul się tym dotknięty i postanowił spoliczkować Ghengisa, ale udało mu się jedynie strącić okulary, po czym sam wpadł na stół pomiędzy jarzynowe curry i sałatkę z groszku z orzechami. Zaproszeni goście, członkowie Towarzystwa Opieki nad Niedźwiedziami Polarnymi, cofając się przed lecącymi butelkami i tłukącym się szkłem, podeptali i zmiażdżyli okulary doktora Ghengisa.

Odgłosy tego drobnego incydentu wyrwały niedźwiedzia ze stanu odrętwienia wywołanego środkami uspokajającymi. Zwierzę wspięło się na łapy i oparło o szafkę kuchenną, która zachwiała się i runęła, i wysypały się z niej na podłogę jakieś straszne ilości gruboziarnistej mąki i brązowego ryżu. Niedźwiedź powęszył chwilę wkoło, po czym pchnął wiodące na tyły domu drzwi, które pod jego ciężarem ustąpiły, i powłócząc nogami zniknął w ciemnościach nocy. Zignorował nawet otwarte drzwi własnej klatki, która powinna wydać mu się miejscem znajomym, wszak była jego domem.

Goście wpadli w panikę i podnieśli rwetes. - Jest całkiem niegroźny! - usiłowała przekrzyczeć wrzawę pani Black. Ktoś nalegał, aby zawiadomić policję. Okazało się, że to pewien wysoki rangą oficer, przybyły na przyjęcie z położonych po drugiej stronie skarpy rozległych terenów pustynnych, które zajmowała armia, by przeprowadzać na nich próby z bronią. Niewątpliwie był to jeden z powodów niskich cen ziemi w tej okolicy, skoro na niebie nawet w południe pojawiały się dziwne rozbłyski światła, co niektóre wrażliwe osoby doprowadzało do większego rozdrażnienia.

Przyjechali policjanci zdecydowani na wszczęcie poszukiwań. Oznajmili jednak, że na widok niedźwiedzia będą natychmiast strzelać, bo - jak poinformowali gospodynię i jej gości - w czasie swojego tournée po stanach zabił cztery psy, pokaleczył dwójkę dzieci i zrujnował posiadłość wartą ćwierć miliona dolarów.

Pani Black, która miała nadzieję, że w dalszej części wieczoru będzie mogła zebrać pewne fundusze, zrozumiała, że jej wysiłki poszły na marne, a przyjęcie, choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, okazało się katastrofą. Goście odchodzili obdarzając ją tym szczególnym rodzajem obłudnej uprzejmości na pożegnanie, mogącej oznaczać jedno: następnego dnia miasto będzie się trzęsło od plotek i kpin. Tylko pani Hunter zwlekała z odejściem.

- Powinno sprawić pani satysfakcję - mówił doktor Black do sztucznie uśmiechniętej blond piękności na obcasach - że biją się o panią mężczyźni. Proszę więc zostawić swoje nogi w spokoju. Jest pani piękna i zawsze może pójść na przyjęcie i wywołać mały skandal. Należy teraz pani do tych dziewcząt, które się zauważa: marzenie łysiejących biznesmenów. Wyszczuplimy uda i łydki, ale na litość, zostawmy kości. Nie jest za późno, zespół można rozwiązać. Musi pani zrozumieć, jak wielkie jest ryzyko: w grę wchodzi nawet śmierć.

Spojrzała na niego i potrząsnęła przecząco głową. - Zachował się pan jak mały, niegrzeczny chłopiec - powiedziała, a głos jej brzmiał jak niegdyś, dawno, dawno temu, głos Mary Fisher. - Żeby w taki sposób zniszczyć panu Ghengisowi okulary!

- Ma drugą parę - odrzekł prawie z rozpaczą, a ona, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego żonę, skinęła na niego, by wyszli na balkon. Tam pod aksamitnym baldachimem nocy i

gwiazdami jak latarnie usiedli tuląc się do siebie, jakby pani Black w ogóle nie istniała. Pewnie tak samo kiedyś zachowywała się Mary Fisher.

Pani Black zmywając naczynia postanowiła już nigdy więcej nie wydawać przyjęć, rozwieść się z mężem i poślubić kogoś wolnego od hipokryzji, może z kręgów wojskowych, kto rozumiałby, że zabicie i śmierć dla idei, w poczuciu jakiejś wielkiej sprawy, może sprawić większą satysfakcję niż nieudolne próby życia ograniczonego do spraw osobistych i powszednich.

Wkrótce doktor Black odwiózł panią Hunter z powrotem do kliniki, ale przedtem zdążył jeszcze oskarżyć żonę o niewybaczalną szorstkość wobec gościa.

Rozdział trzydziesty drugi

Wysoka Wieża stoi cicha i pusta; tylko wiatr hula po schodach, ze świstem wdzierając się w miejsce, gdzie dawniej były solidne drzwi frontowe, do których niegdyś zapukała Ruth. Dobermany wtedy warczały złowrogo, a zdrajca Garcia otworzył i nastąpił początek końca. Wiatr wpada do środka przez okna, w których prawie już nie ma szyb. Przygodni handlarze dawno zabrali stąd drzwi, a włóczący się chłopcy ciskali w okna kamieniami. Nikt nie lubi pustego budynku. A niby dlaczego miałoby być odwrotnie? Opuszczony dom jest jak niemy wyrzut, jak rezygnacja. Jeśli coś zaczyna chylić się ku upadkowi, to zwykle jest to proces nieodwołalny. Tak naprawdę nikt nie wierzył w afisz z napisem "Sprzedane", naklejony w poprzek deski z informacją "Na sprzedaż". Wieża była usytuowana zbyt blisko krawędzi osypującego się urwiska. Wyglądało na to, że albo urwisko cofa się w głąb lądu, albo wieża przesuwa się coraz bardziej w kierunku morza; słowem, wystarczający powód do niepokoju. Myszy hasają po pokojach, a stare dywany roiły się od pcheł, jakie pozostały tu po psach i kotach. Pchły wreszcie zrezygnowały i znikły, ale po kuchennej kamiennej posadzce radośnie suną ślimaki. Może przedtem było lepiej, a może nie ma nic lepszego od ciszy i spokoju?

Pobyty Mary Fisher w szpitalu się przeciąga. W wyniku zabiegów powypadały jej włosy. Garcia i Joan odeszli, zabierając ze sobą dziecko z dziurą w sercu, na której zoperowanie poszły ostatnie pieniądze ich chlebobawczyni. Wynieśli się do Hiszpanii, aby zaopiekować się matką Garcii i na stare lata sprawić jej trochę przyjemności za to, co zaoszczędził bądź ukradł jej syn w dawnych dobrych czasach.

Nicola mieszka w wiosce ze swoją nauczycielką przedmiotów ścisłych, niejaką Lucy Barker. Nicola kocha wyłącznie kobiety. Andy pracuje w warsztacie samochodowym jako mechanik. Szef wprowadził go w życie, w którym nie ma miejsca na sentymenty, więc Andy niczym się nie różni od innych chłopaków: wystaje godzinami na rogach ulic, odczuwając nieokreśloną tęsknotę za czymś, czego nigdy nie zazna.

Wysoką Wieżę odwiedziłam dopiero po operacji nosa. Jechałam przez wieś rolls-royce'em i zobaczyłam Andy'ego: wychnął poplamiony smarem spod zaparkowanego samochodu. Wiedziałam, że to mój syn, ale nic nie czułam. On nie ma już ze mną nic wspólnego. Czekałam później na pojawienie się Nicoli pod jej domem. Wreszcie ją zobaczyłam: miała ten sam co Bobbo niezadowolony wyraz twarzy, ściągnięte brwi i moją figurę. Szła pochylona, niepewna, jakby się skradała, i zrezygnowana. Ona nigdy nie przeistoczy się w diabolicę. Moje dzieci ponownie wessało morze pospolitości, wchłonął, ściągnął ku dołowi wir i z powrotem znalazły się tam, gdzie było ich miejsce; niczym szczególnym się nie wyróżniają i myślę, że są z tego powodu zadowolone.

Starsza pani Fisher, zdana wyłącznie na własne siły, ma się bardzo dobrze, o wiele lepiej niż jej córka, co zresztą zawsze stanowiło jej punkt honoru. Mieszka sama w okolicy, w której się urodziła, i świetnie sobie radzi. Raz w tygodniu odwiedza szpital. Cuchnący, o kaczkowatym chodzie gość budzi popłoch wśród pielęgniarek. Kiwa tylko głową nad córką i

snuje przypuszczenia, że jej choroba jest karą za grzechy. Mary Fisher uśmiecha się i poklepuje starczą rękę, która niegdyś ją pielęgnowała. Siostra szpitalna jest dojrzałą kobietą. Kiedy jej małżeństwo i macierzyństwo dobiegły końca, postanowiła wrócić do świata, pierwsze kroki kierując do Agencji "Vesta Rose". Bardzo lubi Mary Fisher i dobrze o nią dba.

Bobbo jej nie odwiedza, choć pewnie, zważywszy na okoliczności (ona przecież umiera), pozwolono by mu wyjść na przepustkę, gdyby tylko o to poprosił. Ale on nie chce mieć z nią już więcej do czynienia. Kochał ją, lecz miłość przeminęła. O wszystko obwinia Mary Fisher, a nie, jak powinien, miłość.

Stoję u stóp Wysokiej Wieży i widzę nieujarzmione morze, i patrzę w głąb lądu na pola i wzgórza, które nabierają urody, gdy dogląda je człowiek. Mary Fisher przez to, że straciła ten krajobraz, przydaje mu tylko uroku. Jestem tego pewna. Czy doktorzy Ghengis i Black mogliby mnie obdarzyć pięknem, gdyby nie miłość?

Odbuduję Wysoką Wieżę. Powyrywam wyrastającą pomiędzy kostkami bruku trawę, podeprę stemplami urwisko i uratuję to miejsce. Nie patrzę na morze, wolę spoglądać w głąb lądu, jak niegdyś Mary Fisher wyglądała z okien swej sypialni po miłosnej nocy spędzonej z Bobbem. Z moim Bobbem. Teraz ja będę oglądać poranne słońce połyskujące wśród drzew, wzgórz i dolin. I jak ona wiem, że to piękne. Podziwiam ją i czuję żal, że ona jest kobietą i lepiej tu wszystko urządziła. Diablice nic nie mogą uczynić lepszym, z wyjątkiem samych siebie. W końcu ona wygrywa.

Rozdział trzydziesty trzeci

W noc niefortunnego przyjęcia, z którego uciekł niedźwiedź, Ruth wróciła do schludnego pokoju w klinice, odmówiwszy zaproszenia doktora Blacka.

- Pani Black byłoby przykro - powiedziała zadowolona z siebie - gdyby mąż nie wrócił o jakiejś rozsądnej porze.

Ruth przymknęła oczy do snu z miłym poczuciem, że przyszłość pięknej kobiety wiąże się raczej z odrzucaniem niż przyjmowaniem propozycji mężczyzn, którzy z pewnością (przynajmniej taką miała nadzieję) nie zniechęcą się do dalszych starań. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że zwyczajnej kobiecie łatwiej jest wzbogacać swoje seksualne doświadczenia i zaspokajać apetyty na przyjemności erotyczne niż niejednej piękności. Ruth miała dość czasu, aby wszystko poznać i osiągnąć. Mogła mieć to, co najlepsze z obu światów: niebios i piekieł. Głęboko, dobrze spała. Nie słyszała ani krzyków, ani strzałów oddanych przez policjantów do wytropionego niedźwiedzia. Osaczyli go już poza terenem kliniki, w pięknym, cieniście zakątku, gdzie komposty, nawozy, środki owadobójcze i przepompowywana skradziona z Kolorado woda stworzyły oazę bujnej zieleni. Było to ulubione miejsce pacjentów po operacji plastycznej twarzy, którzy tam wystawiali swoje posiniaczone oblicza ku prześwitującym plamom słońca.

Pierwszy raz od wielu miesięcy Ruth spała tak dobrze. Na bezsenność skazali ją lekarze, przepisując coraz większe dawki morfiny i środków uśmierzających. Przytępiały one umysł, ale nie likwidowały reakcji organizmu na ból, zresztą wcale nie chciała się go teraz pozbyć. Ból wyznaczał granicę pomiędzy dawnym i nowym życiem. Myślała, że jeśli teraz przez to wszystko przejdzie, uwolni się od cierpienia w przyszłości. W większości bowiem wypadków ból zdomawia się w człowieku i wtedy coś strzyka i kłuje przez resztę życia. Ruth zamierza ze wszystkim uporać się za jednym razem, choć oczywiście jest świadoma, że poddanie się w krótkim czasie tak intensywnym, rozległym i skomplikowanym zabiegom może kosztować ją życie.

Niekiedy nocami słysząc jej krzyk. Pigułki przechowywane są jednak w bezpiecznym zamkniętym miejscu, a okna zasunięte na eleganckie metalowe sztabki. Nikt nie

przypuszczał, aby uwięzione w gipsie nogi miały ją gdzieś ponieść, ale przecież nigdy nic nie wiadomo, zwłaszcza że ostatnio wszyscy zgodnie doszli do wniosku, iż mają do czynienia z osobą nieprzeciętną. Gdyby nie była w stanie poruszać się na nogach, to kto wie, czy nie poszłaby na rękach? Pewnego dnia nastąpiło trzęsienie ziemi, groźny huk i skorupa ziemska z westchnieniem rozstała się wzdłuż najsłabszej linii, uskoku Świętego Andrzeja. Działo się to nazajutrz po jednej z ważniejszych operacji, przeprowadzonej na kości udowej. Cały system reanimacyjny musiał zostać podłączony do awaryjnego zasilania i lekarze uzmysłowili sobie, że w ciągu kilku sekund mogli ją stracić. Ruth zauważyła ich pobladłe twarze i niezwykle zdenerwowanie. Gdy potrafiła już mówić, powiedziała:

- Niepotrzebnie się martwicie. Bóg nie może mnie zabić.

- A dlaczego nie? - zapytał doktor Ghengis. - Trudno mi sobie wyobrazić, aby był po pani stronie.

- Ma do czynienia z diabłem - odparła i znów straciła przytomność.

Ghengis błagał, aby zadowolona się skróceniem kości udowej o sześć centymetrów, ale to jej nie wystarczyło.

W przeddzień drugiej poważnej operacji przeszła gwałtowna burza z wyładowaniami elektrycznymi i awaria systemu zasilania się powtórzyła. Takie nawałnice nie były czymś niezwykłym w tej okolicy. Nagły mrok zapadł w ciągu dnia, skłębione chmury sunęły w nienaturalnych ciemnościach przeszywane światłami błyskawic. Tym razem była to, należąca tu do rzadkości, sucha burza. Deszcz, po którym oczy by można nacieszyć widokiem świeżej zieleni, nie spadł. W powietrzu wisiało dalej coś nieuchwytnego i groźnego.

- Bóg się gniewa - powiedział zatrwożony Ghengis, nagle tęskniąc za swoją dawną pracą na oddziale położniczym. - Pani go prowokuje. Naprawdę chciałbym, abyśmy przzerwali te eksperymenty.

- Oczywiście, że jest zły - odrzekła Ruth. - Przecież poprawiam jego dzieło: stwarzam się na nowo.

- To my panią stwarzamy - kwaśno zauważył - i to niestety według najbardziej kiepskiego i absurdalnego wzoru. - Myślał oczywiście o fotografii Mary Fisher, którą zdążył już znienawidzić.

Elektrycy pracowali przez całą noc, sprawdzając obwody i prawidłowe działanie pomp, dźwigni i zaworów mogących naśladować - choćby tylko fragmentarycznie i przez pewien czas - funkcjonowanie ludzkiego organizmu.

- Do końca życia będzie pani miała kłopoty z nogami - ostrzegął ją po raz ostatni. - Stale będą potrzebne leki na rozrzedzenie krwi, bo zawsze będzie istniało niebezpieczeństwo skrzepu. I Bóg jeden wie, jak się będą zachowywać te skrócone arterie, a to ze względu na prawdopodobieństwo występowania skurczu mięśni. Pani jest doprawdy szalona.

Tego dnia rano Ruth otrzymała od swoich doradców sprawozdanie finansowe i dlatego powiedziała:

- Wobec tego jestem szaloną multimilionerką. A pan zrobi to, co każę.

Dziennikarze pisujący o medycynie - owe typy włóczące się po gabinetach chirurgicznych całego świata w pogoni za coraz dziwniejszymi transplantacjami i po laboratoriach w poszukiwaniu dwugłowych psów i gigantycznych myszy - kręcili się teraz wokół kliniki. Ruth jednak dobrze zatarła swoje ślady i niczego nie mogli się o niej dowiedzieć: jakiej jest narodowości, czy jest mężatką i ile ma lat. Wiedzieli tylko jedno: chce być niższa. Posunęli się nawet do kradzieży dokumentów z kliniki, ale i w nich nie odnaleźli historii życia pani Hunter. Opublikowano dziesiątki artykułów i wyemitowano setki programów na temat wzrostu jako czynnika mającego wpływ na charakter i osobowość. Pisano o niskich mężczyznach, którzy zostali generałami, i o wysokich kobietach, które nikim nie zostały. Toczono debaty, co jest ważniejsze: wygląd czy osobowość, i jak to się dzieje, że psy upodabniają się do swoich właścicieli, żony do mężów, adoptowane dzieci do

przybranych rodziców. Dyskutowano fakty, odrzucano hipotezy, a ponieważ nic z tego tak naprawdę nie wynikło, świat stracił całe zainteresowanie sprawą.

Ruth jęcząc balansowała na granicy życia i śmierci. Do życia przywróciła ją - przynajmniej można było odnieść takie wrażenie - kolejna burza z piorunami. Pierwsze błyskawice uderzyły w napowietrzny kabel telewizyjny, na sześć godzin zakłócając odbiór programu. Wraz z pierwszym grzmiotem Ruth otworzyła oczy, a przez sześć następnych godzin temperatura spadła jej do normalnego poziomu, wzrosło ciśnienie krwi i ustabilizowała się praca serca. Ruth usiadła na łóżku i zażądała jedzenia. Doktor Black po tym, jak go odrzuciła, nie myślał już o niej jak o Wenus, która wyłoniła się z morskiej piany. Słyszano, że raczej traktował ją jak frankensteinowskie monstrum, ożywiane i wprawiane w ruch przez błyskawice, a Ghengisa uznawał za samego Frankensteina. Stosunki pomiędzy tymi dwoma mężczyznami ostatnio wyraźnie się popsuly.

Działo się to na dziewięć miesięcy przed dniem, w którym Ruth uczyniła pierwszy krok. Doktor Ghengis chciał odczekać kolejne trzy miesiące, a potem dopiero przystąpić do operacji rąk, ale nalegała, aby wszystko zostało zrobione od razu. Zaczynała już być, twierdziła, znudzona całą sytuacją.

Musiała mu jednak ustąpić i czas rekonwalescencji przeznaczyła na naukę francuskiego, łaciny i indonezyjskiego. Samodzielnie też studiowała historię literatury światowej i zagadnienia krytyki artystycznej. Robiła wszystkie pozytywne rzeczy, o jakich myśleli pacjenci, obiecując sobie, że się nimi zajmą w wolnym czasie, gdy będą przykuci do łóżek; ale rzadko do tego dochodziło. Sumienie Ruth obciążała jedna próba samobójstwa, jakie usiłowała popełnić młoda, przygotowująca się do zawodu pielęgniarka. Jej przyjaciel, lekarz, miał zwyczaj przesadnie długo przesiadywać w pokoju Ruth.

Pewnego razu otrzymała z domu list z czarnymi obwódkami. Był od Garcii. Tym razem nie płakała, uśmiechała się. - Moja przyjaciółka umarła - powiedziała. - Tak długo się przyjaźniłyśmy.

Wybrała się samolotem do domu na pogrzeb. Często korzystała teraz z fotela na kółkach, ale z każdym dniem była w stanie zrobić o jeden, dwa kroki więcej i dzięki temu mogła swobodnie poruszać rękami. W dwóch palcach straciła czucie, a na ramionach i nogach wciąż widniały blizny. Była zima, lecz nie miało to dla Ruth większego znaczenia: ludzi bogatych stać na podróże dookoła świata w pogoni za zimą. Miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, w biuście - dziewięćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt w talii i dziewięćdziesiąt trzy w biodrach. Zastrzyki z kortyzonu, które otrzymywała w przerwach między operacjami, nadały jej pięknej twarzy niewinny, dziecięcy wyraz, łagodzący ostre rysy. Po kortyzonie miała też zdrowe i bujne włosy.

Na pogrzeb Mary Fisher włożyła suknię z czarnego jedwabiu i brylanty. Pojechała rolls-royce'em i nie wysiadając z niego, przyglądała się wszystkiemu z pewnej odległości. Cmentarz znajdował się nad morzem, toteż wilgotne powietrze osiadało kroplami na szybach. Wypowiadane przez księdza słowa wiatr wślaczał mu z powrotem do gardła. Garstka ludzi, kilku starych przyjaciół i dawnych znajomych, przypatrywała się ceremonii, starając się słuchać w skupieniu. Starsza pani Fisher, jak zawsze ciekawa, podeszła do auta, próbując zajrzeć do środka. Na migi pokazała, żeby opuścić szybę, i Ruth musiała nacisnąć odpowiedni guzik.

- Przez moment pomyślałam, że to ona - powiedziała starszka. - To do niej podobne, przysłać własnego ducha na pogrzeb! Biedna mała flądra. Ze szlamu powstała i w szlam się obróci. Ale widziałam, jak się stamtąd wydobyła. Zawsze wiedziałam, że to nastąpi!

- Co powiedziawszy, kuląc się przed wiatrem, powróciła na grób córki, a Ruth zdawało się, że tam płacze.

Nicola i Andy nie byli na pogrzebie. No cóż, nie byli krwią z jej krwi ani kością z jej kości. A poza tym, czy Mary Fisher nie zniszczyła ich domu? Nie odebrała im matki i ojca? Nawet jeśli później chciała to jakoś naprawić, wyrządzonego zła nie można już było cofnąć.

Bobbo stał w otoczeniu strażników. Nie miał kajdanek, bo nie były mu potrzebne. Z podpuchniętymi oczami i posiwiałymi włosami sprawiał wrażenie, jakby spał na stojąco, nieświadomy tego, że znalazł się nad otwartym grobem. Ponad ramieniem szofera dostrzegł Ruth.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Jestem twoją żoną - odpowiedziała, wpatrując się w niego swoimi młodymi ślicznymi oczami i uśmiechając się nowym słodkim uśmiechem.

- Moja żona umarła - rzekł. - Dawno temu.

Zawahał się, jakby chciał nagle odejść. Odwrócił się, ale czujni na każdy ruch więźnia strażnicy przytrzymali go; nie miał wyboru i musiał znowu na nią patrzeć.

- Ty jesteś moją żoną - powtórzył. - Bardzo mi przykro, ale mam kłopoty z pamięcią. Był ktoś, kto nazywał się Mary Fisher. Czy to ty?

- To jest pogrzeb Mary Fisher - powiedział jak do dziecka jeden ze strażników. - Jak więc to może być ona?

Przeprosili Ruth i zabrali go: najwyraźniej potrzebował trochę więcej spokoju, leczono przecież jego depresję elektrowstrząsami.

Bobbo poczuł się zadowolony, gdy odeszli. Świat zewnętrzny zawsze był pełen złudnych marzeń - na przemian to rozbłyskiwał wizjami, to roił się od koszmarów, i w końcu więzienie okazało się jedynym realnym i bezpiecznym miejscem.

Ruth zatrudniła dobrych prawników, aby zajęli się zwolnieniem Bobba. Zastanawiała się nawet nad zwrotem sprzeniewierzonych sum, ale ostatecznie się na to nie zdecydowała. Komisja, od której zależało warunkowe zwolnienie z więzienia, składała się teraz z samych sympatycznych, pełnych dobrych intencji ludzi, którzy przestali się zajmować kwestią pieniędzy, a i Ruth dała sobie spokój z abstrakcyjnym pojęciem uczciwości. Bobbo dość szybko mógł zostać zwolniony.

Do prac w Wysokiej Wieży najęła cały sztab architektów, budowniczych, posadzkarzy, tynkarzy, murarzy i hydraulików. Inżynierowie, specjaliści od konstrukcji, podpierając stemplami urwisko musieli minimalnie zmienić układ całego nabrzeża, aby fale z całą siłą nie kierowały się w stronę wieży. Czas popołudniowej herbaty powinien odtąd upływać w mniej dramatycznej, ale za to bezpiecznej scenarii.

Zatrudniła projektanta krajobrazu i sporą grupę ogrodników do przywrócenia dawnej świetności rezydencji. Płaciła im dobrze. Frontowe drzwi zostały wymienione na zdobyte gdzieś przez architekta solidne

drzwi kaplicy, które prezentowały się tu całkiem efektownie. Odnalazła zaginione dobermany i przywiozła je do domu: oba zostały wykastrowane, zresztą podeszły wiek wyraźnie je ustatkował. Napisała list do Garcii z pytaniem, czy zechciałby rozważyć sprawę powrotu do pracy w Wysokiej Wieży.

Niebawem nadeszła pozytywna odpowiedź. Przyjechać miał sam, zostawiając żonę i dziecko w Hiszpanii, aby dotrzymali towarzystwa jego starzejącej się matce.

Ruth wróciła do kliniki "Hermione" na dalszy ciąg fizykoterapii i dokonanie kilku niewielkich poprawek: przy dużym palcu u nogi widoczny był wrastający paznokieć, popękane żyłki na policzkach wymagały dodatkowego naświetlania laserem, a usunięte z twarzy brodawki walczyły o prawo powrotu.

Doktor Black szykował się z żoną do wyjazdu do krajów Trzeciego Świata: on chciał pracować wśród pozbawionych praw, upośledzonych istot ludzkich, ona wśród krokodyli.

- Jeśli chce trwonić dany mu przez Boga talent na to, z czym może sobie poradzić średnio wyszkolona pielęgniarka, to jego sprawa - sarkastycznie zauważył doktor Ghengis.

Ruth wydawało się, że nadszedł wreszcie czas powrotu do Wysokiej Wieży. Mogła już się swobodnie poruszać: chodzić, a nawet trochę biegać. Była w stanie unieść w każdej ręce kilogramowy ciężar. Problemy związane z krążeniem zostały opanowane. Klinika "Hermione" nie była jej już dłużej potrzebna, nikt nie był jej już więcej potrzebny. Tańczyła z doktorem Ghengisem w chłodnej rosie poranka, tańczyła, gdy czerwieniejące słońce przetaczało się nad skarpa, i choć każdy krok był jak stąpanie po ostrzach noży, podziękowała mu za ofiarowane życie i wyznała, że odchodzi.

Rozdział trzydziesty czwarty

Teraz ja mieszkam w Wysokiej Wieży; w dole morze bije falami o wybrzeże, po niebie wędruje księżyc i ziemia się kręci, ale nic nie jest tak jak dawniej. Garcia musi czyścić inne okna, a płyn do mycia, ku jego zdziwieniu, rozpyła się inaczej. Wszystko więc mi sprzyja. Płacę mu tyle samo ile poprzednia pracodawczyni. Kiedyś było to stanowczo za dużo, ale dzisiaj znaczy niewiele; inflacja zjada całą wartość, z czego on nie zdaje sobie sprawy, a ja mu tego nie uświadamiam. A czy powinnam? Jeśli człowiek chce utrzymać służbę, musi ją odpowiednio surowo traktować. To samo odnosi się do kochanków.

W nocy często przychodzi do mojej sypialni, puka i szepce pod drzwiami miłosne zakłęcia. Czasami pozwalam mu wejść, upewniam się tylko, czy Bobbo o tym wie i czy cierpi. To jedyna przyjemność, jaką odnajduję w kontakcie fizycznym z Garcia. Seks z nim jest aktem politycznym, a nie erotycznym, przynajmniej dla mnie. Mężczyźni są tacy sentymentalni!

Bobbo mnie kocha; żalosna, budząca zakłopotanie kreatura, jaką ostatnio się stał, nalewa mi herbatę, miesza drinki, podaje torebkę. Ma nas dwie w jednym ciele: jedną - porzuconą, i drugą, której tak naprawdę nigdy nie potrzebował. Dwie Mary Fisher. Wzrok mu mętnieje, jakby był już starcem. Oto do czego prowadzi poniżenie. Powinien coś zrobić ze swoimi opuchniętymi powiekami. Mógłby oczywiście zafundować sobie operację plastyczną i znowu wyglądać młodo, ale musiałby poprosić mnie o pieniądze. Czekam, aż mi to zaproponuje, lecz on tego nie robi. Jacy ludzie są słabi! Jak łatwo godzą się na wszystko, co im los przyniesie, jakby istniało coś takiego jak przeznaczenie, a nie życie, z którym należy się po prostu wziąć za bary.

Niekiedy pozwalam sobie na miłość z Bobbem lub Kocham się na jego oczach z innymi. Cóż za rozkoszne zamieszanie panuje w naszym domu! Nawet psy są obrażone. Sprawiam Bobbowi taką samą przykrość, jaką on mi kiedyś wyrządził, a nawet jeszcze większą. Próbuję się od tego odzwyczaić, ale nie jest to już wyłącznie sprawa pomiędzy kobietą a mężczyzną, lecz kwestia władzy. On podlega mi całkowicie, tak jak niegdyś ja podlegałam jemu.

Życie może być bardzo przyjemne. Rano siedząc w łóżku podziwiam przez okna krajobraz. Niektórym on się nie podoba, mówią, że go zniszczyłam sztucznymi zagajnikami i marmurowymi fontannami w stawach rybnych i całą resztą. Ale mnie się podoba. Natura jest nieokiełznana, wymaga kontroli. Mam wielu przyjaciół. Jestem bardzo gościnną i czarującą gospodynią, a na moich przyjęciach zawsze panuje miła i podniecająca atmosfera. Jedzenie jest wyśmienite: wędzony łosoś i szampan są serwowane wszystkim, którym zależy na owych specjałach, ja gustuję w smakach bardziej wschodnich, egzotycznych.

Spróbowałam swoich sił w pisaniu powieści. Wysłałam wydawcom i natychmiast chcieli ją opublikować. Nie pozwoliłam. Wystarczy mi świadomość, że jeśli zechcę, mogę to zrobić. Ostatecznie nie było to wcale takie trudne: nie tylko "ona" była kimś wyjątkowym.

Jestem damą mającą metr osiemdziesiąt wzrostu, z usuniętym fragmentem tkanki kostnej.

Błazeńska farsa pociągnęła za sobą poważne skutki.